NOWY BESTSELLER
TESSA DARE
Wymarzony narzeczony
AMBER
Romans historyczny

TESSA DARE

Wymarzony narzeczony

Przekład
Ewa Ratajczyk
Ewa Morycińska-Dzius

AMBER

Korekta
Hanna Lachowska
Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce
© freya-photographer/Shutterstock
© Zbynek Plinta/Shutterstock

Tytuł oryginału
When a Scot Ties the Knot

Copyright © 2015 by Eve Ortega
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7040-1

Warszawa 2019. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Dla Brena
Bo powieści nie pisze się tak po prostu.
Twoja przyjaźń jest dla mnie cenna.

Prolog

21 września 1808

Drogi Kapitanie Loganie MacKenzie,

Jest tylko jedna pociecha w pisaniu tego absurdalnego listu. Taka, że Pan, moja droga iluzja, nie istnieje i go nie przeczyta.

Ale po kolei. Najpierw się przedstawię.

Nazywam się Madeline Eloise Gracechurch. Największa ofiara losu, jaka stąpała po angielskiej ziemi. Będzie Pan zszokowany, obawiam się, ale zakochał się Pan we mnie do szaleństwa, kiedy nasze ścieżki nie spotkały się w Brighton. A teraz jesteśmy zaręczeni.

Maddie nie mogła sobie przypomnieć, kiedy pierwszy raz trzymała w dłoni ołówek. Nie mogła sobie również przypomnieć, kiedy nie miała go w ręce.

Zwykle nosiła przy sobie dwa albo trzy. Chowała je do kieszeni fartuszka i wtykała w ciemne upięte włosy, a czasami, kiedy potrzebowała wszystkich czterech kończyn, żeby wspiąć się na drzewo albo przeskoczyć przez płot – ściskała je w zębach. Zużywała je do samiuśkiego końca. Rysowała ptaki w czasie, gdy powinna zajmować się nauką i szkicowała mysz kościelną, kiedy powinna się modlić. Gdy miała czas na przechadzki na świeżym powietrzu, jej celem stawała się cała przyroda – od pędów koniczyny pomiędzy palcami po byle chmurę przepływającą nad głową. Uwielbiała zwracać uwagę na wszystko.

No, prawie.

Nie cierpiała zwracać uwagi na siebie.

I dlatego, mając szesnaście lat, czekała na swój pierwszy londyński sezon mniej więcej z taką samą radością, jak można by wyczekiwać dawki środka na przeczyszczenie.

Po wielu latach życia jako wdowiec papa wziął sobie nową żonę. Zaledwie osiem lat starszą od samej Maddie. Anne była wesoła, elegancka, żywiołowa. Dokładnie taka, jaka nie była jej pasierbica. Och, być jak Kopciuszek z całym jej nieszczęściem, umorusanym sadzą i ubranym w szmaty. Maddie byłaby zachwycona, gdyby miała wredną macochę, która więzi ją w wieży, podczas gdy wszyscy inni jadą na bal. Zamiast tego trafiła jej się macocha zupełnie inna – chętnie ubierałaby ją w jedwabie, posyłała na tańce i pchnęła w ramiona jakiegoś Bogu ducha winnego księcia.

W przenośni, rzecz jasna.

Maddie w najlepszym przypadku miała szansę złowić trzeciego z kolei książęcego syna z aspiracjami do służby kościelnej albo może niewypłacalnego baroneta.

W najgorszym…

Nie radziła sobie zbyt dobrze w tłumie. Ściślej rzecz ujmując, w tłumie nie radziła sobie wcale. W jakimkolwiek większym skupisku ludzi – czy to na targu, w teatrze, czy na sali balowej – nieruchomiała, niemal dosłownie. Mrożące przerażenie brało nad nią władzę, a w gąszczu ciał stawała się głupia i sztywna jak blok lodu.

Wzdrygała się na samą myśl o londyńskim sezonie.

Ale nie miała wyboru.

Na czas, kiedy papa i Anne (nie mogła się zmusić, żeby dwudziestoczterolatkę nazywać mamą) zażywali uroków miodowego miesiąca, Maddie została wysłana do internatu dla młodych dam w Brighton. Morska bryza i towarzystwo miały pomóc jej wydostać się ze skorupy, zanim rozpocznie się sezon.

Ale nie bardzo pomogły.

Zamiast tego Maddie większość tych tygodni spędziła właśnie ze skorupami. Zbierała muszelki na plaży, rysowała je w szkicowniku i starała się nie myśleć o przyjęciach ani balach, ani dżentelmenach.

Tego ranka, gdy wróciła, Anne powitała ją właśnie takim pytaniem:

– No i? Jesteś gotowa na spotkanie twojego kawalera?

To w tamtej chwili Maddie spanikowała. I skłamała.

Pod wpływem impulsu wymyśliła niewiarygodne kłamstwo, które, na dobre i na złe, miało zdeterminować jej dalsze życie.

– Już go poznałam.

Wyraz zdumienia na twarzy macochy był nader satysfakcjonujący. Ale w kilka sekund Maddie uświadomiła sobie, jaka była głupia. Powinna była wiedzieć, że to zdawkowe stwierdzenie nie zamknie sprawy. Przeciwnie, jedynie sprowokowało sto innych pytań.

Kiedy tu przyjeżdża?

Och… eee… Nie może. Chciał, ale nagle musiał wyjechać z kraju.

A dlaczegóż to?

Bo służy w wojsku. Jako oficer.

A co z jego rodziną? Powinniśmy poznać przynajmniej ją.

Ale to niemożliwe. On jest z bardzo daleka. Aż ze Szkocji. Poza tym, jego rodzina nie żyje.

Powiedz nam przynajmniej, jak się nazywa.

MacKenzie. Nazywa się Logan MacKenzie.

Logan MacKenzie. Nagle jej nierzeczywisty konkurent miał nazwisko. Przed końcem popołudnia miał też włosy (brązowe), oczy (niebieskie), głos (niski, ze szkockim „r”), rangę (kapitana) i osobowość (stanowczy, ale inteligentny i miły).

Więc tego wieczoru, ponaglana przez rodzinę, Maddie usiadła, żeby napisać do niego list.

…W tej właśnie chwili myślą, że piszę list do mojego tajemniczego narzeczonego w kilcie, a ja zamiast tego zapełniam stronicę bzdurami,

modląc się, żeby tylko nikt nie zerknął mi przez ramię. Najgorsze ze wszystkiego jest to, że nie będę mieć wyboru i będę musiała to wysłać, jak skończę. Trafi do jakiegoś wojskowego archiwum niedoręczonych listów. Mam nadzieję. Albo zostanie przeczytany i będzie pośmiewiskiem dla całego regimentu, na co z pewnością zasługuję.

Idiotka, idiotka, idiotka. Zegar zaczął tykać, a kiedy wybije godzina, będę się musiała przyznać. Najpierw będę musiała się przyznać, że skłamałam, że poderwałam przystojnego szkockiego oficera, będąc w Brighton. Później, jak już to zrobię, nie będę miała innej wymówki, żeby uchronić się przed odrzuceniem przez niezliczoną ilość dżentelmenów z nadejściem wiosny.

Mój drogi wyimaginowany kapitanie MacKenzie, nie jest Pan rzeczywisty i nigdy nie będzie. Jednak ja jestem prawdziwą idiotką i nią pozostanę.

To dla Pana, rysunek ślimaka.

5 października 1808

Drogi Nieistniejący Kapitanie MacKenzie,

Po namyśle może jednak nie będę musiała tłumaczyć się z tego w tym roku. Może uda mi się przeciągnąć to przez cały sezon. Muszę przyznać, że to mi całkiem na rękę. A moja rodzina patrzy na mnie zupełnie innymi oczami. Jestem teraz kobietą, która przynajmniej w jednym mężczyźnie wzbudziła głęboką miłość, a przecież jeden chyba wystarczy?

Bo, widzi Pan, Pan za mną szaleje. Jest Pan całkowicie ogarnięty namiętnością po zaledwie paru przelotnych spotkaniach i spacerach po plaży. Złożył mi Pan wiele obietnic. Nie chciałam ich przyjąć, wiedząc, że nasze rodzące się uczucie będzie wystawione na próbę odległości i wojny. Ale zapewnił mnie Pan, że Pańskie serce jest szczere, a ja…

A ja chyba naczytałam się zbyt wielu powieści.

10 listopada 1808

Drogi Kapitanie Urojony,

Czy jest coś bardziej żenującego niż bycie świadkiem amorów własnego ojca? Fuj. Wszyscy wiedzieliśmy, że musi się ponownie ożenić i spłodzić dziedzica. Najrozsądniej było wziąć sobie do tego młodą, płodną żonę. Ale nie spodziewałam się, że zacznie aż tak korzystać z życia i że zapomni o konwenansach. Przeklinam tę niekończącą się wojnę – to przez nią podróże poślubne nie trwają całego miesiąca, jak powinny.

Papa i Anne znikają codziennie po południu, a wtedy ja i służący musimy udawać, że nie wiemy, co robią. Wzdrygam się.

Wiem, że powinnam być szczęśliwa, widząc ich szczęśliwymi, i jestem. Raczej. Ale dopóki ten ich plan płodzenia dziedzica nie przyniesie rezultatu, chyba będę do Pana pisać mniej, a o wiele więcej spacerować.

18 grudnia 1808

Drogi Kapitanie Fantazjo,

Mam nową powierniczkę. Moja ciotka Thea przyjechała do nas na jakiś czas. W młodości siała zgorszenie jako dama z półświatka, zrujnowana na dworze we Francji przez lubieżnego hrabiego, ale teraz jest krucha i nieszkodliwa.

Ciotka Thea jest zachwycona ideą, że umieram z miłości i niepokoju o mojego drogiego szkockiego oficera. Prawie wcale nie muszę kłamać. „Ależ co w tym dziwnego, że Madeline nie ma ochoty na udział w londyńskich przyjęciach i balach! Nie widzisz, biedactwo umiera ze strachu o swojego kapitana MacKenziego”.

Tak naprawdę, to trochę przerażające, jak przejmuje się moim cierpieniem. Przekonała nawet mojego ojca, że śniadania należy mi teraz podawać do pokoju, jak kobiecie zamężnej albo chorej. Jestem zwolniona z udziału w czymkolwiek, co ma charakter publicznej rozrywki i wolno mi spędzać tyle czasu, ile tylko chcę na rysowaniu. Każdego ranka dostaję do łóżka czekoladę i grzankę, a gazetę czytam jeszcze przed papą.

Zaczynam wierzyć, że był Pan przebłyskiem geniuszu.

26 czerwca 1809

Drogi Wyimaginowany Kapitanie Fikcjo,

Co za szczęście! Bijcie w dzwony, dmijcie w róg! Szorujcie podłogi olejkiem cytrynowym. Żona mojego ojca wymiotuje obficie co rano i prawie każdego popołudnia. Sprawa jest oczywista. Hałaśliwe, śmierdzące, wiercące się „coś" wydostanie się na świat za jakieś sześć lub siedem miesięcy. Oni są w siódmym niebie, a ja jestem spychana coraz bardziej i bardziej na margines.

To nic. Dla nas jest reszta świata, dla Pana i dla mnie.

Ciotka Thea pomaga mi zaznaczać szlak Pańskiej kampanii. Opowiada mi o francuskich wiejskich krajobrazach, żebym mogła sobie wyobrazić widoki, jakie przywitają Pana, kiedy przegoni Pan Napoleona na drugą stronę Pirenejów. Gdy poczuje Pan zapach lawendy, mówi, zwycięstwo jest bliskie. Od czasu do czasu muszę się upominać, że mam być smutna, jakbym się o Pana martwiła. Czasem, co dość dziwne, udawanie przychodzi mi całkiem łatwo.

Niech Pan będzie cały i zdrowy, mój Kapitanie.

9 grudnia 1809

Och, mój kochany Kapitanie,

Nie spodoba się Panu moje zachowanie. Wiem, że się zarzekałam, że kocham naprawdę, ale muszę Panu coś wyznać. Zakochałam się. Straciłam serce dla innego, nieodwracalnie. Nazywa się Henry Edward Gracechurch. Waży zaledwie trzy kilo, jest różowy i cały pomarszczony… i jest idealny. Nie wiem, jak mogłam nazwać go „czymś". Piękniejszy i słodszy anioł nigdy nie istniał. Teraz, kiedy papa ma dziedzica, nasza posiadłość nigdy nie przejdzie na Strasznego Amerykanina, a ja nigdy nie będę skazana na wytworną biedę. To znaczy, że nie muszę wychodzić za mąż i nie potrzebuję już dłużej tłumaczyć się wymyślonym szkockim konkurentem.

Mogłabym Panu oznajmić, że się rozstaliśmy, skończyć z tymi głupimi listami i kłamstwami. Ale ciotka Thea zdążyła Pana tak polubić, a ja polubiłam ją. Poza tym, brakowałoby mi pisania.

To najdziwniejsze. Nie rozumiem samej siebie.

Ale czasami cieszę się, że Pan mnie rozumie.

9 listopada 1810

Drogi Loganie,

(Chyba możemy już zwracać się do siebie po imieniu).

To, co poniżej, jest ćwiczeniem w umęczaniu się.

Nie wierzę, że to napiszę, ale może gdy przeleję to na papier i wyślę w świat, łatwiej mi będzie wyzbyć się tego głupiego nawyku. Widzisz, mam poduszkę. To luksusowa poduszka, wypełniona gęsim puchem. Dość jędrna i duża. Tak właściwie to wałek. W nocy układam ją po jednej stronie łóżka i wsuwam pod nią gorące węgle, żeby ją rozgrzać. Potem układam się przy niej, a kiedy zamykam oczy i zapadam w taki półsen… Prawie wierzę, że to Ty. Obok mnie. Ogrzewasz mnie i chronisz. Ale to nie Ty, bo to poduszka, a Ty tak naprawdę nawet nie istniejesz. A ja jestem stuknięta. Ale tak się do niej przyzwyczaiłam, że nie mogę bez niej zasnąć. Noce po prostu bardzo mi się dłużą i są samotne.

Gdziekolwiek jesteś, mam nadzieję, że śpisz dobrze.

Słodkich snów, Kapitanie Poduszko.

17 lipca 1811

Mój drogi szkocki Lairdzie i Kapitanie,

Zrobiłeś niezły numer jak na mężczyznę, który jest tylko poduszką wypchaną kłamstwami z wyhaftowanym cieniem osobowości. Zostaniesz ziemianinem. Ciotka Thea przekonała mojego ojca chrzestnego, earla Lynfortha, żeby zapisał mi w testamencie jakiś mały drobiazg. Tym „małym drobiazgiem” jest zamek na szkockich wzgórzach. To zamek Lannair. Ma

się stać naszym domem, gdy wrócisz z wojny. Idealne zwieńczenie tego absurdalnego majstersztyku, prawda?

Dobry Boże. Zamek.

16 marca 1813

Drogi Kapitanie prawdziwego szaleństwa mojego serca,

Mały panicz Henry i panienka Emma rosną jak na drożdżach. Załączam rysunek. Dzięki troskliwej mamie umieją już zmówić wieczorny pacierz. I co wieczór – ściska mnie w sercu, gdy to piszę – modlą się za Ciebie. „Niech Bóg błogosławi i zachowa naszego dzielnego kapitana MacKenziego". No, w ustach Emmy brzmi to raczej jak „kap'n Macaroni". I za każdym razem, kiedy się za Ciebie modlą, czuję, jak moja własna dusza jest coraz bliżej piekła. To wszystko zabrnęło za daleko, a jednak – gdybym wyjawiła moje kłamstwo, wszyscy zaczęliby mną gardzić. I opłakiwać Ciebie. W końcu to prawie pięć lat, odkąd nie poznaliśmy się w Brighton.

Teraz należysz do naszej rodziny.

20 czerwca 1813

Mój drogi milczący Przyjacielu,

Serce mi pęka, ale muszę to zrobić. Muszę. Nie mogę dłużej dźwigać tego poczucia winy. Jest tylko jeden sposób, żeby to teraz zakończyć.

Musisz umrzeć.

Strasznie mi przykro. Nie wiesz, jak bardzo. Przyrzekam, że będzie to bohaterska śmierć. Ocalisz czterech – nie, sześciu – innych mężczyzn w godnym podziwu akcie odwagi i szlachetnej ofiary.

Jeżeli chodzi o mnie, jestem zdruzgotana. To szczere łzy kapią na ten pergamin. Będę też po Tobie nosić prawdziwą żałobę. Czuję, jakbym zabijała cząstkę mnie samej – tę, w której kryły się wszystkie te romantyczne, choć głupie, nadzieje.

Ułożę sobie teraz życie jako stara panna, tak, jak od zawsze myślałam. Nigdy nie będę mężatką. Nikt mnie nie będzie przytulał ani kochał. Może, jeżeli to wszystko przeleję na papier, oswoję się z tą prawdą.

Pora przestać kłamać i porzucić mrzonki.

Mój drogi nieżyjący Kapitanie MacKenzie…

Adieu.

1

Invernesshire, Szkocja
Kwiecień 1817

Bul. Bul- bul-bul.

Ręka Maddie drgnęła. Atrament prysnął z jej pióra, zostawiając wielkie kleksy na skrzydlatej postaci, której kontur kreśliła. Jej delikatna ważka brazylijska przypominała teraz trędowatego kurczaka. Dwie godziny pracy, zmarnowane w mgnieniu oka.

Ale to nie będzie miało żadnego znaczenia, jeżeli bulgotanie oznacza to, na co liczyła.

Kopulacja.

Serce zaczęło jej szybciej bić. Odłożyła pióro, podniosła głowę tylko na tyle, żeby wyraźnie widzieć akwarium z morską wodą i znieruchomiała.

Maddie była z natury obserwatorką. Umiała wtopić się w tło, czy była nim tapeta w salonie, czy boazeria w sali balowej, czy otynkowany kamień zamku Lannair. I miała ogromne doświadczenie w obserwowaniu rytuałów godowych wielu dziwnych i niezwykłych stworzeń, poczynając od angielskich arystokratów, kończąc na piętnówce kapustnicy.

Gdy chodziło o zaloty, najbardziej pruderyjne i ceremonialne z nich wszystkich były homary.

Całe miesiące czekała, aż Fluffy, samica, wylinieje i ogłosi, że jest zdolna do spółkowania. Więc wsadziła do akwarium Rexa, samca. Nie

wiedziała, które z nich było bardziej sfrustrowane. Może to właśnie dziś jest ten dzień. Maddie intensywnie wpatrywała się w akwarium, wstrzymując oddech w oczekiwaniu.

Tak. Za fragmentem koralowca w mętnym mroku falowały cienkie pomarańczowe czułki.

Alleluja.

No, dalej – zachęcała w duchu. Dalej, Fluffy. Dobra dziewczynka. Spędziłaś samotnie pod tym kamieniem bardzo długą zimę. Ale w końcu jesteś gotowa.

Wyłoniły się błękitne kleszcze.

A potem się cofnęły.

Wstydliwe podchody.

– No, nie bądź już taka skromna.

W końcu ukazała się cała głowa samicy, która wyszła ze swojej kryjówki.

I w tej chwili ktoś zapukał do drzwi.

– Panno Gracechurch?

I to był koniec.

Przy akompaniamencie bul-bul-bul Fluffy schowała się tak szybko, jak się wyłoniła. Z powrotem pod swój kamień.

Do licha!

– Co się stało, Becky?! – krzyknęła Maddie. – Ciotka źle się czuje?

Skoro niepokojono ją w pracowni, ktoś musiał być chory. Służący doskonale wiedzieli, że mają jej nie przeszkadzać, kiedy pracuje.

– Nikt nie jest chory, panienko. Ale ma pani gościa.

– Gościa? To dopiero niespodzianka.

Dla samotnej Angielki mieszkającej na jałowych pustkowiach szkockich wzgórz goście zawsze byli niespodzianką.

– Kto to?

– Mężczyzna.

Mężczyzna!

Teraz Maddie była zaskoczona jeszcze bardziej. Była pozytywnie zszokowana.

Odsunęła na bok zniszczoną ilustrację ważki i wstała, żeby wyjrzeć przez okno. Niepotrzebnie. Ten pokój w wieży wybrała ze względu na zapierający dech w piersiach widok dzikich zielonych wzgórz i lśniące jezioro leżące wśród nich jak odłamek lustrzanej tafli. Nie można było podejrzeć z niego furtki ani alei.

– Och, panno Gracechurch. – Słychać było, że Becky jest zdenerwowana. – On jest taki wielki.

– Mój Boże. A czy ten wielki mężczyzna się jakoś nazywa?

– Nie. To znaczy, musi się jakoś nazywać, prawda? Ale nie powiedział. Na razie. Pani ciotka uznała, że najlepiej jak pani zejdzie i sama zobaczy.

Cóż. Robiło się coraz bardziej tajemniczo.

– Za chwilę zejdę. Bądź tak miła i poproś kucharkę, żeby przygotowała podwieczorek.

Maddie rozwiązała kitel. Zdjęła fartuch przez głowę, odwiesiła go na hak obok i szybko sprawdziła, jak wygląda. Jej popielata suknia nie była zbytnio pomięta, ale dłonie miała poplamione atramentem, a fryzurę karykaturalną – włosy miała rozpuszczone i rozczochrane. Nie było czasu na uczesanie z prawdziwego zdarzenia. Nie mogła też znaleźć spinek. Więc chwyciła ciemne loki i skręciła je luźno na karku, a kok przymocowała leżącym pod ręką ołówkiem. Nic lepszego nie mogła zrobić w tych okolicznościach.

Kimkolwiek był ten niespodziewany, bezimienny, wielki mężczyzna, wiedziała, że raczej nie zrobi na nim wrażenia.

Zazwyczaj nie robiła wrażenia na mężczyznach.

Zeszła powoli po krętych schodach, zastanawiając się, kim może być jej gość. Najprawdopodobniej to zarządca sąsiedniej posiadłości. Lord

Varleigh miał przyjechać dopiero jutro, poza tym Becky wiedziałaby, jak się nazywa.

Kiedy Maddie dotarła w końcu na dół, dołączyła do niej ciotka Thea.

– Och, Madling. W końcu.

– Gdzie jest nasz tajemniczy gość? W holu?

– W bawialni. – Ciotka chwyciła ją pod rękę i razem poszły przez korytarz. – No, moja droga. Musisz zachować spokój.

– Jestem spokojna. A przynajmniej byłam spokojna, dopóki tego nie powiedziałaś. – Przyjrzała się twarzy ciotki, szukając wskazówek. – Co tu się, u licha, dzieje?

– To może być dla ciebie wstrząs. Ale się nie martw. Jak już będzie po wszystkim, zrobię gorącego mleka z korzeniami i piwem, żeby postawić cię na nogi.

Posset.

O, rety. Ciotka Thea uważała się za aptekarza-samouka. Sęk w tym, że jej „medykamenty” były na ogół gorsze od samej choroby.

– To tylko jakiś gość. Posset na pewno nie będzie potrzebny.

Maddie postanowiła powitać tego wielkiego, bezimiennego mężczyznę wyprostowana, w dobrym nastroju.

Kiedy weszły do bawialni, jej postanowienie zostało wystawione na próbę.

To nie był jakiś tam mężczyzna.

To był mężczyzna z prawdziwego zdarzenia.

Wysoki, władczy Szkot ubrany w coś, co wyglądało na wojskowy mundur: kilt w ciemnozielono-niebieską kratę i tradycyjny czerwony płaszcz.

Włosy miał długie (głównie brązowe, z rudymi pasemkami), a na jego prostokątnej szczęce widniał kilkudniowy zarost (głównie rudy z odrobiną brązu). Szerokie ramiona przechodziły w węższy tors. Nisko w pasie miał przyczepiony czarny prosty sporran, a na biodrze spoczywał dirk w

pochwie. Poniżej krawędzi kiltu umięśnione owłosione nogi znikały w białych skarpetach i zdartych czarnych wysokich butach.

Maddie błagała siebie samą, żeby się nie gapić.

Walka była z góry przegrana.

Całość stanowiła imponujący obraz męskości.

– Dzień dobry – zdołała wydusić niezdarne powitanie.

Nie odpowiedział, ani się nie ukłonił. Podszedł do niej bez słowa.

I w miejscu, w którym przystanąłby każdy dobrze wychowany dżentelmen, on szedł dalej. Przestąpiła z nogi na nogę, niespokojna. Przynajmniej pozbawił ją problemu z gapieniem się. Teraz nie miała odwagi na niego spojrzeć.

Podszedł na tyle blisko, że Maddie poczuła zapach whisky i dymu z tlącego się drewna, i dostrzegła szerokie, diabelskie wargi wyłaniające się spośród lekkiego zarostu. Po długich sekundach zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

Były oszałamiająco niebieskie. Bynajmniej nie w pozytywnym sensie.

To był ten odcień błękitu, który sprawiał wrażenie, że zostało się podrzuconym do nieba albo wrzuconym do lodowatej wody. Pchniętym w nicość bez możliwości powrotu. Nie było to miłe odczucie.

– Panna Madeline Gracechurch?

Och, jego głos był z tego wszystkiego najgorszy. Niski, z tym szkockim akcentem, który zgrzytał i zmieniał brzmienie słów, sprawiając, że nabierały głębszego znaczenia.

Kiwnęła głową.

– Wróciłem do ciebie do domu – powiedział.

– Do d-domu… do mnie?

– Wiedziałam – odezwała się ciotka Thea. – To on.

Obcy mężczyzna kiwnął głową.

– To ja.

– To znaczy: kto? – wypaliła Maddie.

Nie zamierzała być niegrzeczna, ale nigdy wcześniej nie widziała tego mężczyzny na oczy. Była o tym przeświadczona.

Takiej twarzy i postaci raczej by nie zapomniała.

Robił wrażenie. Całkiem spore.

Czuła się przy nim speszona.

– Nie znasz mnie, *mo chridhe*?

Pokręciła głową. Miała dość tej gry, serdecznie.

– Proszę się przedstawić.

Kącik jego warg drgnął w lekkim, szelmowskim uśmiechu.

– Kapitan Logan MacKenzie.

Nie.

Świat sprowadził się nagle do gwałtownej feerii barw: zieleni, czerwieni i tego przenikliwego, niebezpiecznego błękitu.

– Czy pan… – Maddie się zawahała. – Z pewnością nie powiedział pan kap…

Więcej nie była w stanie wymówić. Jej język się poddał. A po nim kolana.

Nie zachwiała się ani nie zgięła w pół. Po prostu usiadła, z impetem. Jej pupa uderzyła o kozetkę, aż powietrze uszło z jej płuc.

– Uuuf.

Szkot patrzył na nią z góry z wyrazem rozbawienia.

– Dobrze się czujesz?

– Nie – odpowiedziała szczerze. – Mam zwidy. To nie może się dziać naprawdę.

Wykluczone, niemożliwe, żeby to się działo naprawdę.

Niemożliwe, żeby kapitan Logan MacKenzie żył. Niemożliwe też, żeby był martwy.

On po prostu nie istniał.

Nie ulegało wątpliwości, że blisko dekadę temu wszyscy uwierzyli, że stracił dla niej głowę, a potem opłakiwali mężczyznę, który był tylko fikcją.

Maddie spędziła niezliczoną ilość popołudni, pisząc do niego listy – epistoły, które tak naprawdę były pełne bzdur albo rysunków ciem i ślimaków. Odmawiała udziału w przyjęciach i balach, powołując się na oddanie wymarzonemu szkockiemu bohaterowi – ale tak naprawdę po prostu wolała zostawać w domu z książką.

Jej ojciec chrzestny, earl Lynforth, zapisał jej nawet w testamencie zamek Lannair, żeby mogła być bliżej domu swojego ukochanego. Bardzo szlachetnie z jego strony.

A kiedy oszustwo zaczęło ciążyć Maddie na sumieniu, skazała swojego szkockiego oficera na bohaterską, szlachetną i zupełnie fikcyjną śmierć. Ubierała się na czarno przez calutki rok, a później nosiła szarości. Wszyscy wierzyli, że jest niepocieszona, a tymczasem ona po prostu dobrze się czuła w czerni i szarościach. Ukrywały smugi atramentu i węgla, którymi brudziła się podczas pracy.

Dzięki kapitanowi MacKenziemu miała dom, dochody, pracę, którą lubiła – i nie czuła żadnej presji, żeby zaistnieć w londyńskim towarzystwie. Nigdy nie zamierzała oszukiwać rodziny przez tyle lat, ale nikomu nie wyrządziła krzywdy. Wydawało jej się, że wszystko się dobrze skończyło.

Do tej chwili.

Teraz coś się zupełnie pogmatwało.

Maddie odwróciła lekko głowę, w stylu panny Muffet z piosenki dla dzieci, zmuszając się, żeby spojrzeć na Szkota, który usiadł obok niej. Serce łomotało jej w piersi.

Skoro kapitan MacKenzie nie istniał, kim był ten mężczyzna? I czego od niej chciał?

– Nie jest pan prawdziwy. – Na chwilę zamknęła oczy i się uszczypnęła w nadziei, że obudzi się z tego potwornego snu. – Nie. Jest. Pan. Prawdziwy.

Ciotka Thea uniosła dłoń do szyi. Drugą energicznie się wachlowała.

– To musi być cud. I pomyśleć tylko, powiedziano nam, że…

– Zginąłem? – Nie odrywał wzroku od oczu Maddie. Cień ironii wyostrzył jego głos. – Nie jestem martwy. Dotknij i się przekonaj.

Dotknąć?

Co to, to nie. Nie miała zamiaru go dotykać.

Ale nim zdążyła się połapać, co się dzieje, chwycił jej nieosłoniętą rękawiczką dłoń, wciągnął pod swój rozpięty płaszcz i przycisnął do swojej piersi.

I tym sposobem się dotykali.

Intymnie.

Przeszył ją głupi, instynktowny dreszcz. Nigdy wcześniej nie trzymała się z mężczyzną za rękę. Nigdy nie czuła męskiej skóry przy swojej. Ciekawość była silniejsza niż opory.

Jego dłoń była duża i silna. Miejscami stwardniała od odcisków, naznaczona bliznami i poparzeniami od prochu. Te ślady zdradzały, że życie spędził w walce i zmaganiach, zapewne tak, jak jej blade, poplamione atramentem palce wyjawiały, że jej życie składało się z bazgraniny… i zupełnie żadnych przygód.

Położył jej dłoń płasko na podniszczonym batyście koszuli. Pod nią był imponująco twardy. Ciepły. Prawdziwy.

– Nie jestem duchem, *mo chridhe*. Tylko mężczyzną. Z krwi i kości.

Mo chridhe.

Powtarzał te słowa. Nie znała dobrze szkockiego, ale przez lata zdążyła sobie przyswoić to i owo. Wiedziała, że *mo chridhe* znaczy „moje serce”.

To był czuły zwrot kochanka, ale w jego głosie nie było czułości. Jedynie cicha, skwiercząca złość. Wypowiedział te słowa jak mężczyzna, który dawno temu wyciął sobie serce i pochował je w zimnej, ciemnej ziemi.

Ich złączonymi dłońmi odsunął na bok klapę płaszcza. Odsłonił przy tym róg pożółkłego papieru zatkniętego w wewnętrznej kieszeni. Rozpoznała pismo na kopercie.

Swoje własne.

– Otrzymałem twoje listy, moja damo. Każdy jeden.

Boże, miej ją w swojej opiece. On wiedział.

Wiedział, że skłamała. Wiedział wszystko.

I zjawił się, żeby za to zapłaciła.

– Ciociu – wyszeptała. – Chyba jednak będę potrzebować tego possetu.

Więc, pomyślał Logan. To jest ta dziewczyna.

W końcu miał ją w garści. Madeline Eloise Gracechurch. Jak sama siebie określiła, największa ofiara losu, jaka stąpała po angielskiej ziemi. Sądząc po tym, jaka blada zrobiła się w ciągu kilku sekund, nie zdziwiłby się, gdyby nigdy więcej już nie wstała.

Ścisnął ją delikatnie za rękę, a ona zaczerpnęła powietrza. Jej policzki nabrały koloru.

No, lepiej.

Szczerze mówiąc, on sam potrzebował chwili, żeby się pozbierać. Jemu też zabrakło przez nią tchu.

Często się zastanawiał, jak wygląda. Zbyt często, przez te wszystkie lata. Ona, oczywiście, wysyłała mu rysunki wszystkich możliwych grzybów, ciem i kwiatów, jakie tylko istnieją na ziemi – ale żadnej swojej podobizny.

O, bogowie, ależ była chuda. I o wiele ładniejsza niż wywnioskował z jej listów. Również drobniejsza, delikatniejsza.

– Więc… – odezwała się. – To znaczy… pan… ja… niech to.

I o wiele mniej wygadana.

Wzrok Logana przeniósł się na ciotkę Maddie, która jakimś cudem była dokładnie taka, jak sobie wyobrażał. Kruche ramiona, przenikliwy wzrok, szafranowożółty turban.

– Może pozwoli nam ciocia na kilka minut sam na sam? Mogę panią nazywać ciocią Theą?

– Ależ… oczywiście, że tak.

– Nie – jęknęła jego narzeczona. – Proszę, nie.

Logan poklepał ją po szczupłym ramieniu.

– Dobrze, już dobrze.

Ciotka Thea pośpieszyła tłumaczyć bratanicę.

– Musi jej pan wybaczyć, kapitanie. Przez wiele lat mieliśmy pana za zmarłego. Ona od tamtej pory chodzi w żałobie. Mieć pana z powrotem… cóż, to taki szok. Jest podenerwowana.

– To zrozumiałe – powiedział.

W rzeczy samej.

Logan też byłby zaskoczony, gdyby osoba, którą wymyślił na poczekaniu, a potem nikczemnie kłamał na jej temat przez prawie dekadę, nagle pewnego popołudnia stanęła w jego drzwiach. Zaskoczony, wstrząśnięty… a może nawet przestraszony.

Madeline Gracechurch wyglądała na wręcz przerażoną.

– Wspomniałaś, że coś chciałaś, *mo chridhe*? Okład?

– Posset – zreflektowała się ciotka Thea. – Zaraz przygrzeję.

Jak tylko wyszła z pokoju, Logan zacieśnił uścisk na szczupłym nadgarstku Madeline i postawił ją do pionu.

Ten gest najwyraźniej przywrócił jej mowę.

– Kim pan jest? – wyszeptała.

– Myślałem, że już to ustaliliśmy.

– Nie ma pan sumienia, zjawiać się tu jak jakiś oszust i straszyć moją ciotkę?

– Oszust? – Wydał z siebie odgłos rozbawienia. – Nie jestem oszustem. Ale przyznaję, że sumienia nie mam.

Nerwowym ruchem oblizała wargi, ściągając jego wzrok na drobne usta w kształcie pocałunku, które, gdyby nie to, mogłyby umknąć jego uwadze.

Zastanawiając się, co jeszcze mógł przeoczyć, powiódł wzrokiem po jej postaci, od ciemnych włosów upiętych swobodnie na karku po… ciało, jakie mogło skrywać się pod tym zapiętym pod szyję szarym całunem.

To bez znaczenia, powiedział sobie. Nie przybył tu dla uciech cielesnych.

Przybył tu po to, żeby odebrać to, co mu się należało.

Zaczerpnął głęboki haust powietrza. Otaczająca ją aura niosła znajomy zapach.

Kiedy poczuje pan zapach lawendy, zwycięstwo jest blisko.

Jej dłoń powędrowała do czoła.

– Nie rozumiem, co się dzieje.

– Czyżby? Tak trudno uwierzyć, że nazwisko i ranga, które wzięłaś z sufitu, mogły należeć do prawdziwego mężczyzny, który gdzieś żył? MacKenzie nie jest rzadko spotykanym nazwiskiem. A armia brytyjska to szeroki krąg kandydatów.

– Owszem, ale ja nigdy niczego należycie nie zaadresowałam. Specjalnie napisałam numer regimentu, który nie istnieje. Nigdy nie wskazałam żadnej lokalizacji. Ja tylko wrzucałam je do skrzynki.

– Cóż, jakimś sposobem…

– Jakimś sposobem trafiły do pana. – Przełknęła głośno ślinę. – A pan… O, nie. Pan je przeczytał?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć.

– Oczywiście, że je pan przeczytał – odpowiedziała sobie, nie dając mu dojść do głosu. – Inaczej by tu pana nie było.

Logan nie wiedział, czy się złościć, czy być wdzięcznym, że go wyręcza w jego kwestiach w rozmowie. Przypuszczał, że taki ma już nawyk. W końcu przez lata prowadziła z nim jednostronną korespondencję.

A potem, gdy już spełnił swoje zadanie, miała czelność go zabić.

Tej przebiegłej angielskiej dziedziczce wydawało się, że uknuła idealny plan, żeby uciec od ponaglania do zamążpójścia.

Wkrótce miała się przekonać, że się myliła.

I to bardzo.

– Och, Boże – wyszeptała. – Chyba zbiera mi się na wymioty.

– Muszę przyznać, że to bardzo miłe powitanie w domu.

– To nie jest pana dom.

Ale nim będzie, droga panno. Będzie.

Logan postanowił dać jej chwilę, żeby wzięła się w garść. Powolnym krokiem okrążył pokój. Zamek był imponujący. Klasyczna ufortyfikowana twierdza rycerska, zachowana w dobrym stanie. Pomieszczenie, które w tej chwili zajmowali, obwieszone było wiekowymi arrasami, ale poza tym umeblowane w stylu, który wydawał mu się typowo angielski.

Ale dywany i otomany go nie obchodziły.

Przystanął przy oknie. Interesowały go przyległe tereny. Ten wąwóz był idealny. Szeroka, zielona wstęga żyznej ziemi rozciągała się wzdłuż krystalicznego jeziora. Dalej za nią widać było górzyste pastwiska. To były wzgórza, które jego żołnierze znali od młodości. Wzgórza, po których – gdy powrócili z wojny – zostało tylko wspomnienie. Zagrabione przez chciwych angielskich obszarników – i przypadkiem przez tę zdziwaczałą starą pannę.

Teraz staną się ich domem. Tutaj, w cieniu zamku Lannair, jego ludzie będą mogli odzyskać to, co im zabrano. Dość było miejsca w tym wąwozie, żeby wznieść domy, obsiać pola i założyć rodziny.

Odbudować życie.

Logan nie miał zamiaru cofnąć się przed niczym, byle tylko dać im tę szansę. Był to winien swoim ludziom. Był im winien o wiele więcej.

– Pan – oznajmiła – musi sobie pójść.

– Pójść sobie? Mowy nie ma, *mo chridhe*.

– Ma pan wyjść. W tej chwili.

Chwyciła go za rękaw i spróbowała zaciągnąć go do drzwi. Bezskutecznie.

Więc odpuściła ciągnięcie i dla odmiany zaczęła go pchać.

To też nic nie dało. Może jedynie tyle, że pomogło rozbawić Logana.

To był kawał mężczyzny, a ona była kruchą dziewczyną. Nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Jednak jej wysiłki okazały się nie całkiem

bezskuteczne. Ucisk jej drobnych dłoni na jego ręce i torsie poruszył go w niebezpiecznych miejscach.

Dużo czasu upłynęło, odkąd czuł dotyk kobiety.

O wiele za dużo.

Maddie w końcu zrezygnowała z ciągnięcia i pchania i chwyciła się swojej ostatniej deski ratunku.

Błagania. Duże, brązowe cielęce oczy błagały go o litość. Nie miała jednak pojęcia, że ta taktyka miała najmniejsze szanse powodzenia. Logan nie był mężczyzną, który ulegał sentymentom.

Jednakże, był mężczyzną – i nie pozostawał niewzruszony na widok ładnej buźki. Po tych wszystkich jej wysiłkach, dostrzegł, że zaczyna nabierać rumieńców. I dostrzegł też intrygującą iskrę tajemnicy w dużych, ciemnych oczach.

Ta dziewczyna nie pasowała do szarości. Do tych ciemnych włosów i różowych ust nadawałby się żywy kolor. Głęboka zieleń wzgórz albo szafirowy błękit. Jego własny uśmiech był dla niego zaskoczeniem. Ślicznie będzie wyglądać w jego kracie.

– Proszę wyjść – powiedziała. – Jeżeli wyjdzie pan teraz, będę w stanie przekonać ciotkę, że to wszystko było pomyłką. Bo to była pomyłka. Na pewno jest pan tego świadomy. Nigdy nie miałam zamiaru zawracać panu głowy moją głupią pisaniną.

– Może i nie miałaś zamiaru. Ale to zrobiłaś.

– Więc chce pan w takim razie przeprosin? Przepraszam. Jest mi naprawdę bardzo, bardzo przykro. Proszę, jeżeli odda mi pan listy i pójdzie w swoją stronę, będę panu bardzo wdzięczna. Chętnie zapłacę panu za kłopot.

Logan potrząsnął głową. Myślała, że zbędzie go przekupstwem?

– Nigdzie nie pójdę. Za żadne śmieszne pieniądze z twojej jedwabnej torebeczki.

– Więc czego pan chce?

– To proste. Chcę tego, o czym mowa w twoich listach. Tego, co opowiadałaś swojej rodzinie przez lata. Jestem kapitan Logan MacKenzie. Otrzymałem wszyściutkie twoje listy i mimo twoich najlepszych starań, żeby mnie zabić, mam się całkiem dobrze.

Podparł palcem jej brodę i skierował jej twarz do swojej. Żeby na pewno usłyszała i uwierzyła w jego słowa.

– Madeline Eloise Gracechurch… Przyjechałem tu, żeby się z tobą ożenić.

2

Ciotka Thea siedziała naprzeciw Maddie przy stoliku herbacianym.

– Cóż, moja droga. Muszę przyznać, że to było bardzo zaskakujące popołudnie.

Maddie nie mogła się nie zgodzić. Zanurzyła łyżeczkę w possecie i kreśliła ósemkę w bladym, grudkowatym napoju.

Całe to spotkanie z kapitanem MacKenziem nią wstrząsnęło.

Przyjechałem tu, żeby się z tobą ożenić – powiedział.

A co ona mu odpowiedziała? Odmówiła mu w sposób kategoryczny i błyskotliwy? Zmyła mu z twarzy ten jego uśmieszek swoim ciętym dowcipem? Wysłała go gdzie pieprz rośnie zaklinającego się, że nigdy więcej nie będzie niepokoił niczego niespodziewającej się Angielki?

Ha. Pewnie, że nie. Ona tylko stała nieruchoma jak słup soli i dwa razy bardziej od niego niema, aż wróciła ciotka z possetem w dłoni.

Przyjechałem tu, żeby się z tobą ożenić.

Maddie obwiniała swoje wychowanie. Każda dziewczyna z dobrego domu była wychowywana w przekonaniu, że te słowa – wypowiedziane przez stosunkowo atrakcyjnego dżentelmena o dobrych zamiarach – były kluczem do szczęścia. Małżeństwo, uczono ją w czasie tysiąca zabaw w herbatki dla lalek, powinno być jej pragnieniem, jej celem… całym sensem jej egzystencji.

Tak wpojono jej tę lekcję, że rzeczywiście poczuła przypływ głupiej ekscytacji, gdy Logan oznajmił jej swój niedorzeczny zamiar. Cichy głos

wewnątrz niej wiwatował. W końcu ci się udało! Nareszcie jakiś mężczyzna chce się z tobą ożenić. Siadaj – nakazała temu głosowi. I zamilknij.

Nie godziła się, żeby poczucie swojej wartości opierać na oświadczynach. W dodatku takich. Które nie były prawdziwymi oświadczynami, a groźbą – wypowiedzianą przez mężczyznę, który nie był dżentelmenem, nie miał dobrych intencji i był do przesady atrakcyjny.

– Nigdy nie śniłam, że to możliwe. – Maddie raz po raz mieszała łyżeczką w kubku. – Nie mieści mi się w głowie, jak to się stało.

– Z pewnością, ja też jestem zdumiona. Zmartwychwstanie to spory wstrząs, rzecz jasna. Większy jeszcze niż ten… – Ciotka podparła brodę grzbietem dłoni i wyjrzała przez okno wychodzące na dziedziniec. – Spójrz tylko na tego mężczyznę.

Maddie podążyła za wzrokiem ciotki.

Kapitan MacKenzie stał na środku trawnika i wydawał polecenia małej grupie żołnierzy pod jego dowództwem. Jego ludzie wprowadzili za mury zamku swoje konie, żeby je nakarmić, napoić i ulokować na noc w stajni. Potem wyrazili zamiar rozbicia obozu.

Właściwie przejmowali zamek.

Dobry Boże. Jak do tego doszło?

Tak samo, jak do wszystkiego innego, powiedziała sobie Maddie.

Z jej winy.

Wiele lat temu popełniła jeden błąd, mniej więcej taki, jak dziecko, które ulepiło śnieżkę. Z początku mała, wyglądała niewinnie i dawała się okiełznać. Mieściła się w dłoni. Ta śnieżka jednak wymsknęła się z dłoni i stoczyła ze wzgórza z zawrotną prędkością.

Od tej chwili wszystko wymknęło jej się spod kontroli. Kłamstwa się rozrastały, nabierały wagi i szalonej prędkości. I bez względu na to, jak długo i prędko za nimi pędziła, nie była już w stanie dogonić śnieżnej kuli.

– I pomyśleć, że moja mała Madling w tak młodym wieku szesnastu lat złowiła taki wspaniały egzemplarz. A ja myślałam, że zajmowałaś się tylko zbieraniem muszelek. – Ciotka Thea bawiła się swoją bransoletką. – Wiem, że sporo nam opowiadałaś o swoim kapitanie, ale zakładałam, że wyolbrzymiasz jego zalety. Tymczasem wygląda na to, że byłaś wręcz powściągliwa. Gdybym była trzydzieści lat młodsza…

– Ciociu, proszę.

– Teraz rozumiem, dlaczego opierałaś się poślubieniu kogoś innego przez cały ten czas. Przy mężczyźnie takim jak ten wszyscy inni blakną. Znam to doskonale. Tak samo było ze mną i hrabią de Montclair. Och, jeszcze raz przeżyć tę wiosnę w Wersalu. – Spojrzała znów na Maddie. – Nie tknęłaś possetu.

Maddie zerknęła na stojącą przed nią kisielowatą aromatyczną breję.

– Zapach ma… ryzykowny.

– Jest taki jak zawsze. Gorące mleko z piwem. Trochę cukru, anyżu, goździków.

– Jest ciocia pewna, że to już wszystko? – Maddie nabrała mikstury na łyżeczkę. – Żadnych specjalnych składników?

– A, tak. Rzeczywiście dodałam naparstek eliksiru doktora Hargreavesa. I szczyptę przypraw do pikli na flegmę. – Skinęła na kubek. – Dalej. Bądź grzeczną dziewczynką i wypij. Do kolacji jeszcze sporo czasu. Powiedziałam twojemu kapitanowi, żeby przyprowadził swoich ludzi na wieczorny posiłek, jak już się rozlokują.

– Będziemy ich karmić? – Wiadomo, że jak zacznie się karmić stado błąkającej się zwierzyny, ono nigdy sobie nie pójdzie. – Kucharka rzuci w proteście pracę.

– To żołnierze. Wystarczy im prosta strawa. Chleb, wołowina, pudding. Wyszukane dania nie są potrzebne. – Ciotka Thea uniosła srebrną brew. – Chyba, że zaoferujesz parę swoich homarów?

Maddie podniosła wzrok, przerażona.

– Fluffy i Rexa? Jak ciocia może w ogóle coś takiego sugerować?

– Sugeruję jedynie, moja droga, że prawdopodobnie kończy się dla ciebie epoka obserwacji skorupiaków.

– Ale pan Orkney zlecił mi narysowanie serii ilustracji przedstawiających cykl życia homara. Gody to zaledwie jego część. One żyją dziesiątki lat.

Homary były tylko jednym z paru drobnych projektów, którymi się zajmowała. Przy odrobinie szczęścia – i pomocy lorda Varleigha – miała nadzieję na większe zlecenia niebawem.

– Masz swój własny cykl życia do przeżycia. – Ciotka Thea przykryła dłońmi dłonie Maddie. – Teraz, kiedy wrócił kapitan, możesz niedługo wyjść za mąż. Oczywiście, zakładając, że nadal chcesz za niego wyjść. Chcesz?

Maddie spojrzała ciotce w oczy.

Nadarzyła się. Okazja, żeby rozbić tę rozrastającą się śnieżną kulę zwinnym kopniakiem prawdy. Zniszczyć ją raz na zawsze.

Prawdę mówiąc, ciociu, nie chcę go poślubić. Widzisz, ja wcale nie złowiłam tego wspaniałego męskiego egzemplarza. Nigdy wcześniej go nie widziałam, dopiero dzisiaj. W ogóle nie było żadnego kapitana MacKenziego. Pod wpływem paniki powiedziałam głupie kłamstwo, żeby uniknąć sezonu rozczarowań. Oszukiwałam wszystkich przez lata i bardzo mi z tego powodu przykro. Tak bardzo przykro i wstyd.

Maddie zagryzła wargę.

– Ciociu, ja…

– Zaczekaj – powiedziała ciotka, wstając od stołu i podchodząc do barku. – Najpierw naleję sobie brandy, żeby to uczcić. Wiem, że to twój cudowny dzień. Że to twój ukochany wrócił do domu. Ale w pewnym sensie to także mój tryumf. Tyle razy musiałam toczyć boje z twoim papą, gdy chciał zmusić cię do powrotu do towarzystwa… Po prostu cieszę się twoim szczęściem. I swoim też. Okazało się, że miałam rację. Dziesięć ostatnich

lat mojego życia ma teraz sens. – Przyniosła szklaneczkę z brandy do stolika. – A więc? Co chciałaś powiedzieć?

Maddie serce się ścisnęło.

– Wie ciocia, jaka jestem cioci wdzięczna. I jak bardzo ciocię uwielbiam.

– Ależ oczywiście, że wiem. Raczej nietrudno mnie uwielbiać.

– Zatem mam nadzieję, że będzie ciocia umiała mi wybaczyć.

– Wybaczyć? – Ciotka się roześmiała. – A niby co, Madling?

Maddie poczuła pulsowanie w skroniach. Ścisnęła łyżeczkę, aż rozbolały ją kostki palców.

– To, że nie piję possetu. – Posłała ciotce potulny uśmiech. – Czuję się lepiej. Czy ja też mogłabym się napić brandy?

Zwyczajnie nie była w stanie tego zrobić. Nie mogła skazywać ciotki na to, żeby cierpiała za błędy Maddie. Ciotka nie miała własnego majątku. W kwestiach finansowych była zależna od Maddie, a Maddie od swojej ciotki we wszystkich innych. Wyjawienie prawdy teraz zbyt mocno by je obie zraniło.

W te kłopoty wpędziła się sama.

Ten onieśmielający Szkot na dziedzińcu był jej problemem. I wiedziała, od razu, że to ona musi go rozwiązać.

Kiedy Logan wyłonił się z zamku, jego ludzie z niepokojem czekali na wieści. I sądząc po ich minach, spodziewali się, że będą to złe wieści.

– I…? – ponaglił go Callum. – Jak poszło?

– Tak dobrze, jak można się było spodziewać – odparł Logan.

Pod pewnymi względami nawet lepiej, niż można się było spodziewać. Logan myślał, że zastanie kobietę naznaczoną bliznami po ospie albo z zajęczą wargą. A już co najmniej, mówił sobie, będzie pospolita. Z jakiego innego powodu dobrze urodzona dziedziczka miałaby wymyślać ukochanego?

Ale Madeline nie miała żadnych widocznych skaz i z pewnością nie była pospolita.

Była słodka.

Słodka kłamczuszka.

Tylko nie bardzo wiedział, czy to dobrze, czy źle.

– Skoro tak – zagadnął Rabbie. – Dlaczego stoi pan tu z nami na dworze?

– Była przekonana, że nie żyję – wyjaśnił. – Nasz powrót jest dla niej wstrząsem. Daję jej chwilę, żeby doszła do siebie.

– No ale przynajmniej ciągle tu jest – skwitował Callum. – Czyli poszczęściło się panu bardziej niż mnie.

Dołączył do nich Munro, chirurg polowy.

– Nadal nie masz wieści o twojej dziewczynie, Callum?

Callum wzruszył ramionami.

– Wieści są. Mój wuj z Glasgow sprawdził rejestry statku, który wypłynął do Nowej Szkocji. Na liście pasażerów nie było panny Mairi Aileen Fraser.

– To chyba dobrze – powiedział Munro. – To znaczy, że nadal jest w Szkocji.

Pucołowaty żołnierz pokręcił głową.

– Powiedziałem, że na liście nie było Mairi Aileen Fraser. Była za to pani Mairi Aileen MacTavish. Takie powitanie spotkało powracającego bohatera.

Starszy mężczyzna poklepał Calluma po plecach.

– Przykro to słyszeć, chłopaku. Ale skoro nie zaczekała, nie była ciebie warta.

– Nie mogę jej winić. – Callum uderzył się w pierś pozostałością lewej ręki – tej pozbawionej dłoni, którą Munro amputował na froncie. – Spójrz na mnie. Kto by czekał na coś takiego?

– Całkiem sporo… – Fyfe czknął. – Dziewczyn, na pewno.

Logan wyciągnął piersiówkę z whisky ze sporranu, wyjął korek i podał ją Callumowi. Słowa współczucia nigdy nie były jego mocną stroną, ale zawsze był gotowy polać następną kolejkę.

To nie tak miało być. Kiedy regiment dotarł do Dover zeszłej jesieni, w Londynie powitano ich jak bohaterów. Później ruszyli na północ. Do domu, na wzgórza. A on patrzył, jak życie i marzenia jego ludzi rozsypują się kolejno jak domki z kart.

Callum nie był wyjątkiem. Trwający przy nim ludzie stanowili resztkę zwolnionych ze służby żołnierzy w najgorszym stanie: bez domu, rannych, tych, którzy pozostali w tyle.

Walczyli dzielnie, przeżyli bitwę, wygrali wojnę dla Anglii w nadziei, że wrócą do swoich rodzin i ukochanych – a tymczasem dowiedzieli się, że ich rodzin, domów i ukochanych już nie ma. Że zostali wyparci z ziem, które zamieszkiwali od wieków, przez tych samych chciwych angielskich obszarników, którzy wyprawili ich na wojnę. A Logan nie był w stanie nic na to poradzić.

Aż do dzisiaj.

Dziś wszystko odzyskał.

Nieporadny mężczyzna na skraju gromady wpadł w panikę.

– Gdzie jesteśmy? Co to za miejsce?

– Spokojnie, Grant.

Historia Granta była najsmutniejsza ze wszystkich. Pocisk z moździerza wylądował za blisko pod Quatre Bras, wyrzucając tego postawnego mężczyznę na dwadzieścia stóp w górę. Przeżył mimo odniesionych ran, ale nie pamiętał nic a nic sprzed godziny. Pamiętał za to dokładnie wszystko ze swojego życia aż do bitwy. Jakakolwiek nowa informacja przelatywała przez jego mózg jak piach przez sito.

– Jesteśmy w zamku Lannair – wyjaśnił Munro. Szpakowaty chirurg miał więcej cierpliwości niż cała reszta razem wzięta. – Wojna już się skończyła. Jesteśmy w domu, w Szkocji.

– Tak? To pięknie.

Nikt nie miał serca tego podważać.

– Niech pan powie, kapitanie – odezwał się postawny mężczyzna. – Wyruszymy wkrótce do Ross-shire? Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć moją babcię i maluchy.

Logan energicznie skinął głową.

– Choćby jutro, jeśli chcesz.

Nie wyruszali jutro do żadnego Ross-shire, ale Grant i tak zapomni o obietnicy. Przez większość dni Logan nie mógł się zdobyć na to, żeby mu powiedzieć, że w Ross-shire byli parę miesięcy temu. Babcia Granta zmarła ze starości, maluchy poumierały na tyfus, a z rodzinnego domu zostały jedynie zgliszcza.

– Może być jutro. – Po chwili Grant zachichotał do siebie i dodał: – Opowiadałem wam kawał o świni, dziwce i kobzie?

Pozostali mężczyźni jęknęli.

Logan uciszył ich spojrzeniem. Pod La Coruñą Grant powstrzymał całą linię woltyżerów, dając ich kompanii czas na wycofanie. Uratował im życie. Mogli zrobić dla niego choć tyle – wysłuchać jego sprośnego żartu po raz kolejny.

– Opowiedz – odezwał się Logan. – Ja chętnie dziś posłucham kawału.

Opowieść trwała dłuższą chwilę, bo Grant zaczynał, zawieszał się i robił przerwy, żeby zebrać myśli. Kiedy wreszcie dotarł do końca, wszyscy mężczyźni zawtórowali mu znużonym tonem:

– Piszcz głośniej, dziewko, piszcz głośniej.

Grant roześmiał się serdecznie i klepnął Logana w plecy.

– Dobre, co? Nie mogę się doczekać, aż opowiem go w domu.

Dom. Innego niż to miejsce Grant nie będzie miał.

Logan odezwał się głośno.

– Rozejrzyjcie się po wąwozie, chłopaki. Zacznijcie wybierać miejsca na domy.

– Nigdy nam na to nie pozwolą – powiedział Rabbie. – Oszalał pan? Minęło ponad osiem lat, odkąd się pan z nią pożegnał. Ta ziemia jest teraz w rękach Anglików. Pańska dziewczyna ma gdzieś ojca albo brata, który się tu zjawi, żeby nas przepędzić i wylądujemy na statku do Australii.

Callum przestąpił z nogi na nogę.

– Może powinniśmy zaczekać, aż będziemy mieć pewność, że ona za pana wyjdzie, kapitanie.

Logan się wyprostował.

– Tym się nie martw. Dopilnuję tego. Dziś wieczorem.

3

Gdy już podjęła decyzję, Maddie umyła twarz, napiła się odrobinę brandy i przygotowała się, żeby wyjść na zewnątrz i stawić czoło kapitanowi Loganowi MacKenziemu. Udało jej się dojść do drzwi – w których pojawił się on i patrzył na nią. Omiótł ją wzrokiem z góry na dół, przyprawiając ją o gęsią skórkę.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebowała zaczerpnąć świeżego powietrza, *mo chridhe*. Wybierzmy się na spacer i porozmawiajmy, tylko we dwoje.

– Świetnie – zgodziła się, lekko rozczarowana, że to nie od niej wyszedł ten pomysł. Chciała nad wszystkim panować. A przynajmniej nad sobą. Ale jak ma nad sobą panować przy takim mężczyźnie?

Z trudem dotrzymywała mu kroku, gdy wyszli z zamku przez kamienną bramę zwieńczoną łukiem. Jego długie, swobodne kroki oznaczały dla niej szybki marsz.

Wyłonili się z cienia zamku na popołudniowe słońce i ruszyli w kierunku jeziora. Woda lśniła zdradliwie – jak na kwiecień było ciepło i słonecznie, a wietrzyk był rześki. Niebo i woda sprawiały wrażenie, jakby konkurowały ze sobą o to, które z nich będzie bardziej niebieskie.

Oczy kapitana MacKenziego wygrywały z jednym i z drugim.

– Jakież piękne popołudnie na spacer nad wodą – powiedział. – Jak za dawnych czasów, w Brighton.

– Mógłby pan przestać mi dokuczać. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że mając szesnaście lat, byłam głupia. Ale nie przestałam dojrzewać,

gdy przestałam pisać listy do pana. Stałam się kobietą.

– Och, doprawdy?

– Tak. Niezależną kobietą. Która zarządza własnym domem i sprawami. A więc rozmawiajmy otwarcie.

Przystanęli na małym skrawku ziemi, który wcinał się w jezioro jak zagięty zielony palec. Wielkie nieba, jakiż on był wysoki. Maddie uświadomiła sobie, że będzie ją bolał kark od patrzenia na niego z zadartą głową. Weszła na duży płaski kamień, zmniejszając dzielącą ich wysokość do nieco wygodniejszej. Niestety, zmniejszenie tej odległości tylko przybliżyło ją do jego przystojnej twarzy i niesamowitych oczu.

To, że jest atrakcyjny, nie ma znaczenia, zganiła się. To nie jest dawno porzucone marzenie, które w cudowny sposób jednak się spełniło. Ten mężczyzna nie był bohaterskim kapitanem MacKenziem, którego wymyśliła. Był po prostu żołnierzem, który przypadkiem nosił to samo nazwisko. I z pewnością nie był w niej zakochany.

Nie, ten mężczyzna chciał czegoś innego i tym czymś nie była Maddie. Jeżeli zdoła się dowiedzieć, jaki ma cel, być może uda jej się go przekonać, żeby odszedł.

– Powiedział pan, że nie chce pan pieniędzy. W takim razie na co pan liczy?

– Na to. – Skinął głową w stronę jeziora. – Na zamek. Ziemię. I jestem gotowy na wszystko, żeby je zdobyć. Nawet żeniąc się z kłamliwą angielską lisiczką.

Wreszcie to było wyjaśnienie, które wydało jej się wiarygodne. Niestety, wydało jej się także potworne.

– Nie może mnie pan zmusić, żebym za pana wyszła.

– Nie będę musiał zmuszać. Wyjdziesz za mnie wystarczająco chętnie. Jak powiedziałaś, teraz jesteś niezależną kobietą. Byłoby wstyd, gdyby te listy – wyciągnął pożółkły papier z kieszeni na piersi – wpadły w nieodpowiednie ręce. – Odkaszlnął i zaczął czytać. – „Mój Drogi Kapitanie

Wymyślony. Dziś rano wpadła z wizytą straszna panna Price. Lavinia zawsze wymusza na mnie historie o Panu. Dziś spytała, czy się całowaliśmy. Odpowiedziałam, że oczywiście, że tak. A potem ona, rzecz jasna, musiała mnie spytać, jaki był ten pocałunek".

Gdy tak czytał, Maddie poczuła, że coraz bardziej piecze ją twarz. Pole widzenia rozmyło się na krawędziach i zamieniło w pulsujący odcień czerwieni.

– Wystarczy, dziękuję.

Czytał dalej.

– „Powinnam była powiedzieć coś trywialnego, na przykład: słodki czy przyjemny. A najlepiej nie mówić nic. A tymczasem…"

– Kapitanie MacKenzie, proszę.

– „A tymczasem – ciągnął – wymknęło mi się to głupie, pyszałkowate słowo. Nie bardzo wiem skąd. Ale jak już je powiedziałam, nie mogłam go cofnąć. Och, mój kapitanie. Powiedziałam pannie Price, że nasz pocałunek był…"

Rzuciła się do kartki. Podniósł rękę nad głowę, odsuwając ją spoza jej zasięgu. Mimo wszystko podskoczyła, na próżno próbując go chwycić. Zaśmiał się po cichu z jej próby, a ona boleśnie odczuła utratę godności.

– „Powiedziałam pannie Price, że nasz pocałunek był ognisty" – dokończył.

O, Boże.

Złożył kartkę i schował ją z powrotem w kieszeni na piersi.

– Ten nie jest wcale taki najgorszy. Jest ich więcej. Dużo więcej. Pewnie sobie przypominasz, że stają się dość osobiste.

Owszem. Przypominała sobie.

Dla młodej Maddie te listy pełniły rolę swoistego pamiętnika. Spisywała w nich rzeczy, których nie miała odwagi wypowiedzieć na głos. Wszystkie nieistotne bolączki, wszystkie najbardziej nieprzyjemne myśli zrodzone z nastoletnich nastrojów i rozczarowań. Jej pełne ignorancji marzenia o tym,

jak może wyglądać miłość pomiędzy kobietą i mężczyzną. Wysyłała te listy do kapitana MacKenziego właśnie dlatego, że nie chciała, żeby przeczytał je ktoś, kto ją zna.

A teraz on groził, że ujawni je światu.

Poczucie rozpaczy zaczęło kipieć w jej brzuchu. Czuła się tak, jakby przez całe nastoletnie życie wciskała swoje najskrytsze marzenia do butelek i wrzucała je do oceanu – aż nagle, po latach, wszystkie zostały jej zwrócone. Przez morskiego potwora.

– A jeżeli nie zgodzę się za pana wyjść? – spytała.

– Wtedy przekażę twoje listy komuś innemu. Komuś, kto będzie nimi bardzo zainteresowany.

Skrzywiła się.

– Pewnie ma pan na myśli mojego ojca.

– Nie, myślałem raczej o londyńskich brukowcach. Najpewniej udam się do obu i sprawdzę, który zaoferuje mi większą stawkę.

– Nie mogę uwierzyć, że ktoś mógłby być tak okrutny.

Zachichotał i dotknął złożonym listem jej policzka.

– Dopiero zaczęliśmy się poznawać, *mo chridhe*. Ale wierz mi, kiedy mówię, że wcale nie jestem taki, jak chciałaś, lecz gorszy, niż mogłabyś sobie wyobrazić.

Jakżeby inaczej.

To był idealny przykład tego, jakie Maddie miała szczęście. Spośród wszystkich stopni wojskowych, ze wszystkich chrześcijańskich imion i wszystkich klanów w Szkocji… na chybił trafił wybrała właśnie jego. Gdyby to była jedynie kwestia swego rodzaju umartwienia, Maddie przyjęłaby tę karę chętnie. Jednak gdyby te listy ujrzały światło dzienne, nie skończyłoby się na zwykłej kompromitacji.

Ludzie wyśmiewają się z głupców, nienawidzą kłamców. Może nie powzięła zamiaru oszukania całej Anglii, ale nie miała oporów, żeby

wzbudzić współczucie rodziny i zazdrość rówieśniczek. Po latach, po wymyślonej śmierci kapitana, przyjmowała od nich kondolencje.

Przyjęła nawet zamek.

Wszyscy krewni dowiedzieliby się, że ich oszukała, i to z tak głupiego powodu. Plotki będą nękały jej rodzinę przez lata. I kto zamówi ilustracje naukowe u kobiety zhańbionej kłamstwami? Mogłoby się okazać, że zostanie bez środków do życia.

Popadała w coraz większą panikę.

– Porozmawiajmy o tym rzeczowo – zaproponowała. – Chce mnie pan szantażować listami, które napisałam, kiedy miałam szesnaście lat. Pan w tym wieku nie zrobił nic lekkomyślnego i głupiego?

– Z pewnością zrobiłem.

– Właśnie – podchwyciła szybko Maddie. Może uda mu się nakłonić go do współczucia. Chyba się zgodzi, że nikt nie powinien być zmuszony płacić całe życie za młodzieńcze szaleństwo. – A jaką głupią decyzję pan podjął?

– Wstąpiłem do wojska – powiedział. – Ponad dziesięć lat później nie przestaję płacić za ten wybór. Większość moich przyjaciół zapłaciła życiem.

Zagryzła wargę. Stawiając sprawę w ten sposób…

– Niech pan spróbuje zrozumieć. Jeżeli przeczytał pan moje listy, na pewno pan wierzy, że nie kłamałam dla przyjemności. Po prostu sprawy wymknęły mi się spod kontroli. Tyle razy żałowałam, że się wtedy odezwałam.

– Cofnęłabyś to wszystko?

– Tak. Bez wahania.

Wydało jej się, że skrzywił się lekko przez ten jej zapał, ale może to tylko jej wyobraźnia. Wyobraźni miała w nadmiarze. Zwłaszcza jeżeli chodziło o mężczyzn w kilcie.

– Skoro chcesz cofnąć swoje kłamstwa, powinnaś za mnie wyjść.

– Jak pan wysnuł ten wniosek?

– Zastanów się. Pisałaś listy do swojego Szkota celowo. Otrzymałem je. Tak wyglądają nagie fakty, czyż nie?

– Chyba tak.

– Gdy za mnie wyjdziesz, żadna z tych rzeczy nie będzie kłamstwem – zauważył. – Będzie dokładnie tak, jakbyś mówiła prawdę przez te wszystkie lata.

– Poza wątkiem, że się kochamy.

Wzruszył ramionami.

– To szczegół. Miłość to kłamstwo, które ludzie sobie wmawiają.

Maddie chciała zaprzeczyć temu stwierdzeniu, ale nie była pewna, czy jest w stanie znaleźć przekonujący argument. Na pewno nie z własnego doświadczenia. I mimowolnie była coraz bardziej zaintrygowana.

– Jaki układ pan proponuje?

– Prosty. Pobierzemy się każde z własnych powodów, z korzyścią dla obu stron. Ja dostanę posiadłość. Ty dostaniesz z powrotem listy.

– A co… – Jej policzki zabarwił rumieniec. – No, wie pan.

– Nie jestem pewien, czy wiem.

Doskonale wiedział, o co jej chodziło, łajdak. Chciał się tylko zabawić, zmuszając ją, żeby to powiedziała. Wydusiła z siebie te słowa.

– Co z pożyciem małżeńskim?

– Czy zamierzam cię zgwałcić, chcesz powiedzieć? – Uniósł jedną brew. – Małżeństwo musi zostać skonsumowane. Ale dziećmi nie jestem zainteresowany.

– Och. Ja też nie jestem zainteresowana dziećmi.

To niezupełnie była prawda. Maddie uwielbiała małe dzieci. Ale z takiego czy innego powodu dawno porzuciła myśl o tym, że sama będzie matką. Zgaszenie ostatniej iskry nadziei nie będzie wymagało zbyt wielkiego poświęcenia.

– Więc tylko jedna noc? – spytała. – I żadnego uczuciowego zaangażowania.

Skinął głową.

– Będziemy musieli ze sobą mieszkać tylko przez kilka miesięcy. Na tyle długo, żebym nabył prawo własności do zamku. Wybuduję parę domów, obsieję ziemię. Potem będziesz mogła robić, co chcesz.

– To znaczy odejść? Co powiem rodzinie?

– Że jak wiele innych par pobraliśmy się za szybko, ale się zreflektowaliśmy i chcemy żyć osobno. To nie jest takie rzadkie.

– Rzeczywiście – przyznała Maddie. – To nie takie rzadkie. Właściwie to nie byłoby wcale kłamstwo.

Kręciło jej się w głowie.

Pomysł małżeństwa w pierwszej chwili zabrzmiał absurdalnie. Ale może jednak to rzeczywiście równie dobre posunięcie, jak cofnięcie się w czasie? Może naprawdę jest w stanie to odkręcić – tę niedorzeczną, spontaniczną bajkę, która zawładnęła jej życiem.

I, och – poczuła ukłucie w sercu.

Po raz pierwszy od lat mogłaby odwiedzić rodzinę, nie czując się jak oszustka. Ta upleciona przez nią pajęczyna kłamstw sprawiła, że nie mogła się nikomu zwierzyć. Nie miała odwagi pozwolić się komukolwiek zbliżyć za bardzo. Samotność ją zmęczyła. Potwornie. A kiedy nie będzie odwiedzać przyjaciół lub rodziny, będzie mogła siedzieć w zamku i dalej spokojnie pracować. Kapitan MacKenzie będzie zajęty zarządzaniem posiadłością.

Będzie musiała dzielić z nim łoże tylko raz.

Zerknęła ukradkiem na jego nagie nogi.

Może ta część z łóżkiem nie będzie znowu taka zupełnie tragiczna.

Przynajmniej będzie miała okazję zaspokoić ciekawość w kilku kwestiach. Całe dnie spędzała na wyczekiwaniu na gody homarów. Naturalnie, zastanawiała się nad ludzkim odpowiednikiem od czasu do czasu.

– Czekam na twoją decyzję – oznajmił. – Wyjdziesz za mnie, czy mam przekazać te wszystkie listy londyńskim brukowcom?

Zamknęła na chwilę oczy.

– Obieca mi pan, że nikt nigdy nie dowie się prawdy?

– Przysięgam, że nikt nie dowie się jej ode mnie.

– I że nie będę musiała rezygnować z moich zainteresowań i hobby.

Kiwnął głową.

– Masz swoje życie, a ja swoje.

Maddie zakręciło się w głowie, jakby stała nad przepaścią. Wzięła głęboki oddech, zebrała się na odwagę… i skoczyła.

– Świetnie, zgadzam się. Możemy się pobrać tak szybko, jak to możliwe.

– Możliwe? – roześmiał się. – To jest Szkocja, dziewczyno. Nie trzeba czekać na zapowiedzi ani brać ślubu w kościele.

– Ale obiecał pan, że nikt nie domyśli się prawdy. To znaczy, że musi pan sprawiać wrażenie, że jest pan we mnie zakochany, przynajmniej na początku. Myślę, że gdyby był pan moim prawdziwym kapitanem MacKenziem i czekalibyśmy te wszystkie lata, żeby być razem, chciałby pan, żebym miała ślub z prawdziwego zdarzenia.

Zmniejszył dzielącą ich odległość.

– Dziewczyno, gdybym był twoim prawdziwym kapitanem MacKenziem i spędził tyle lat na wojnie, tęskniąc do kobiety, której pragnąłem bardziej niż tego, żeby żyć…? – Dotknął kosmyka jej włosów. – Nie czekałbym jednej nocy.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę. I zrobiłbym to godzinę temu.

Przechylił głowę na bok. Jego wzrok padł na jej usta. A potem jego wargi zrobiły bardzo dziwną rzecz. Zaczęły przysuwać się do jej warg.

To niemożliwe, że on… O, Boże. A jednak. Miał zamiar ją pocałować.

– Chwileczkę. – Spanikowana Maddie położyła obie dłonie na jego piersi, powstrzymując go. – Pana ludzie, moja służba… Mogą na nas patrzeć.

– Ależ ja jestem pewien, że na nas patrzą. Właśnie dlatego się pocałujemy.

– Ale ja nie umiem. Wie pan, nie wiem jak.

Jego wargi się wykrzywiły.

– Ale ja wiem.

Te trzy krótkie słowa, wypowiedziane tym niskim głosem z miażdżącym szkockim akcentem, absolutnie nie złagodziły obaw Maddie.

Na szczęście dostała chwilę wytchnienia. On się cofnął i spojrzał na jej włosy. Wyglądał jak chłopak zachwycający się mechanizmem zegarka, który się zastanawia, jak to wszystko działa.

Po paru chwilach poczuła, jak on chwyta kredkę, spinającą jej kok. Jednym długim, spokojnym szarpnięciem wyciągnął ją i odrzucił na bok.

Wylądowała z pluskiem w jeziorze.

Wsunął palce w jej włosy, uwalniając kosmyki z bezładnego upięcia i ułożył je wokół jej ramion. Czule. Jak zawsze sobie wyobrażała, że robi to kochanek. Iskierki przebiegły ją od czubka głowy po palce u nóg.

– To był mój najlepszy ołówek – powiedziała.

– To tylko ołówek.

– Z Londynu. Mam niedużo w zapasie.

Jego kciuk pieścił jej policzek.

– Mało nie wybiłem sobie oka. A też mam ich niedużo w zapasie. Poza tym tak ci ładniej.

– Ale… – Wstrzymała oddech. – Och.

Ujął jej policzki w swoje dłonie i skierował jej twarz do swojej.

Puls dudnił jej w uszach. Wpatrywała się w jego usta.

Przeszyła ją fala nieuchronności.

– To się dzieje naprawdę, zgadza się? – wyszeptała.

W odpowiedzi przycisnął wargi do jej warg. A Maddie zamarła. Nie przeszyła jej błyskawica zmysłowego doznania, której oczekiwała. Była przyklejona do jego twarzy, gapiła się na jego kość policzkową. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić.

Zamknij oczy, idiotko.

Może jeżeli będzie bardzo nieruchoma i się skupi, jej głupota nie będzie się tak rzucać w oczy. Może on będzie w stanie nauczyć ją, jak się całować, tak samo jak niebo nauczyło jezioro, jak być niebieskim.

To było głupie ryzyko, całowanie jej tak szybko.

Logan uświadomił to sobie w chwili, gdy jego wargi dotknęły jej warg, a ona zesztywniała. Niech to szlag. Jeżeli ten uścisk pójdzie źle, możliwe że ją przestraszy i jego wielkie plany spełzną na niczym, jeszcze zanim cokolwiek się zaczęło.

To oznaczało, że wyzwanie było jasne. Musi się postarać, żeby ten pocałunek wypadł dobrze.

– Ćśśś, *mo chridhe*. Delikatnie.

Dotykał wargami jej warg łagodnymi muśnięciami, z całą cierpliwością i czułością, na jaką mężczyznę takiego jak on było stać – co nie wymagało wielkiego wysiłku. Ale po chwili ona odpowiedziała w nieśmiały, słodki sposób. Jej wargi też musnęły jego usta.

Te same dłonie, które wcześniej położyły się płasko na jego piersi, żeby go powstrzymać teraz chwyciły poły jego płaszcza i przyciągnęły go bliżej. Jej wargi rozchyliły się pod jego wargami, a on wsunął pomiędzy nie język. Lekkie westchnienie dobiegło z głębi jej gardła, zachęcające i słodkie. Badał jej usta powolnymi, leniwymi pociągnięciami.

Aż wreszcie jego cierpliwość została nagrodzona, kiedy jej język dotknął lekko jego języka.

Święty Boże. Niemal ugięły się pod nim kolana.

Tak. W ten sposób to się robi.

Teraz już miała pojęcie, jego bystra mała kłamczuszka. Kiedy badał, poddawała się. Kiedy brał, dawała. I odwzajemniała się tym samym.

Logan mógłby stać nad tym jeziorem o lustrzanej tafli i całować ją godzinami. Całymi dniami. Może nawet tygodniami i miesiącami, wśród zmieniających się wokół nich pór roku.

Było w niej coś odmiennego. Smak, którego nie potrafił nazwać, poza tym że nigdy wcześniej nie czuł go w trakcie pocałunku. Odrobina pikanterii, odrobina słodyczy, a wszystko to gorące.

Cokolwiek to było, ta kusząca esencja sprawiła, że chciał całować mocniej, zagłębić się bardziej w jej poszukiwaniu. Jakby mógł jej zaczerpnąć i przywłaszczyć. Ale nie chciał przestraszyć Maddie. Po ostatnim subtelnym muśnięciu jej warg swoimi, podniósł głowę.

Zapomniał, że ona cały czas wspina się na palcach, balansując na tym kamieniu. Gdy ją wypuścił i się cofnął, zatoczyła się na niego. Ich ciała zderzyły się z głuchym „bum”. Łagodność spotkała się z siłą. Kierując się instynktem, porwał ją w ramiona. Czuł ją całą na sobie. Ciepłą, krągłą i kobiecą i tak ożywioną pod tym szarym żałobnym habitem.

Wtedy spojrzała na niego w górę – tymi wielkimi brązowymi oczami cielęcia, okolonymi czarnymi rzęsami, a jej nabrzmiałe od pocałunku wargi lekko się rozchyliły.

Święty Boże. Jego kolana tym razem naprawdę się ugięły. Logan wierzył w to, co jej wcześniej powiedział, całą mocą tego, co miał w miejscu, w którym powinno znajdować się serce. Miłość to kłamstwo, które ludzie sobie wmawiają. Ale pożądanie?

Pożądanie było prawdziwe i on je czuł. Czuł do szpiku kości. Kiedy ją do siebie tulił, krew pulsowała mu pod wpływem najbardziej gwałtownego, najbardziej pierwotnego pragnienia. Takiego, które oznaczało posiadanie, żądanie i zawłaszczenie.

Doprowadzała go do szaleństwa.

Z pewnością tylko dlatego, że od tak dawna nie miał kobiecego towarzystwa. Madeline nie była nawet w jego guście. Gdyby miał wybór, wolałby ładną Szkotkę z ognistymi włosami i błyskiem doświadczenia w oczach. Zamiast nieśmiałej, poprawnej Angielki z dobrego domu, która dopiero uczy się, jak smakuje pierwszy pocałunek. Ale pod tą nieśmiałością i rezerwą kryła się naturalna, przyziemna zmysłowość. Nie mógł powstrzymać myśli, co mogłoby to oznaczać w łóżku – gdy wszystkie zasady i gorsety zostałyby porzucone, a ciemność uwolniłaby ją z poprawności.

Cholera. Znów się nad nią zastanawiał. Był tym zmęczony, tym zastanawianiem. Zastanawiał się nad tą kobietą o wiele za długo. Dzień za cholernym dniem, noc za lodowatą nocą. Przez lata. Doprowadzała do go szaleństwa.

Musiał ją zobaczyć. Odszukać. Poczuć jej smak. Wszędzie. Usłyszeć ciche odgłosy, jakie wydaje z rozkoszy.

Tylko raz. Wtedy zastanawianie zastąpi wiedza i ta kobieta nie będzie go już więcej nękała.

Podniósł ją z kamienia i postawił na ziemi.

– Kapitanie MacKenzie – powiedziała rozmarzonym głosem. – Bę…

– Logan – poprawił. – Chyba lepiej, żebyś teraz mówiła do mnie po imieniu.

– Tak. Chyba tak. Logan.

– Co chciałaś powiedzieć?

Pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia.

Przyjął to za dobry znak.

– Lepiej pójdę się umyć i zbiorę ludzi – powiedział. – Możesz zacząć się szykować do ceremonii.

– Chyba powinien mi wystarczyć tydzień – powiedziała. – Choć wolałabym dwa.

Pokręcił głową.

– Nie zamierzam czekać tydzień.

– W takim razie parę dni. Daj mi przynajmniej tyle. Ja… nie mam odpowiedniej sukni.

– Nie obchodzi mnie kolor twojej sukni, dziewczyno. I tak zaraz ją z ciebie zdejmę.

Zamrugała.

– Och.

Logan wiedział, że musi doprowadzić do tego szybko. Jeżeli da jej czas na przemyślenia, może dojść do wniosku, że jednak wcale się na to nie zgadza.

Spojrzał na słońce opadające nad zielonym horyzontem.

– Masz trzy godziny. Pobieramy się dziś wieczorem.

4

*M*addie zawsze była inna od reszty dziewczyn i zawsze o tym wiedziała. Na przykład była pewna, że jest jedyną panną młodą, która spisała następującą listę spraw do załatwienia w dniu swojego ślubu:

- Kąpiel
- Uczesanie
- Suknia
- Homary

Trzy godziny później była wykąpana, uczesana i ubrana – i, niestety zarówno dla niej, jak i dla Rexa nadal nie było śladu wylinki Fluffy. Teraz stała na galerii i spoglądała z góry na miejsce swojego szkockiego ślubu. Sceneria była surowa. Pora roku zbyt wczesna na kwiaty, żadnych wstążek pod ręką, a na nic innego nie wystarczyło czasu.

Na dworze rozpętała się wiosenna burza. Wiatr i deszcz wyły, smagając mury zamku. W wysokim holu świece płonęły w każdym kandelabrze. Płomienie tańczyły i migotały, i wyglądały na równie niespokojne jak ona sama.

Służący stali po jednej stronie holu. Ludzie kapitana MacKenziego po drugiej. Obie grupy czekały na nią.

A ona nie chciała niczego bardziej niż zostać dokładnie w tym miejscu, w którym się znajdowała, na zawsze. Albo pójść i ukryć się z Fluffy pod kamieniami.

– Gotowa?

Podskoczyła, przestraszona. Logan dołączył do niej na galerii, zakradając się cicho jak kot. Zakradając się też z całą swoją wspaniałością.

Litości.

On też się wykąpał. I ogolił. Większa część jego brązowych włosów została ujarzmiona za pomocą grzebienia, ale kilka niesfornych kosmyków opadło mu na czoło w zawadiackim stylu.

Ktoś wyczyścił mu jego czerwony płaszcz i wypolerował guziki. Złote warkocze i mosiądz lśniły w blasku świec. Był nieziemsko przystojny wcześniej. Teraz był wspaniały.

Maddie czuła, że mu nie dorównuje. Becky zrobiła, co mogła z jej włosami, ale Maddie nie miała wyjścia i musiała włożyć jedną ze swoich codziennych ciemnoszarych sukien. Nie uszyła sobie nic innego od lat. Jaki miałoby to sens? Nigdy nigdzie nie wychodziła, nie zażywała rozrywek. Z pewnością nie była przygotowana na ślub.

– Nie czuję się na to gotowa – wyznała.

Omiótł ją szybko niedbałym spojrzeniem.

– Wyglądasz na wystarczająco gotową.

Raczej żadna panna młoda nie marzy o tym, żeby usłyszeć takie słowa w dniu swojego ślubu. Nie: wyglądasz pięknie. Nie: wyglądasz cudownie. Wyglądasz na wystarczająco gotową.

Spojrzała w dół na pół tuzina żołnierzy stojących w rzędzie w holu.

– Co twoi ludzie myślą, że dziś się tu odbywa?

– Myślą, że się z tobą żenię.

– Więc wiedzą o listach?

– Tak, wiedzą, że je dostawałem. Ale nigdy ich nie czytali.

Maddie chciałaby wierzyć, że mówi prawdę, ale w to wątpiła. Dla żołnierza w ponurych okolicznościach brednie niewyżytej angielskiej dzierlatki z wybujałą wyobraźnią musiały być niezłą rozrywką. Dlaczego

miałby je zatrzymać dla siebie? O wiele bardziej prawdopodobne wydawało się, że listy krążyły wokół ogniska dla rozbawienia w posępne noce.

– Tylu tam ludzi – odezwała się. – I taka wielka przestrzeń.

O wiele za bardzo zaczęło to wyglądać na tłum. A Maddie nie radziła sobie w tłumie.

– Musisz wiedzieć z moich listów, że nie cierpię towarzyskich skupisk takich jak to. Wymyśliłam cię właśnie z powodu tej mojej nieśmiałości.

– Wymyśliłaś mnie? Dziewczyno, ty mnie nie wymyśliłaś.

– Nie, masz rację. Wymyśliłam człowieka wyrozumiałego i dobrego. – Skrzyżowała ręce na piersiach i objęła się. Nie zanosiło się, żeby miał zrobić to ktoś inny. – Nigdy nie słyszałeś określenia: chorobliwie nieśmiały? Uwaga całego pomieszczenia ludzi… dla mnie to jak lodowaty podmuch w największy mróz. Najpierw wszędzie zaczyna mnie szczypać skóra. Później drętwieję. A potem zamieram.

– Rozejrzyj się.

Odwrócił jej twarz w stronę holu, a potem stanął za nią i położył dłonie na poręczy, zamykając ją w swoich ramionach. Jego twardy tors dotknął jej pleców, a jego broda przycisnęła się do jej skroni. Ta poza była intymna i dziwnie krzepiąca.

Wskazał kolejno swoich ludzi.

– Tamten na końcu, Callum, stracił dłoń. Rabbie ma nogę pełną odłamków. Fyfe budzi się z krzykiem co noc, a Munro prawie w ogóle nie może spać. Dalej jest Grant. Nie jest w stanie nic zapamiętać od Quatre Bras. Nawet gdyby zauważył, że jest z tobą coś nie tak, po godzinie by o tym nie pamiętał. Nie ma tu ani jednego człowieka, który nie miałby swojego brzemienia.

Ani jednego człowieka?

Wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na niego – na całe jego idealne sześć stóp wzrostu.

– Jakie ty masz brzemię?

– Brzemię odpowiedzialności. – Jego głos ściszył się do intensywnego szeptu. – Zaprowadziłem tych ludzi na wojnę. Kiedy byli zmęczeni, zmarznięci i umierali ze strachu, kazałem im walczyć. Obiecałem, że doczekają dnia, kiedy wrócą do swoich żon, ukochanych, do swoich dzieci i ziem. A tymczasem wrócili i nie zastali nic.

Jego złość była wyczuwalna, aż Maddie zjeżyły się włoski na karku.

– Dziś wieczorem – odezwał się – odzyskuję ich przyszłość.

– Więc po to chcesz tę ziemię? Dla nich?

Kiwnął głową.

– Wyraziłem się jasno, że ucieknę się choćby do kłamstwa, szantażu czy kradzieży. Ale na wypadek, gdybym potrzebował to podkreślić, *mo chridhe*, zejdziesz tam, nawet gdybym musiał przerzucić cię przez ramię i nieść jak worek owsa.

– To nie będzie konieczne.

Puścił poręcz, cofnął się o krok i zaoferował swoje ramię. Maddie je przyjęła. Już dłużej tego przeciągać nie mogła. Trzymając się pod rękę, zeszli po schodach. Była świadoma skierowanych na nią dziesiątek oczu, których spojrzenia przenikały ją jak zimowy wiatr – ale przynajmniej miała oparcie w tym wysokim, przystojnym Szkocie. Ciotka Thea posłała jej ciepły uśmiech, gdy Maddie ją mijała. To też pomogło.

Przeszli na środek pomieszczenia. Po drodze Logan zatrzymywał się, żeby przedstawić ją swoim ludziom. Każdy z żołnierzy jej się kłaniał. Wśród ich powagi i burzowej scenerii w blasku świec Maddie poczuła się, jakby została przeniesiona do innej epoki. Mogłaby być średniowieczną panną młodą, przyjmującą hołd lenny od ludzi z klanu jej szkockiego lairda. Krzepiąca była świadomość, że robił to powodowany lojalnością wobec swoich ludzi, a nie ze zwykłej chciwości. Nawet jeżeli gardził nią, wiedziała przynajmniej, że jest zdolny do troski o kogoś innego.

– To jest Grant – powiedział Logan, kiedy dotarli do potężnego, zwalistego mężczyzny na końcu linii. – Będzie ci się przedstawiał kilka

razy.

– O co tu chodzi, kapitanie? – Zdezorientowany wielki mężczyzna potarł ogoloną głowę jedną ręką i rozejrzał się dookoła. – Gdzie jesteśmy?

Logan wyciągnął rękę i położył dłoń na ramieniu Granta.

– Spokojnie. Jesteśmy z powrotem w Szkocji, *mo charaid*. Wojna się skończyła, jesteśmy w zamku Lannair w Ivernesshire.

Kolos skierował wzrok na Maddie.

– Kim jest ta dama?

Maddie wyciągnęła rękę.

– Jestem Madeline.

– To pana ukochana? – spytał Grant Logana. – Ta, która wysyłała te wszystkie listy?

Logan skinął głową.

– Żenię się z nią. Dokładnie w tej chwili, ściśle mówiąc.

– Tak? – Mężczyzna wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem z jego piersi wydobył się niski śmiech. Uśmiechając się, szturchnął Logana łokciem. – Ma pan farta!

W tej chwili Maddie wiedziała jedno. Szeregowy Malcolm Allan Grant był jej nowym ulubieńcem. Sprawił, że poczuła się ładna w dniu swojego ślubu. Więc tak długo, jak będzie żyć, mu tego nie zapomni.

– A możemy niedługo pojechać do Ross-shire, kapitanie? – spytał Grant. – Chciałbym zobaczyć moją babcię i maluchy.

– Jutro – odparł Logan. – Pojedziemy tam jutro.

– Dobrze.

Po tych ustaleniach Logan zaprowadził ją na środek sali.

– Lepiej zaczynajmy.

– Kto będzie odprawiał ceremonię?

– Munro ją poprowadzi, nie potrzebujemy nikogo, żeby ją odprawiał. Nie mamy obrączek, żeby je poświęcić. Ślub będzie tradycyjny, jak za dawnych czasów Szkocji. To będą szybkie zarękowiny.

– Zarękowiny? Myślałam, że one trwają tylko rok i jeden dzień.

– Może w książkach. Ale kościół zakazał związków tymczasowych. Co nie oznacza, że młoda para nie może złożyć tradycyjnej przysięgi według dawnych obyczajów. Spleciemy dłonie, o tak. – Chwycił ją za nadgarstek i ścisnął prawą rękę swoją prawą dłonią. – Teraz mnie chwyć.

Zrobiła, o co prosił, zaciskając palce wokół jego ręki najmocniej, jak mogła.

– I druga – podpowiedział.

Ujął jej lewy nadgarstek w ten sam sposób, a ona złapała jego. Ich splecione dłonie tworzyły teraz krzyż. Przypominało to trochę przeplatankę albo dziecięcą zabawę.

Logan skinął na Munro.

Mężczyzna wyszedł naprzód i owinął tartan wokół ich splecionych dłoni, łącząc je w ten sposób. Maddie przyglądała się, skamieniała, jak pas tkaniny owija się nad jej nadgarstkiem i pod jego ręką, splatając je razem. Serce zaczęło jej bić szybciej. Oddech też stał się szybszy. Miała wrażenie, że jej umysł jest lekki i mglisty jak chmura. On na pewno to widział. Jego uścisk zacieśnił się na jej nadgarstku.

– Nie możemy tego zrobić na osobności? – wyszeptała.

– Muszą być świadkowie.

– Zgoda, ale aż tylu? To tylko…

Nie zdołała dokończyć prośby. Osaczyło ją odrętwienie, jak zawsze. Chłód ją dopadał, choćby nie wiem jak mocno się chowała. I lód skuł ją od palców u stóp po język, nie pozwalając jej się odezwać ani poruszyć. Puls dudnił jej głucho w uszach, a czas płynął wolno jak lodowa kra.

– Spójrz na mnie – rozkazał.

Gdy to zrobiła, zauważyła, że on wpatruje się w nią z góry. Wzrok miał skupiony, zniewalający.

– Nie zwracaj uwagi na innych. Jesteśmy tu teraz tylko ja i ty.

Jego ciche słowa otuchy zrobiły z nią coś dziwnego. Coś, co uznałaby za niemożliwe. Rozgrzały jej krew od środka i sprawiły, że zapomniała o wszystkich innych w holu. Osłonił ją tarczą przed snopem zainteresowania. W tej chwili naprawdę istnieli tylko oni dwoje.

Nagle deszcz, ciemność, świece, pierwotna symbolika związania z innym człowiekiem… Wszystko to wydawało się magiczne. I nieznośnie romantyczne.

Nawiedziło ją dziwne, silne wrażenie, że to wszystko jest dokładnie tym, o czym marzyła, odkąd skończyła szesnaście lat.

Nie, błagała siebie samą. Nie wyobrażaj sobie, że to coś więcej niż w rzeczywistości. Tak zaczynają się wszystkie twoje kłopoty.

– Teraz powtórz słowa, które wypowiem – odezwał się Logan.

Wymruczał coś po szkocku, a ona powtórzyła słowa najlepiej jak umiała.

– Dobrze – pochwalił.

Znowu zrobiło jej się ciepło w środku. Jak idiotce.

Kiedy dokończyła swoją kwestię, on wypowiedział swoją, podobną. W gąszczu gaelickich słów usłyszała swoje imię. Po tym Munro wyszedł naprzód i odwinął tkaninę.

– Co teraz? – spytała Maddie.

– Nic. – Pochylił głowę i złożył pospieszny pocałunek na jej wargach. – Już po wszystkim.

Mężczyźni zgotowali im głośną owację.

Już po wszystkim. Była mężatką.

Czy czuła się inaczej? Czy powinna czuć się inaczej?

– Nie oczekuję, że będziesz nosiła pełny szkocki strój – powiedział jej świeżo poślubiony mąż. – Ale teraz, kiedy jesteś panią MacKenzie, nigdy nie powinnaś się rozstawać z tym.

Jeden z mężczyzn podał mu kupon zielono-niebieskiego tartanu. Logan przewiesił go jej od ramienia do pasa, jak szarfę. Ze swojego sporranu

wyciągnął coś drobnego, co zamigotało w blasku świec. Spiął tym pled z przodu.

– O, jakie to piękne – powiedziała ciotka Thea. – Co to jest?

– To brosza *luckenbooth* – wyjaśnił żołnierz, ten, który nazywał się Callum. – Według szkockiej tradycji mężczyzna daje taką broszę swojej ukochanej.

– W takim razie powinieneś był dać ją jej w Brighton wiele lat temu – skwitowała ciotka Thea.

– Powinienem był. Chyba zapomniałem. – Mówiąc to, posłał Maddie figlarne spojrzenie.

Nagle, niczym błyskawica, przeszyła ją pewna prawda, którą sobie uświadomiła. Teraz miała powiernika. Konspiratora. Kogoś, kto wiedział wszystko. Znał wszystkie jej sekrety. Nie kochał jej z ich powodu, ale też nie uciekł od niej z krzykiem. Ten bezwzględny obcy mężczyzna w kilcie, którego przed chwilą poślubiła, może być dla niej kimś na kształt przyjaciela, którego nigdy nie miała.

Gdzieś rozległ się grzmot, całkiem niedaleko. Płomienie świec drgnęły i się skuliły. Widocznie burza przechodziła tuż nad ich głowami.

– Co się dzieje? – spytał Grant, bardziej skołowany niż przed rozpoczęciem ceremonii. – Strzelają do nas, kapitanie. Musimy się kryć.

Maddie zrozumiała, co Logan miał na myśli, mówiąc o pamięci potężnego żołnierza. Biedak. Logan znów wyciągnął rękę do przyjaciela. Po raz kolejny wyjaśnił mu, że są bezpieczni w Szkocji. Obiecał, jak poprzednio, że jutro zabierze go do Ross-shire, żeby zobaczył się z babcią i dziećmi. Ileż to razy musiał zapewniać go o tym samym, zastanawiała się Maddie. Setki? A może tysiące? Musiał mieć świętą cierpliwość.

– A kto to jest? – Grant skinął na Maddie.

– Jestem Madeline. – Wyciągnęła rękę.

– To pani jest tą ukochaną, która pisała do niego te wszystkie listy?

– Tak – potwierdził Logan. – A teraz jest moją żoną.

Grant zachichotał i szturchnął Logana łokciem w bok.

– Ma pan farta.

Tak, pomyślała Maddie. Grant nadal był jej ulubioną nowo poznaną osobą. Choć pamięć go zawodziła, wiedziała, że będzie jej miło mieć go obok siebie.

Właściwie zastanawiała się, czy nie pocałować go w policzek, kiedy hol rozbłysł na biało, a potem zrobiło się ciemno. Całym zamkiem wstrząsnął potężny…

Grzmot.

– Maddie, na ziemię.

Kiedy piorun uderzył, serce stanęło Loganowi w gardle. I po raz pierwszy od lat jego pierwszym odruchem nie było uspokojenie Granta ani chronienie swoich ludzi. Cała jego uwaga skupiona była na młodej żonie. Objął ją obiema rękami, przycisnął do piersi i pociągnął na ziemię, na wypadek gdyby coś nad ich głowami się urwało i spadło. Kiedy żyrandole przestały się kołysać i niebezpieczeństwo minęło, pochylił się do niej.

– Wszystko w porządku? – upewnił się.

– Tak, pewnie. Tylko przestraszyłam się huku.

Nadal drżała. A Logan nie sądził, że wyłącznie z powodu burzy. W trakcie całej ceremonii wyczuwał jej skrępowanie. Robiła się coraz bledsza, a kiedy mieli wypowiadać słowa przysięgi, nie chciała spojrzeć mu w oczy.

Nie przesadzała, mówiąc, że nie lubi ludzkich skupisk. A to był zaledwie tuzin osób w zamku położonym w najodleglejszym zakątku Szkocji. O ile gorzej czułaby się w zatłoczonej londyńskiej sali balowej?

Przywykł do myśli, że Maddie jest rozwydrzona i kapryśna i dlatego wymyśliła sobie w ten sposób ukochanego. Ale teraz zaczynał się zastanawiać, czy nie kryło się za tym coś więcej.

Do licha. Znów o niej rozmyślał. Ale to rozmyślanie skończy się dziś wieczorem.

I nie miało znaczenia, czy ta jej chęć chronienia się miała jakieś podstawy. Od tej pory to on był tym, który miał ją chronić.

Właśnie to przysiągł przed swoimi ludźmi i przed Bogiem, i choć to małżeństwo było układem, nie należał do ludzi, którzy lekceważą taką przysięgę.

Pomógł jej się podnieść, doskonale świadom tego, jaka jest drobna, jaka delikatna. Każdy rumieniec na policzkach czy z trudem wzięty oddech stał się nagle powodem jego troski.

Co nie miało najmniejszego sensu, zważywszy, że w jej oczach był łajdakiem. Właśnie przymusił ją do małżeństwa, którego nie chciała, a teraz nagle ogarnęła go obsesja na punkcie tego, żeby ją chronić? Śmiechu warte. Niemniej jednak prawdziwe.

– Dobrze się czujesz? – upewnił się, pomagając jej wstać.

– Jestem tylko trochę słaba. Może przez to, że tak długo stałam.

Jego ludzie na pewno oczekiwali przyjęcia. Muzyki, jedzenia, tańców. Logan poprosił wcześniej zamkową kucharkę, żeby przygotowała ucztę z winem.

– Chodź, zaprowadzę cię na górę.

– Tylko powoli, jeżeli możesz – wyszeptała do niego. – Żebym mogła dotrzymać ci kroku.

– To nie będzie konieczne. Zamierzam cię zanieść.

– Jak worek owsa?

– Nie, dziewczyno. Jak pannę młodą.

Wziął ją na ręce i wyniósł z holu wśród wiwatów swoich ludzi i wyraźnego zadowolenia na twarzy ciotki Maddie.

Jednak kiedy już opuścili hol, Logan uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, dokąd iść.

– Którędy dojdę do twojego pokoju?

Pokierowała go. Droga składała się z całego mnóstwa schodów.

– Wchodzisz po tych wszystkich schodach każdego wieczora? – spytał, próbując ukryć fakt, że dostał lekkiej zadyszki.

– Zwykle kilka razy dziennie.

To był właśnie problem ze szkockimi twierdzami, pomyślał. Budowano je wysokie i wąskie, żeby były jak najbardziej bezpieczne w czasie oblężenia – przez to w środku składały się z samych schodów.

– Pierwotni lairdowie ulokowaliby tam na górze służbę. Dlaczego nie korzystasz z któregoś z pokojów na niższych piętrach?

Wzruszyła ramionami.

– Lubię ten widok.

Jej sypialnia, gdy już do niej dotarli, była urządzona ciepło i przytulnie. Przestrzenie pod skosami dwuspadowego dachu wypełnione były rzędami książek i drobnymi ozdobami. Nie wyglądała wcale tak, jak spodziewał się, że będzie wyglądała sypialnia angielskiej młodej damy – ale znając treść listów Maddie, zauważył, że doskonale odzwierciedla jej osobowość.

Jego wzrok przyciągnęła para miniaturowych portretów na toaletce, przedstawiających dwoje jasnowłosych dzieci, chłopca i dziewczynkę. Od razu ich rozpoznał.

– To Henry i Emma – powiedział.

– Zgadza się. Skąd wiedziałeś?

Wzruszył ramionami.

– Może rozpoznałem ich z twoich listów.

Prawda była taka, że nie tylko rozpoznał dzieci, ale w tych portrecikach rozpoznał też rękę Maddie. Ogarnęło go dziwne wrażenie zażyłości. Tuż po nim przyszła krępująca fala poczucia winy. Postawił ją na podłodze.

– Dziękuję, że mnie przyniosłeś.

– Jesteś lekka jak piórko. To żaden wielki wyczyn.

– Ale nieziemsko romantyczny, ot co. Mógłbyś być trochę mniej czarujący? To miał być układ.

– Jak sobie życzysz, *mo chridhe*.

Miała rację. Umowa nie obejmowała romantyzmu. Teraz, kiedy wniósł ją na górę, do jej sypialni, miał ochotę przejść do tego, na co się umówili.

Oni oboje, w łóżku.

Skinął na nią, wychodząc z pokoju.

– Dam ci pół godziny, żebyś się przygotowała. A potem wrócę.

5

Dam ci pół godziny, żebyś się przygotowała.

Pół godziny?

Maddie starała się nie panikować. Czymże było pół godziny na to, żeby się przygotować do roli żony? Mgnienie oka, i tyle. Trzydzieści minut to zdecydowanie za mało czasu, żeby poczuć się gotowa. Trzydzieści lat mogło nie być wystarczającą ilością czasu, żeby poczuć się gotowa. Po prostu wszystko się działo za szybko.

Była mężatką. Za chwilę miała stracić dziewictwo. A co najgorsze, czuła się głupio zadurzona w swoim dopiero co poślubionym mężu.

W tej właśnie chwili serce jej waliło, przyprawiając o słodki, lekki ból

Co za absurd.

Na miłość boską, zna go dopiero pół dnia i przez większą jego część on był okropny. Jej mózg wykłócał się z jej naiwnym, sentymentalnym sercem.

Zmusił cię do małżeństwa szantażem.

A potem pocałował mnie nad jeziorem.

Zachował się wobec ciebie odrażająco.

Ale jego lojalność wobec swoich ludzi jest godna podziwu.

Groził ci, że zaniesie cię jak worek owsa.

Ale jednak wziął mnie na ręce.

Maddie, jesteś niemożliwa.

Westchnęła.

– Na to nie mam argumentu – wymruczała.

Postanowiła, że nie będzie przywoływać pokojówki, żeby pomogła jej się przygotować. Kiedy zdjęła tartanową szarfę i suknię, surowo upomniała siebie, że ten kapitan Logan MacKenzie nie jest tym bohaterem, o jakim marzyła jako nastolatka. Wróci do tego pokoju za – spojrzała na zegar – dziewiętnaście minut, nie z zamiarem ognistego romansu; przyjdzie, żeby dokończyć transakcję.

Ale, ale, ale…

Za oknem rozbłysła błyskawica. Maddie zamarła w trakcie zsuwania pończoch, nagle zalana wspomnieniem. Jego ręka, obejmująca ją mocno, gdy uderzył piorun. W blasku świec Logan wydawał się taki przystojny. Nie mówiąc o tym, jakie to było czarujące, kiedy wnosił ją po schodach.

Och, wpakowała się w potężne kłopoty.

Kiedy przeczesywała szczotką rozpuszczone włosy, przeszywały ją dreszcze podniecenia. Bawiły się z nią brzydko w ciuciubabkę, przeskakując z jednej sekretnej części ciała do innej. Na ciepłej skórze czuła mrowienie. Pragnienie. Gotowość.

Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Nie powinna tego wyczekiwać. Nie powinna wyobrażać sobie, że ten akt znaczy coś, czego nie znaczy. Tego rodzaju naiwność mogła jedynie doprowadzić do tego, że zostanie zraniona.

Miłość to kłamstwo, które sobie wmawiamy.

A Maddie była aż za bardzo doświadczona, jeśli idzie o kłamstwa.

Ponownie zerknęła na zegar. Zostało osiem minut.

Odłożyła szczotkę na toaletkę i jej wzrok utkwił w małej broszy w kształcie serca, którą Logan podarował jej na koniec ceremonii.

Callum powiedział, jak się nazywa. Jak to było?

Luckenbooth.

Wzięła ją do ręki, żeby dokładniej jej się przyjrzeć. Wzór był prosty, a nawet skromny. Kontur serca wykonano ze złota, z drobnymi kamieniami półszlachetnymi – zielonymi i niebieskimi – przy zwieńczeniu.

Maddie obróciła broszkę w dłoniach, żeby obejrzeć zapięcie. Wtedy opuszkami palców wyczuła chropowate miejsce na gładkiej złotej powierzchni.

Ciekawe. Była wygrawerowana.

Pochyliła się do świecy i wpatrywała się intensywnie w maleńkie znaki. Wyglądały na parę inicjałów.

L.M.

Logan MacKenzie, oczywiście.

Jejku, zjawił się przygotowany. Chyba wszystko dokładnie przemyślał. Potem zmrużyła oczy, żeby odczytać drugą parę, spodziewając się, że zobaczy M.G. – od Madeline Gracechurch.

Nie było wygrawerowanego M.G.

Była jednak para innych liter.

– A.D. – odczytała na głos.

Nie do wiary.

Najwyraźniej kapitan Logan („Miłość jest tylko kłamstwem, które sobie wmawiamy”) McKenzie też był kłamcą. Widocznie sam przeżył jakąś historię miłosną. Która nie zakończyła się dobrze, jak widać – skoro dał Maddie broszę, którą kupił dla swojej dawnej ukochanej.

Łajdak.

Rzuciła broszkę na toaletkę.

Przynajmniej mrowienie ustąpiło, a pragnienie wyparowało.

To było właśnie ostre narzędzie, którego potrzebowała, żeby oddzielić serce od reszty ciała. Zyskała niezawodny sposób, żeby pamiętać, że to nie jest prawdziwe małżeństwo i że nie powinna sobie roić, że on żywi wobec niej jakieś prawdziwe uczucia. Będzie nosić tę broszkę codziennie – mały talizman w kształcie serca, żeby przypominać sobie, że wszystko to jest nieprawdą.

Drzwi zaskrzypiały w zawiasach.

O, Boże. To już.

Maddie wskoczyła do łóżka i zanurkowała pod kołdrę. Niestety, nie dość szybko. Widział ten cały manewr, była pewna. Podciągnęła pościel pod brodę i zerkała na niego.

Zdjął płaszcz, rozpiął guziki przy mankietach koszuli i podwinął je do łokci. Zdawało się, że jest boso, bez skarpet i butów. Miał na sobie tylko tę koszulę z rozcięciem pod szyją i kilt, luźno spięty i wiszący nisko na biodrach.

– Jesteś gotowa? – Jego głos był mroczniejszy niż ciemność.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała. – Ale chyba bardziej gotowa nie będę.

– Jeżeli jesteś zmęczona moglibyśmy zaczekać do rana.

– Nie, ja… Chyba wolę mieć to za sobą dziś wieczorem. – Mając więcej czasu na myślenie i zamartwianie się, mogłaby zupełnie spanikować.

– Dobrze.

Liznął opuszki palców i pogasił po kolei świece, aż jedynym światłem w sypialni stał się migoczący czerwonobursztynowy ogień w kominku.

Łóżko ugięło się pod jego ciężarem.

Maddie leżała pod kołdrą zupełnie nieruchomo. Serce biło jej szybciej niż serce ptaka. Było jej wszędzie gorąco.

– Proszę. – Chwyciła słoiczek, który dała jej kiedyś ciotka. – Ciotka Thea mi to dała. To chyba jakiś krem czy maść. Podobno będziesz wiedział, co z tym zrobić.

Wziął od niej słoiczek, odkręcił wieczko i powąchał zawartość.

– Tak. Wiem, co z tym zrobić. – Zakręcił pojemnik z powrotem i odrzucił na bok. Potoczył się do ciemnego kąta.

– Ale…

– Już ja wiem, żeby od specyfików twojej ciotki trzymać się z daleka – powiedział. – Aż za dobrze pamiętam, jak się u ciebie skończyło z jej lekiem na sen. Pisałaś w liście, że miałaś piekącą wysypkę przez parę tygodni.

Maddie zagryzła wargę i mocno naciągnęła sobie kołdrę na ramiona. Pamiętał to? Nawet ona sama zapomniała o toniku na sen. Ale miał rację, była obsypana swędzącymi bąblami przez kilka tygodni.

Irytujące było to, ile o niej wiedział, wcale jej nie znając. W dodatku ona nie miała najmniejszego pojęcia, jaki jest prawdziwy Logan MacKenzie. W tej sytuacji wszystkie asy w rękawie miał on. Miał wiedzę, doświadczenie i władzę.

– Napij się lepiej tego. – Podał jej małą butelkę.

– To lekarstwo?

– Szkockie. Porządna whisky.

Ostrożnie podniosła piersiówkę do ust.

– Łyknij naraz. Jak się sączy, pali mocniej.

Zacisnęła z całej siły powieki, odchyliła głowę i przechyliła butelkę, wlewając sobie do gardła łyk płynnego ognia. Zakaszlała i oddała mu butelkę.

– Jak się to robi jak należy – powiedział – nie potrzeba żadnych kremów ani maści. – Jego dłoń chwyciła jej łydkę przez kołdrę. – A ja mam zamiar zrobić to jak należy. Będzie ci miło.

Przełknęła głośno ślinę.

– Och.

– Mimo to pewnie trochę zaboli, kiedy…

– Wiem.

– Ale potem już pójdzie szybko, mówię to, choć nie jest to dla mnie powód do dumy. Tak się zwykle dzieje, kiedy mężczyzna od dłuższego czasu nie miał towarzystwa.

Bez świec ogień z kominka zamieniał go w ponury kształt.

Czułaby się lepiej, gdyby mogła go widzieć. Na pewno myślał, że w ciemności będzie łatwiej, ale Maddie była przyzwyczajona do przyglądania się stworzeniom w nieprzefiltrowany, bezpośredni sposób. Do obserwowania, gdzie ich ciała się łączą, dowiadywania się, jak się

poruszają i jak działają. Może gdyby dostała tę samą możliwość obserwowania jego ciała – choćby jeden czy dwa rzuty oka, kiedy się rozbierał – jej szalejący puls by się uspokoił.

Ale było już za późno. Świece zostały zgaszone.

I nawet, gdyby można je było na nowo zapalić, nie wiedziała, jak miałaby o coś takiego poprosić.

Dla niej on był tylko cieniem. Cieniem z dłońmi, ciepłem i niskim, czarującym barytonem.

– Nie bój się. – Jego dłoń zsunęła się po jej ciele, przecierając drogę niesłychanemu doznaniu. – Wiem, że się nad tym zastanawiałaś. Jak mężczyzna mieści się w kobiecie. Jak to jest, być złączonym. Wszystko ci pokażę. Będzie dobrze. Bardzo dobrze.

– Nie wiem, czy jestem w stanie to zrobić – wyznała.

– Jesteś. To bardzo proste. Gdyby było trudne, ludzkość wymarłaby dawno temu.

– Chyba bagatelizujesz moją zdolność do wypaczenia zwykłej ludzkiej relacji. – Odsunęła się, zwiększając dzielącą ich odległość. – Spróbuj zrozumieć – powiedziała. – Ty czytałeś moje listy przez lata. Wiesz o mnie tak dużo, a ja nie wiem o tobie zupełnie nic. Skąd jesteś, gdzie spędziłeś życie… dla mnie jesteś właściwie całkiem obcy.

– Jestem teraz twoim mężem.

– Tak, ale nic razem nie przeżyliśmy. Nie mamy wspólnych wspomnień.

– Na przykład jakich…? – Wzruszył ramionami. – Pamiętasz, jak się poznaliśmy i się przewróciłaś? Pamiętasz, jak spacerowaliśmy nad wodą i rozmawialiśmy o małżeństwie? Pamiętasz, jak pocałowałem cię tak mocno, że poczułaś to w palcach u stóp?

– Nie – odpowiedziała asekuracyjnie. – Poczułam to tylko w kostkach.

Chwycił ją w talii.

– A więc tym razem będę musiał się bardziej postarać.

Pochylił się.

Położyła dłoń na jego piersi, żeby go powstrzymać.

– Nie możemy się najpierw poznać?

– Nie widzę sensu dalszej pogawędki – powiedział. – Uzgodniliśmy, że to układ, a nie amory.

– I właśnie w tym sęk. Nie chcę amorów. Nie chcę udawać. Ale kiedy zamykam oczy, to nie ty mnie dotykasz. Tylko jakiś fikcyjny kapitan MacKenzie, wytwór mojej wyobraźni. Jest ryzyko, że potraktuję to wszystko zbyt poważnie. Chyba nie chcesz, żeby głupia żona trzymała się ciebie kurczowo i domagała się twoich uczuć.

– Masz rację. Nie mogę zaprzeczyć.

– Jest tak, jak mi powiedziałeś. Miłość to kłamstwo, które ludzie sobie wmawiają – ciągnęła. – A skoro tak, rzeczywista wiedza powinna być najlepszym antidotum. Jak już cię lepiej poznam, nie powinnam mieć trudności ze znalezieniem powodu, by tobą gardzić.

– Bezczelny szantaż to za mało?

– Wydawałoby się, że wystarczy. Ale opowiedziałeś mi o strasznym losie twoich ludzi. Zobaczyłam, jaki jesteś wobec nich lojalny. Zaczęłam cię rozumieć. Potrzebny mi nowy powód, żeby cię nie lubić. – Skrzyżowała nogi. – Zacznijmy od podstaw. Gdzie się urodziłeś?

– W okolicy Lochcarron na zachodnim wybrzeżu.

Wpadła jej do głowy niespodziewana myśl.

– Masz rodzinę?

– Nie.

– Och. To dobrze. To znaczy, niedobrze. To bardzo smutne i bardzo ci współczuję. Ale to dobrze dla naszych celów. Zgadza się z kłamstwami, które opowiadałam. – Zagryzła wargę i się skrzywiła. – Czasami jestem zbyt pochłonięta własnymi problemami. To jedna z moich najgorszych wad. Ale o tym już wiedziałeś.

Kiwnął głową.

– Oj, tak. Wiedziałem.

– Widzisz? Ty znasz wszystkie moje wady. Łatwiej ci zachować dystans. A ja nie znam ani jednej twojej.

– A więc to jest pierwsza. – Zacisnął palce na jej kostce i błądził kciukiem w górę i w dół. – Jestem zdecydowanie zbyt dobry w łóżku. Potrafię sprawić, że po mnie kobiecie nie jest już dobrze z nikim.

Wyszarpnęła nogę.

– W takim razie pierwszą twoją wadą jest przechwalanie się. Na początek wystarczy. Jaka jest najgorsza rzecz, którą zrobiłeś?

Przeczesał dłońmi włosy.

– Zaczynam myśleć, że ślub z tobą.

– Nie, nie. Nie pokazuj poczucia humoru. To jest krzyżyk do wymogów z innej kolumny.

Wyciągnął ręce i przyciągnął ją do siebie, a potem odwrócił na plecy. Jego silny rozpalony ciężar wgniótł jej ciało w materac.

– Mogę spełnić wszystkie wymagania.

Przełknęła z trudem ślinę.

– Kim jest A.D.?

– Słucham?

– Broszka, którą mi dałeś. Ma inicjały L.M. i A.D. Kim jest A.D.?

Jego spojrzenie stało się zimne jak lód.

– Nikt dla mnie ważny.

– Ale…

Pochylił głowę i pocałował ją w szyję. Szept ciepła na jej skórze. Mimowolnie westchnęła z rozkoszy.

Usłyszał to westchnienie. Zachęciło go.

Jego dłonie wędrowały po jej krągłościach. Nie chwytały, nie brały. Zwyczajnie poznawały jej kształty.

Gdy to robił, Madeline też się uczyła. Była przyzwyczajona do obserwacji stworzeń, katalogowania wszystkich części ich ciała. Podstawą stworzenia dobrej ilustracji była znajomość funkcjonowania danego

zwierzęcia. Powód posiadania czułek. Sens istnienia kądziołka. Kiedy Logan ją dotykał, uświadomiła sobie druzgocącą prawdę. Przez ostatnie lata sprowadziła się do wymiaru szkicu człowieka. Miała dłonie, żeby rysować, oczy, żeby widzieć i usta, żeby raz po raz się odezwać. Ale w tym ciele, które zamieszkiwała, mieściło się o wiele więcej, w niej było o wiele więcej – więcej gdy tak pod nim leżała, wszystko nabrało sensu. Zaczęła się zastanawiać, jakie części siebie zaniedbuje on. Jak długo był bez kobiety, która by mu przypomniała o tym małym, tajemniczym zagłębieniu w jego szyi, o idealnym schronieniu, jakim staje się jego ciało, obejmując ją. To, jak jego dłoń była stworzona do tego, żeby pomieścić jej pierś równie zwinnie, jak ściskała miecz. To było zbyt wiele.

Maddie wywinęła się spod niego.

– Przepraszam. Przepraszam. Wiem, że to miał być fizyczny akt. Bezosobowy. Tylko że ja myślę o homarach.

Odwrócił się na plecy i leżał, mrugając i patrząc w sufit.

– Do tej pory powiedziałbym, że nic nie jest w stanie zaskoczyć mnie w łóżku. Myliłem się.

Usiadła i podciągnęła kolana do piersi.

– Jestem dziewczyną, która wymyśliła sobie szkockiego ukochanego, pisała do niego stosy listów i podtrzymywała wyszukane kłamstwo przez lata. Naprawdę jesteś zaskoczony, że jestem dziwna?

– Może i nie.

– Homary zalecają się do siebie miesiącami, nim się połączą. Żeby samiec mógł się połączyć z samicą, ona musi poczuć się na tyle bezpiecznie, żeby odważyć się wyjść ze skorupy. Skoro morski stwór jest wart paru miesięcy wysiłku, czy ja nie mogę mieć trochę więcej czasu? Nie rozumiem tego pośpiechu.

Westchnął ciężko i naciągnął sobie na kolana fałdę jej kołdry.

– Mieliśmy zarękowiny. Przysięga, którą wypowiedzieliśmy sama w sobie stanowi jedynie zaręczyny. Dopiero skonsumowanie stanowi o

małżeństwie.

Słuchała go teraz w skupieniu.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze można to odkręcić?

To było interesujące.

Bardzo interesujące.

– Nic nie wymyślaj – powiedział z ponurą miną. – Pozwól, że ci przypomnę, że mam tuziny powodów, żebyś nie chciała tego odkręcać. Ognistych powodów.

Tak, pomyślała sobie Maddie. Ma gdzieś pochowane tuziny powodów.

Wpadła jej do głowy pewna myśl.

Jeżeli udałoby jej się powstrzymać go przed skonsumowaniem małżeństwa, być może udałoby jej się odnaleźć te powody – i spalić je, żeby pozbyć się ich raz na zawsze. I patrzeć, jak idą z dymem. Wtedy nie miałby nad nią takiej władzy.

– Chciałaś wspólnych wspomnień, prawda? – spytał.

Skinęła głową.

– Pamiętasz, jak w naszą noc poślubną uprawiałem z tobą dziki seks, aż krzyczałaś, błagając o więcej?

– Prawdę mówiąc, pamiętam, że całą noc przegadaliśmy. I przytulaliśmy się – dodała, żeby go bardziej wkurzyć.

Zganił ją wzrokiem.

– Nie bawię się w przytulanki.

– Tak chyba będzie lepiej – powiedziała. – Zasugerowałeś, że ze skonsumowaniem małżeństwa możemy zaczekać do jutra, jeżeli będę chciała. A więc chcę poczekać. Dziś nie jestem jeszcze gotowa.

A jeżeli udałoby jej się znaleźć inne wyjście z tej sytuacji, być może nigdy nie będzie musiała być gotowa.

Rozłożyła w rzędzie poduszki na środku łóżka, starannie dzieląc je na dwie równe części: dla niego i dla niej.

– Naprawdę to ma mnie powstrzymać? – Opadł na łóżko, na swoją stronę i z rozbawieniem zerkał na nią ponad barykadą z poduszek. – Naprawdę miałem zamiar z tobą zaszaleć. Ale, niestety, jest ta poduszka, więc…

Schowała się pod kołdrą, podciągając ją sobie pod szyję.

– Teraz, kiedy o tym wspomniałaś – ciągnął – nie wiem, jak to możliwe, że ta strategia umknęła uwadze Napoleona. Gdyby tylko wzniósł barykadę z piór i tkaniny, my, Szkoci, nie mielibyśmy pojęcia, jak ją sforsować.

– Nie liczę na to, że poduszki cię powstrzymają – oznajmiła. – One mają tylko chronić przed tym, żeby nie stało się coś przypadkowego.

– Ach. – Przeciągnął ten wyraz. – Nic przypadkowego nie może nam się przydarzyć.

– Właśnie. Mogłabym się w nocy obrócić, a wiem, jakie masz podejście do przytulania. Nie darowałabym sobie, gdybym cię wykorzystała.

– Kokietka. – Usiadł na łóżku i wyrwał poduszkę spomiędzy nich. – Ja tu jestem. Z krwi i kości i jestem twoim mężem. Niech mnie, jeżeli ustąpię miejsca poduszce.

Wstrzymała oddech. Co on zamierza zrobić?

– Będę spał na podłodze – powiedział.

Wziął poduszkę i pled z końca łóżka i zaczął mościć sobie legowisko przy kominku. Maddie powiedziała sobie, że powinna być szczęśliwa – tak było bezpieczniej.

A jednak nie mogła przestać głupio przejmować się tym, czy mu wygodnie. Podłoga była na pewno zimna i twarda, a on był po podróży. Fizyczna bliskość była dużym zagrożeniem, ale troska o niego byłaby jeszcze gorszym.

– Jesteśmy dorośli, mamy swój rozum – powiedziała. – Możesz spać w łóżku. Bez barykady. Ja zostanę na mojej połowie, ty na swojej.

– Będę spać na podłodze. Wolę ją.

– Wolisz podłogę od łóżka?

– W tej chwili, *mo chridhe*, wolę podłogę niż ciebie.

Okropnik.

– Powiedziałaś, że chcesz zaczekać – ciągnął. – Chciałbym myśleć, że mój honor jest barierą silniejszą niż poduszki. Ale dzisiejszej nocy wystawianie tej teorii na próbę nie byłoby rozsądne.

– Rozumiem – odparła po chwili.

Złożył kilt na pół, rozkładając go na podłodze.

– To nic wielkiego. Sypiałem na podłodze przez pierwszych dziesięć lat życia. Ani razu w łóżku.

– Dziesięć lat na podłodze?

– Dziesięć lat w oborze albo na pastwisku z owcami, ściślej mówiąc. Zanim przygarnął mnie proboszcz, byłem sierotą zdanym na łaskę parafian. Przebywałem u rodziny, która chciała mnie przyjąć – czyli u tego, kto potrzebował pomocy przy owcach albo bydle w danym sezonie. Opiekowałem się zwierzętami, dzień i noc. W zamian dostawałem rano owsiankę, a wieczorem jedną albo dwie skórki chleba.

O, nie. Cała ta rozmowa polegała na jednym kroku naprzód i dwóch w tył. Lekka zniewaga – świetnie. Zrezygnował z łóżka na rzecz podłogi – i dobrze. Ale teraz, ta tragiczna historia sierocej niedoli? Wszystko zrujnowała. Jak niby miała pamiętać, żeby go nie lubić, skoro wyobrażała sobie głodnego, chudego chłopca z czerwonobrązowymi włosami, drżącego na zmarzniętej ziemi, zupełnie samego?

Chciała zatkać sobie uszy i śpiewać tra-la-la-la, żeby zagłuszyć głośne bicie serca. Zamiast tego poklepała poduszkę kilka razy, żeby ją ułożyć.

– Miłych snów, kapitanie Gburowaty.

Co ona zrobiła? Kiedy już wydawało jej się, że nie odpokutuje jednego głupiego kłamstwa z młodości… wydarzyło się to. Zgodziła się wyjść za zupełnie obcego mężczyznę. Dla którego zupełnie nic nie znaczyła, choć jej samej groziło to, że on będzie dla niej znaczył zbyt wiele. Ale jeszcze nie była jego żoną w pełni. Przy odrobinie szczęścia może nigdy nią nie będzie.

6

Logan nie liczył na to, że wyśpi się w noc poślubną. Ale nie przyszło mu do głowy, że będzie ją spędzał na podłodze.

Jednak nie mógł spokojnie odpocząć z całkiem innego powodu. Niepokojąco cichego.

Wszystko, co powiedział Madeline, było prawdą. W dzieciństwie spał na pastwiskach albo w oborach, w otoczeniu kudłatych górskich krów czy też beczących owiec. Odkąd wstąpił do Royal Highlanders, sypiał na pryczy wśród innych żołnierzy. Szczerze powiedziawszy, nie różniło się to znacząco od sypiania wśród zwierząt. Było w pewnym sensie krzepiące, z nocną symfonią głośnych pochrapywań i zgrzytów.

Ale choć przeżył wiele godzin rozkoszy w kobiecym towarzystwie, nie był przyzwyczajony do spania z kobietą. Przytulanie? Nigdy go nie było.

Obecność Maddie w tym samym pokoju wprawiała go w dziwny niepokój. Była zbyt tajemnicza, zbyt spokojna, zbyt kusząca. Słodki zapach lawendy budził go za każdym razem, gdy zaczynał zapadać w sen. Jak tylko pierwsze światło świtu zaczęło sączyć się przez okno, wstał z prowizorycznego posłania, przypiął sobie kilt w pasie i wyszedł z zamku, żeby nad jeziorem przyglądać się, jak nowy dzień skrada się po błękitnej powierzchni i przegania mgłę.

– No, kapitanie. Jak się pan czuje w ten piękny poranek?

Logan odwrócił się od jeziora, które podziwiał.

– Słucham?

Za nim stali Callum i Rabbie, przyglądając mu się z niezwykłą dozą zainteresowania. Rabbie opierał rękę na ramieniu Calluma.

– A jak myślisz?

Callum przekrzywił głowę.

– Właściwie nie wiem. Myślę, że tak.

Rabbie się roześmiał.

– A ja, że nie.

Logan zmarszczył brwi.

– Do licha, o co wam chodzi?

Rabbie cmoknął.

– Drażliwość. To nie jest dobry znak.

– Ale nie wygląda na wyspanego – odpowiedział Callum. – To chyba punkt na moją korzyść.

Logan przestał próbować domyślać się, o co im chodzi. Tego ranka nie był w nastroju na ich żarty.

– Skoro nie śpicie, równie dobrze możemy brać się do roboty – powiedział.

Po śniadaniu wszyscy wyruszyli na rozpoznanie wąwozu.

Niedaleko jeziora natrafili na pozostałości zrujnowanego ogrodzenia dla bydła. Czas, pogoda albo walki skruszyły niskie mury wieki temu. Nie było sensu ich odbudowywać, ale luźne kamienie mogły zostać wykorzystane do budowy domków.

Logan położył dłoń na sięgającym mu do pasa fragmencie muru i duży kawałek kamienia natychmiast się obluźnił. Wylądował mu na bucie, trafiając w duży palec. Kopnął go na bok, klnąc pod nosem.

Odwrócił się w porę, żeby zobaczyć, jak Rabbie wyciąga rozpostartą dłoń w kierunku Calluma.

– Poproszę moją zapłatę.

Callum niechętnie wygrzebał monetę ze swojego sporranu i położył ją w dłoni Rabbiego. Logan miał dość tej zagadkowej wymiany zdań.

– Wyjaśnijcie mi to.

– Ja tylko rozstrzygam mój zakład z Callumem – powiedział Rabbie.

– Jaki zakład? – spytał Logan kategorycznie.

– Czy poszedł pan do łóżka ze swoją angielską młodą żoną w noc poślubną. – Rabbie uśmiechnął się szelmowsko. – Powiedziałem, że nie. Wygrałem.

Niech to. Czyżby jego frustracja była aż tak widoczna? Pomyślał o tym, jak przed chwilą zaklął z powodu kamienia. Tak, pewnie była.

Żyli ze sobą blisko od zbyt dawna. Loganowi wystarczał jeden rzut oka, żeby wiedzieć, kiedy Calluma boli kikut i był w stanie wyczuć, kiedy zanosiło się, że Fyfe będzie miał ciężką noc. Znał swoich ludzi, a oni jego. Musiało być dla nich oczywiste, że zeszłej nocy nie dał upustu swojej żądzy.

Choć zakłady Rabbiego były prostackie i głupie, rozumiał, że zainteresowanie jego miłosnymi poczynaniami nie wynika u tych mężczyzn z próżnej ciekawości. Aby zagwarantować, że zamek Lannair stanie się ich domem na zawsze, musiał skonsumować małżeństwo. Wiele zależało od… poczynań Logana.

Dziś rano ich zawiódł.

Nienawidził tego uczucia. W walce był ich niezawodnym, lojalnym oficerem, bez mrugnięcia powieką szli za nim na bój. Ale te czasy się już skończyły.

Callum, który zawsze dążył do zgody, usiłował przeprosić.

– My tak tylko żartowaliśmy, kapitanie. Na pewno była zmęczona wczoraj w nocy, dopiero wrócił pan do niej do domu. To musiał być dla niej wstrząs. To nie wstyd, że dał jej pan czas, żeby się oswoiła z sytuacją. Pańska ukochana na pewno myśli, że to słodkie.

Słodkie?

Niech to wszyscy diabli. Najpierw przytulanie. Teraz znów jest słodki?

– Dość tego – powiedział. – Jeżeli usłyszę o jeszcze jednym podobnym zakładzie, polecą głowy. Powinniście spędzać czas bardziej pożytecznie. Na przykład na wynoszeniu gnoju z zamkowych stajni dziś po południu.

– Ale kapitanie… – Callum podniósł rękę bez dłoni.

– Nie ma litości.

Dopóki był w stanie zapanować nad tymi mężczyznami, miał zamiar robić to, co przez kilka ostatnich lat: wynajdować im zajęcie i skłaniać ich do myślenia o przyszłości.

Rozłożyli kamienie, żeby wyznaczyć miejsca na budynki i uprawy. Później zaprowadził grupę na wzgórze, żeby przyjrzeć się pastwiskom z lepszej perspektywy.

– Nie ma czasu do stracenia – powiedział. – Jeżeli chcemy mieć zbiory tej jesieni, musimy zacząć uprawę przed świętem Beltane.

– Miejmy nadzieję, że do czasu Beltane ziemia będzie należała do pana – powiedział Rabbie.

– Już jest moja. Ożeniłem się z nią.

– Tak, słowem. Ale Anglicy są świetni w niedotrzymywaniu słowa, tu, w szkockich górach.

– Przypominam ci, że rozmawiamy o mojej żonie.

Rabbie posłał mu powątpiewające spojrzenie.

– Czyżby?

– Tak.

Maddie będzie jego żoną. W pełni, oficjalnie, na zawsze i niedługo. Zeszłej nocy uległ jej prośbie, żeby zaczekać z tych wszystkich powodów, które wymienił Callum: była w szoku i miała za sobą długi, męczący dzień. Wiedział, że była ciekawa, spróbował też jej pocałunku. Był potencjał, by sprawy pomiędzy nimi przybrały dobry obrót, może nawet ognisty. Byłoby zbrodnią zmarnować nocne uzgodnienia, naciskając na nią za bardzo, zbyt szybko.

Kiedy Logan pójdzie do łóżka ze swoją żoną, ona nie tylko będzie się na to godziła. Będzie tego chciała. Będzie go błagała. A po wszystkim będzie taka miękka i wyczerpana rozkoszą, że nie będzie w stanie myśleć o żadnym przytulaniu.

– Kapitanie. – Callum skinął głową w stronę zamku. – Wygląda na to, że ma pan gościa.

Logan spojrzał w dal. Przed zamkiem stał elegancki powóz na cztery konie. Z powozu wyłonił się mężczyzna. Jak tylko jego buty dotknęły ziemi, drobna postać w szarości wyszła mu z zamku na powitanie, jakby spodziewała się jego wizyty.

Maddie.

– A właściwie, wygląda na to, że gościa ma pańska żona – powiedział Rabbie.

Zapanowała niezręczna cisza.

– To pewnie jakiś intendent – powiedział Munro. – Chyba każda angielska dama ma intendenta?

– Widzicie ten orszak? – wtrącił Fyfe. – Żaden pracujący człowiek nie ma powozu na cztery konie.

Logan milczał. Nie wiedział, kim może być gość Maddie. Ale zamierzał się dowiedzieć.

– Lordzie Varleigh. – Maddie się ukłoniła. – Proszę wejść. Jak zawsze, miło pana widzieć.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panno Gracechurch.

Panno Gracechurch. Te słowa dały Maddie do myślenia. Nadal jest panną Gracechurch? Powinna go poprawić?

Doszła do wniosku, że nie. Sytuacja była zbyt skomplikowana, żeby ją teraz wyjaśniać, a lord Varleigh pewnie zdąży wyjechać, zanim Logan zauważy, że tu w ogóle był.

O ile dopisze jej szczęście, może w ogóle nie będzie musiała zmieniać nazwiska na panią MacKenzie.

Lord Varleigh odkaszlnął.

– Mógłbym zobaczyć ilustracje?

– Och. Tak, oczywiście.

Boże! Czy ta wstydliwość nigdy nie da jej spokoju? Przez ostatni rok odbyła dość rozmów z lordem Varleighem, żeby wiedzieć, że jest inteligentnym i rozsądnym dżentelmenem, ale był też dość onieśmielający. Jego ciemne, dociekliwe oczy i wypielęgnowane paznokcie zawsze przyprawiały ją o lekkie zdenerwowanie.

Skup się na pracy, Maddie. Przyjechał to z powodu ilustracji, nie dla ciebie. Chwyciła teczkę, zaniosła ją na szeroki, płaski stół, żeby rozłożyć.

– Jak rozmawialiśmy na początku, dla każdego gatunku przygotowałam rysunki atramentem z różnej perspektywy.

Odsunęła się na bok, a on oglądał jej prace. Metodycznie i powoli, jak każdy dobry naturalista.

– Co to jest? – spytał, gdy dotarł do akwareli na końcu pliku.

– Ach, to. Pozwoliłam sobie połączyć kilka gatunków i wykonać kilka prac w kolorze. Wiem, że nie można ich wydrukować w czasopiśmie, ale pomyślałam, że może będzie pan je chciał. Jeżeli nie, zatrzymam je sobie. Namalowałam je głównie dla własnej przyjemności.

– Rozumiem. – Przekrzywił głowę, oglądając je.

Wreszcie Maddie nie była w stanie dłużej znieść niepewności.

– Czy rysunki panu odpowiadają? Jeżeli się panu nie podobają lub są nieodpowiednie, jest jeszcze czas. Mogę je poprawić.

Zamknął skoroszyt i odwrócił się do niej.

– Panno Gracechurch, rysunki są znakomite. Idealne.

– Och. Może. – Maddie odetchnęła z ulgą i z lekkim poczuciem dumy.

Zasadniczo rysowała dlatego, że to kochała i dla przyjemności wnoszenia swojego wkładu w wiedzę, nie dla poklasku. Nie żeby ludzie zabijali się,

żeby oklaskiwać ilustracje naukowe. Ale pochwała lorda Varleigha coś dla niej znaczyła. Znaczyła bardzo wiele. Sprawiła, że Maddie poczuła, że coś zrobiła dobrze, choć cały wczorajszy dzień spędziła ze Szkotem zdeterminowanym, by ją ukarać za każde jej młodzieńcze głupstwo.

– W przyszłym tygodniu organizuję u siebie zebranie, żeby zaprezentować nieznane gatunki – powiedział lord Varleigh, pakując jej ilustracje i okazy w szkle, na podstawie których pracowała. – Zaprosiłem wszystkich członków towarzystwa przyrodniczego, z panem Orkneyem włącznie.

– Więc to będzie salon?

– Raczej bal.

– Och. – Ogarnęło ją dziwne uczucie strachu. – Bal.

– Tak. Będzie kolacja i trochę tańców. Musimy dostarczyć nieco rozrywki dla dam, widzi pani, bo inaczej zbojkotują wieczór.

Maddie się uśmiechnęła.

– W takim razie żadna ze mnie dama. Tańce by mnie nie zainteresowały, ale pańska prezentacja na pewno będzie fascynująca.

– Więc mam nadzieję, że pani przybędzie.

– Ja?

– Będzie obecny mój dobry przyjaciel. Pan Dorning. Jest naukowcem w Edynburgu i opracowuje encyklopedię.

– Encyklopedię?

Lord Varleigh skinął głową.

– *Owady Wysp Brytyjskich* w czterech tomach.

– Niesamowite. Uwielbiam wielotomowe książki.

– To znaczy, że jest pani zainteresowana?

– Oczywiście. Z przyjemnością obejrzę dzieło, gdy będzie skończone.

Uśmiechnął się.

– Panno Gracechurch, wydaje mi się, że się nie zrozumieliśmy. Pytam, czy byłaby pani zainteresowana spotkaniem z moim przyjacielem, żeby

mógł rozważyć skorzystanie z pani usług przy tej pracy. Jako ilustratorki.

Maddie odjęło mowę. Encyklopedia. Tak wielki projekt oznaczałby stabilną, ciekawą pracę przez miesiące. Jeżeli nie lata.

– Naprawdę zrobiłby pan to dla mnie?

– Powiedziałbym, że to raczej przysługa dla niego, szczerze mówiąc. Jakość pani prac jest wyjątkowa. Jeżeli będzie pani mogła przybyć na nasze spotkanie w przyszłym tygodniu, z przyjemnością państwa sobie przedstawię.

Zagryzła wargę. Jakaż to mogłaby być dla niej szansa, ale…

Bal.

Dlaczego to musi być bal?

– Czy nie mogłabym wpaść z wizytą wcześniej, po południu? – spytała. – Albo następnego ranka? Szkoda byłoby zakłócać zabawę rozmową o pracy.

– To praca jest powodem naszego spotkania. Niczego nie będzie pani zakłócać. – Jego dłoń musnęła jej nadgarstek. – Będę pani wyglądał, zapewniam. Proszę się zgodzić.

– Mam pytanie – wtrącił niski głos.

O, Boże.

Logan.

Szybko ocenił sytuację od progu i wszedł do pokoju. Był chyba w stroju roboczym, tak jej się zdawało – w kilcie i luźnej zwykłej koszuli. Widocznie dopiero co wrócił znad jeziora.

Lord Varleigh wyglądał na lekko przerażonego, ale też zaintrygowanego. Zerknął na Maddie, jakby zadawał niemal naukowe pytanie: „Co to za dziki stwór?”

Bez choćby ukłonu w stronę dobrych manier czy poprawności, Logan przeszedł przez pokój pewnym krokiem w ubłoconych butach. Podszedł do Maddie, nie spuszczając wzroku z lorda Varleigha. Swobodnie objął Maddie w talii, a potem zgiął rękę, przyciągając ją do siebie. Jego ubranie

przesiąkło rześkim porannym powietrzem, niosąc z sobą lekki roślinny zapach wrzosów i mchu.

– Dzień dobry, *mo chridhe*. Może przedstawisz mnie swojemu gościowi? – Język Maddie skołowaciał.

– Ależ oczywiście. Lordzie Varleigh, pan pozwoli, że przedstawię kapitana Logana MacKenziego.

– Kapitana MacKenziego? – Lord Varleigh spojrzał na Maddie. – Ale chyba nie tego kapitana MacKenziego? Tego, który był pani…

– Tak – wydusiła.

– Pani wybrankiem? – Przerzucił wzrok na Logana. – Proszę wybaczyć, sir. Byłem przekonany, że pan…

– Nie żyje? – podpowiedział Logan. – Błędne przekonanie. Jak pan widzi, jestem jak najbardziej żywy.

– Niesamowite. Nie miałem pojęcia.

– A więc – powiedział gładko Logan. – Już je pan ma.

– Powinnam była wspomnieć o tym wcześniej – odezwała się Maddie. – Kapitan MacKenzie wrócił ze swoimi ludźmi zaledwie wczoraj. Przeżyłam spory wstrząs. Obawiam się, że jeszcze chyba nie do końca doszłam do siebie.

– Mogę sobie jedynie wyobrazić, panno Gracechurch.

– Panna Gracechurch jest teraz panią MacKenzie. – Dłoń Logana przesunęła się na ramię Maddie w geście tak odważnie zaborczym, jak mało subtelnym. Moja.

– Prawdę mówiąc – wtrąciła Maddie, odsuwając się – chwilowo nadal jestem panną Gracechurch.

– Złożyliśmy sobie wczoraj przysięgę.

– W formie tradycyjnych zarękowin. Ale to raczej forma oficjalnych zaręczyn. To… cóż, to skomplikowane.

– Rozumiem – powiedział lord Varleigh, choć było widać, że nie rozumie.

Któż by zrozumiał? To było szaleństwo. Wszelkie wyjaśnienia, jakich mogłaby próbować, jedynie pogorszyłyby sytuację.

– Jak już mówiłem pannie Gracechurch – odezwał się lord Varleigh, ledwie poruszając szczękami – w przyszłą środę wyprawiam bal. Byłbym zaszczycony, gdybym mógł gościć oboje państwa. – Zabrał teczkę i się ukłonił. – Do zobaczenia.

Po wyjściu lorda Varleigha dłoń Logana pozostała na ramieniu Maddie. W pokoju unosiło się ciche napięcie.

Maddie zrobiła krok, żeby się cofnąć. Drżącymi palcami zebrała ze stołu swoje kartki i ołówki.

– Muszę je odnieść do mojej pracowni.

– Stój – powiedział. – Nie ruszaj się.

Kolana się pod nią ugięły, gdy do niej podszedł.

Kusiło ją, żeby swoje reakcje tłumaczyć jego surowym męskim wyglądem, ale Maddie wiedziała swoje. Był pierwszym – i prawdopodobnie jedynym – mężczyzną, który zachowywał się wobec niej w ten sposób.

Była zaciekawiona. Była romantyczką. A przede wszystkim, była samotna.

Wszak głód był o wiele lepszą przyprawą niż sól.

Z zapartym tchem czekała, aż Logan zrobi ruch. Ale jego ruch nie był tym, jakiego się spodziewała. Jego wzrok był skupiony na czymś tuż za jej lewym łokciem. Z prędkością błyskawicy rzucił się naprzód i walnął w blat stołu.

Pac!

– Już – obwieścił tryumfalnie, potrząsając dłonią.

– Co ty wyprawiasz?

– Zabiłem tego paskudnego robala, zanim zdążył na ciebie wskoczyć.

– Zabiłeś…? – Maddie się okręciła. – O, nie. – Leżał na dywanie. Jelonek rogacz. Widocznie wypadł lordowi Varleighowi z pudełka z

okazami. – Coś ty zrobił? – Uklękła na dywanie.

– Co takiego zrobiłem? Panny na ogół lubią, jak mężczyzna zabija robaki. Razem z dosięganiem wysokich miejsc i dawaniem seksualnej przyjemności, to jeden z niewielu ogólnie cenionych przymiotów, jakie mamy do zaoferowania.

Zebrała szczątki owada.

– Ten akurat był już martwy.

A teraz był też rozpłaszczony.

Musi go odnieść do pracowni i natychmiast włożyć pod szkło, żeby nie stało się z nim nic gorszego. Poszedł za nią korytarzem.

– Nie odchodź ode mnie. Chciałbym usłyszeć parę odpowiedzi. Czyje zaproszenie właśnie przyjąłem i czego ten mikry snob od ciebie chce? I dlaczego jestem trzeci w kolejce do twoich uczuć, po mikrym snobie i zgniecionym robaku?

– Lord Varleigh ma posiadłość w Pertshire. Nasza znajomość ma charakter zawodowy. Jest naturalistą.

– Naturalistą? Masz na myśli tych ludzi, co się rozbierają i biegają po okolicy z gołymi tyłkami?

– Nie – odpowiedziała spokojnie Maddie. Zwolniła i odwróciła się do niego twarzą. – To naturyści. Naturalista bada świat naturalny.

– Akurat ten był wybitnie zainteresowany badaniem twoich piersi.

– Co takiego?

Zmniejszył dzielącą ich odległość i ściszył głos do szeptu.

– Dotykał cię.

Dreszcz przebiegł ją wzdłuż kręgosłupa, praktycznie rozpinając po drodze jej gorset. Tych parę słów, a ona była już omotana. Powróciło do niej wszystko z zeszłej nocy. Przypomniała sobie jego oddech na swojej szyi. Jego wargi na swojej skórze. Jego dłonie wszędzie.

Pragnienie dopadło ją z taką siłą, tak gorące i obezwładniające, że obawiała się, że mózg wyjdzie jej uszami.

To było straszne.

Maddie w końcu stanęła u szczytu kariery, gromadziła własne osiągnięcia. Pomyśleć tylko, możliwość zilustrowania książki. I to nie byle książki, ale całej encyklopedii. Całe cztery tomy.

Co za szczęście.

A teraz to może wszystko zrujnować. Nie mógł poczekać z tym swoim zmartwychwstaniem jeszcze jednego tygodnia?

– Wyjaśnię ci to lepiej, ale muszę ci to pokazać. – Położyła dłoń na klamce drzwi za sobą. – Tędy.

Serce zaczęło jej szybciej bić, gdy otworzyła drzwi. Nigdy nie wpuszczała nikogo do swojej pracowni. A już na pewno mężczyzn. To było jej sanktuarium rozmaitości – dziwne, tajemnicze i tylko jej. Bezbronne.

Otwierając te drzwi przed Loganem, czuła się, jakby rzucała swoje serce na podłogę, zachęcając go, żeby je podeptał.

Ale musiała jakoś wytłumaczyć, kim jest lord Varleigh i, być może, tym razem to całe dziwactwo podziała na jej korzyść.

Może wyleczy go z pragnienia, by została jego żoną.

7

*W*ielkie nieba.

Logan znalazł się w prawdziwej jaskini horrorów. Opowieści na temat tych starych zamków okazały się prawdziwe. Wszedł za nią wąskimi kamiennymi schodami. Drogę oświetlały świeczniki na ścianach, ale nie były dość jasne, żeby oświetlić zakamarki. A to właśnie zakamarków się obawiał. Pewnie pełne nietoperzy albo myszy albo… jaszczurek. A może smoków.

Dotarli do kwadratowego pokoju, który z pewnością był przewidziany na jakąś celę. Miał tylko jedno wąskie okno.

Obrócił się, żeby się rozejrzeć i się przeraził. Na półce, niecałe pół metra od niego, siedziała wypchana sowa.

Reszta pokoju nie była wiele lepsza. Pracownia była wypełniona półkami i stolikami, prezentującymi wszelkiego rodzaju muszle, korale, ptasie gniazda, zrzucone wylinki węży, owady i motyle przypięte do tablic i – najgorsze ze wszystkiego – tajemnicze dziwolągi zamknięte w słojach z mętną wodą.

– Potwornie tu zimno – zauważył.

– Wiem. Musi tak być ze względu na Rexa i Fluffy.

– Rexa? I Fluffy?

– Homary. Wydawało mi się, że wspomniałam ci o nich wczoraj w nocy.

– Masz homary o imieniu Rex i Fluffy.

– To, że nie mam normalnych domowych zwierzaków, jak kot czy pies, nie oznacza, że te, które mam nie mogą mieć normalnych imion. – Uśmiechnęła się. – Podoba mi się, jak wypowiedziałeś Fluffy. Są tutaj. – Przywołała go skinieniem do akwarium w rogu pokoju. Woda pachniała morzem.

– Są na kolację?

– Nie! Są do obserwacji. Zlecono mi ilustracje całego ich cyklu życia. Jedyny problem w tym, że ciągle czekam na ich gody. Według naturalisty, który mnie zatrudnił, samica – to znaczy Fluffy, musi najpierw zrzucić skorupę. A potem samiec zapłodni ją swoim nasieniem. Pozostaje tylko pytanie, jak dokładnie to będzie wyglądać. Naszkicowałam parę możliwości. – Podeszła do szerokiego, zagraconego biurka i przeszukała stos papierów. Na każdej stronicy znajdował się szkic homara kopulującego w innej pozycji. Logan nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Stworzyła sztukę kochania dla homarów.

Rozejrzał się po jej biurku – stosy kartek, buteleczki atramentu, rzędy przygotowanych ołówków. Tu i ówdzie szkic gniazda drozda albo skrzydła szarańczy. Logan podniósł rysunek ważki i skierował go tak, żeby prześwietlało go światło, rozjaśniając każdy atramentowy kontur. Talent do rysowania przejawiała, odkąd zaczęła do niego pisać. Ale nigdy nie widział, żeby stworzyła coś podobnego na marginesie swoich listów. To było piękne.

Kiedy opuścił kartkę, zauważył, że Maddie przygląda mu się z taką uwagą, z jaką on studiował rysunek. Wpatrywała się intensywnie swoimi ciemnymi oczami. Był zaskoczony jej nagłym zakłopotaniem.

– To tylko wstępny szkic – wyjaśniła, zagryzając wargę. – Muszę nad nim jeszcze popracować.

– Jak dla mnie wygląda cholernie idealnie – powiedział. – Mógłby odlecieć z tej kartki.

– Naprawdę tak uważasz?

Jej twarz była taka poważna i blada. Jakby zależało jej na jego opinii. Z pewnością z pracami takiej jakości i znajomymi takimi jak lord Varleigh nie potrzebowała, żeby szkocki żołnierz przekonywał ją, że ma talent. Niemniej jednak jej bezbronny wzrok sprawił, że chciał spróbować.

Żałował, że nie wie, co mądrego można powiedzieć na temat sztuki. Jak komplementować linie czy wypełnienie. Ale nie wiedział, więc powiedział po prostu to, co przyszło mu do głowy.

– Jest cudowny.

Odetchnęła, a kolor wrócił na jej policzki. Lekki uśmiech uniósł jej wargi. Logan poczuł delikatne, ciche poczucie zwycięstwa. Po latach zniszczeń na polu walki miło było w końcu coś zbudować.

– Jak to robisz? – spytał, szczerze zaciekawiony.

– Co ciekawe, figiel polega nie na tym, żeby narysować samo stworzenie, ale na tym, żeby narysować przestrzeń wokół niego. Zagłębienia, cienie i puste miejsca. Jak załamuje się światło? Jak się przemieszcza? Kiedy zaczynam rysować zwierzę – czy cokolwiek innego – przyglądam się uważnie i zadaję sobie pytanie, czego brakuje.

Pomyślał o niej sprzed paru chwil, kiedy przyglądała mu się badawczo. Jakby zastanawiała się, czego brakuje jemu.

– Więc to właśnie robiłaś? Kiedy zauważyłem, że mi się przyglądasz?

– Możliwe.

– Sugeruję, żebyś nie marnowała czasu, *mo chridhe*.

Założyła sobie ręce na piersiach i przechyliła głowę na bok, wpatrując się w niego.

– Całe lata poświęciłam na studiowanie rozmaitych stworzeń. Wiesz, co zauważyłam? Te, które wytwarzają najtwardsze, najodporniejsze skorupy, żeby się chronić… wewnątrz są zaledwie galaretką.

– Galaretką?

– Glut. Kisiel. Galareta.

– Uważasz, że ja jestem w środku galaretą.

– Być może.

Pokręcił głową, lekceważąc to stwierdzenie.

– Być może nie ma we mnie w ogóle nic.

Skupił się na mapie świata przymocowanej do ściany. Kontynenty i kraje pooznaczane były pineskami.

– Co to jest? – spytał.

– Wbijam pineskę w kraj każdego egzotycznego gatunku, którego narysowanie mi zlecają. Zawsze chciałam podróżować, ale z powodu wojny i mojej nieśmiałości zawsze wydawało mi się to niemożliwe. To moja wersja podróży dookoła świata.

Logan przekrzywił głowę, przyglądając się mapie. Zobaczył skupisko pinesek w Indiach, Egipcie… kilka na Karaibach. Ale w jednym szczególnym miejscu znajdowało się ich największe skupisko, tuż przy szerokim marginesie.

– A więc narysowałaś całe mnóstwo stworzeń z Ameryki Południowej.

– O, tak. Głównie owady. I tym sposobem wracamy do lorda Varleigha. Niedawno powrócił z ekspedycji do dżungli amazońskiej, gdzie zebrał dziewiętnaście nowych gatunków chrząszczy. Zrobiłam rysunki, a on zaprezentuje gatunki swoim kolegom w przyszłym tygodniu.

– Czyli w takim razie zakończyłaś pracę dla niego. To dobrze.

– Tego nie powiedziałam. – Wzięła szkic z jego dłoni i go odłożyła. – Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że będę mogła zrobić o wiele więcej ilustracji, nie tylko dla lorda Varleigha.

Pokręcił głową.

– Nie sądzę, że będziesz miała czas.

– Przecież powiedziałeś, że nie będziemy sobie wzajemnie zabraniać zainteresowań i zajęć. Że ty będziesz miał swoje życie, a ja swoje.

– Ale to było przedtem.

– Przed czym?

Machnął w kierunku schodów, w stronę, w którą wyszedł lord Varleigh.

– Zanim się dowiedziałem, że do „twojego życia” zalicza się ten dupek.

– Nie musisz się złościć tylko dlatego, że złożył zaproszenie. Po pierwsze, po prostu chciał być grzeczny. Po drugie, i tak bym go nie przyjęła. Przecież wiesz, że nie cierpię spotkań towarzyskich.

– Powinnaś była przyjąć zaproszenie dla nas obojga.

Roześmiała się.

– Mówię poważnie. Zabiorę cię na ten bal i zadbam o to, żeby ten lord Varleigh i każdy jeden z tych naturystów…

– Naturalistów.

– … każdy jeden z tych robali ma trzymać swoje czułki z daleka od mojej żony.

Pokręciła głową.

– To znajomość na gruncie zawodowym. Nic więcej.

– Oj, on by chciał, żeby była czymś więcej.

– A ja nie jestem jeszcze twoją żoną. Tak naprawdę.

Jego dłoń wsunęła się za jej głowę i przechyliła ją, żeby spotkali się wzrokiem.

– Ale nią będziesz.

– Logan, czy ty… – Jej wzrok odszukał jego spojrzenie. – Chyba nie jesteś zazdrosny?

– On cię dotykał.

– A nawet, jeśli, kapitanie Zazdrośniku? Ty dałeś mi broszę z inicjałami jakiejś innej kobiety.

Pokręcił głową, nie dając jej się podejść.

– Jeżeli myślisz, że żywię uczucia do jakiejś innej kobiety, to się bardzo mylisz. Nie mam żadnych uczuć, *mo chridhe*.

– To kolejna sprawa. Chciałabym, żebyś przestał się tak do mnie zwracać. Skoro nie masz uczuć, nie wiem, dlaczego cały czas mówisz do mnie „moje serce”.

– To właśnie przez ten brak uczuć łatwo mi tak do ciebie mówić. Bo moje serce nic dla mnie nie znaczy.

– Mów, co chcesz – skwitowała. – Mam uwierzyć, że całe życie spędziłeś w celibacie jak pustelnik?

– Nie. Z całą pewnością nie całe życie. Tylko kilka ostatnich lat. Tak przy okazji, to twoja wina.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego miałaby to być moja wina.

– Kiedyś – powiedział – towarzystwo kobiet sprawiało mi przyjemność. Ale potem ty uwięziłaś mnie w klatce tymi swoimi cholernymi listami.

– Nie rozumiem cię.

– Wszyscy mężczyźni byli przekonani, że mam oddaną dziewczynę. Przyglądali mi się, wierząc, że ja też będę lojalny i oddany. Żaden z nich nie chciał widzieć, żebym się zachwiał. Odciągali od mojego namiotu dziewczyny podążające za obozem. Inni oficerowie chodzili do burdelu, a mnie zostawiali, żebym pilnował obozowiska. Nasz kapelan spędzał więcej czasu z kobietami lekkich obyczajów niż ja. – Wzburzony przeczesał dłonią włosy. – Mam wrażenie, że nie spałem z kobietą od czasów Starego Testamentu.

Uśmiechnęła się lekko.

– Chcesz powiedzieć, że byłeś mi wierny?

Przewrócił oczami.

– Nie celowo. Nie robiłbym z tego czegoś, czym nie jest.

– Wierz mi, bardzo się staram tego nie robić. Ale mam zbyt bujną wyobraźnię. Teraz wyobrażam sobie ciebie samotnie skulonego przy ognisku, podczas gdy wszyscy inni oficerowie są na hulankach. Trzymasz jeden z moich listów i pieścisz go, jakbyś usychał z miłości…

Nie, nie, nie.

Logan powinien ukrócić te wymysły, tu i teraz.

Jego dłonie powędrowały do jej nadgarstka i przyciągnął ją do siebie, wyzwalając lekkie westchnienie z jej ust. Jej ciało, miękkie i ciepłe,

spotkało jego ciało.

– To, o czym mówię, nie jest romantyczne. Jest dzikie, pierwotne i zupełnie wulgarne. – Ściszył głos do pomruku. – Ty, Madeline Eloise Gracechurch, doprowadzałaś mnie powoli do szaleństwa z pożądania. Przez lata.

Maddie nie mogła zdecydować, czy roześmiać się histerycznie, czy zemdleć z radości. Ona, mimowolną kusicielką?

Nie miała pojęcia, jak zareagować na tę myśl. Więc, naturalnie, powiedziała najbardziej sztubacką rzecz, jaką tylko mogła.

– Ja?

W odpowiedzi pochylił głowę w jej stronę.

– Zaczekaj. – Uchyliła się przed pocałunkiem. – Co robisz?

– Nic, o ile tego nie chcesz. – Jego kciuk pieścił bolesne miejsce na jej plecach. To było szaleństwo, jak łatwo przychodziło mu pokonać jej opór zwykłym dotykiem. – Ale wydaje mi się, że tego chcesz. Wiem, że jesteś ciekawa. Wiem, jak zareagowałaś na mnie zeszłej nocy.

– Właśnie dlatego potrzebuję czasu. Nie jestem na to przygotowana. Na to, co to może oznaczać.

– To tylko fizyczność – wymruczał, całując ją w szyję. – Nie musi nic oznaczać.

– Z pewnością, dla ciebie. Ale ja jeszcze nie posiadłam tego talentu. Nie wiem, jak sprawić, żeby to nic nie znaczyło. Myślę za dużo, zbyt intensywnie. Doszukuję się znaczenia tam, gdzie go nie ma. Niedługo zacznę sobie wmawiać, że jesteś…

– Że co jestem?

Że jesteś we mnie zakochany.

To było niebezpieczeństwo, przed którym musiała się pilnować. Wiedziała, racjonalnie, że Logan wcale nie jest zakochany. Ale znała też siebie i jej serce wyobrażało sobie o wiele za dużo.

– Zastanówmy się chwilę – zaproponowała. – Co by się stało, gdybyśmy nie skonsumowali małżeństwa?

Przestał ją całować.

– To jest poza wszelką dyskusją.

– W takim razie może prowadzimy niewłaściwą dyskusję? Może istnieje inne rozwiązanie, na które oboje się zgodzimy. A gdybym wydzierżawiła ziemie tobie i twoim ludziom? Za niską opłatą, bezterminowo.

Pokręcił głową.

– To za mało. Nie wiesz, że moim ludzie dzierżawili ziemie, które stracili? Słowo angielskiego obszarnika jest w tej chwili w Szkocji nic niewarte.

– Ale ja nie jestem pierwszym lepszym angielskim obszarnikiem. Mam bardzo motywujący powód, żeby dotrzymać słowa. Mógłbyś mi ufać.

– Ufać ci. I to mówi kobieta, która przez lata okłamywała wszystkich wokół.

– Ciebie nigdy nie okłamałam.

Przeszył ją spojrzeniem, na wylot.

– Nawet, gdybym mógł zaufać tobie, nie mogę ufać światu. A jeżeli coś ci się stanie?

– Co masz na myśli? Gdybym umarła?

– Gdybyś wyszła za mąż za kogoś innego.

Wyśmiała tę myśl.

– Ja? Wyszła za kogoś innego? To już bardziej prawdopodobne, że umrę. Od tak dawna jestem uważana za starą pannę, że zostałam już spisana na straty.

– Jesteś damą. Pochodzisz z dobrego domu. Jesteś dziedziczką z posiadłością i jesteś niepospolicie ładna. Nie wierzę, że nie miałabyś perspektyw.

Maddie chciała mu zaprzeczyć, ale jej myśli uchwyciły się faktu, że nazwał ją niepospolicie ładną.

– Gdybyś miała wyjść za innego – ciągnął – albo umrzeć, próbując, ziemie przejąłby ktoś inny. A wtedy wszystkie twoje zamiary i obietnice stałyby się nic niewarte. Dlatego dzierżawa jest nie do zaakceptowania.

– Wszystkie te rzeczy są nie do zaakceptowania. – Westchnęła.

Becky zapukała i krzyknęła z dołu schodów.

– Proszę pani, kucharka pyta, ilu dziś na kolacji.

– Ośmioro – odpowiedział Logan.

– Ośmioro? – spytała go Maddie.

– Ty, ja, twoja ciotka, moi ludzie. Ośmioro.

Pokręciła głową.

– Rzadko jadamy oficjalne kolacje. Na ogół pracuję do późna, a potem zjadam coś lekkiego u siebie w pokoju.

– Ale dziś wieczorem ty i ja zaprosimy moich ludzi na kolację z prawdziwego zdarzenia. Jako mąż i żona.

– To miał być układ. Myślałam, że ustaliliśmy, że ty będziesz miał swoje życie, a ja swoje.

– I tak będzie, jak już staniemy się w pełni i nieodwołalnie małżeństwem. Ale, jak zauważyłaś, jeszcze tak nie jest. – Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę. – A może wolałabyś, żeby wszyscy w Anglii przeczytali o twojej miłosnej historii z poduszką?

– Logan, to niesprawiedliwe.

– Nigdy nie obiecywałem ci sprawiedliwości. Obiecałem ci listy w zamian za prawdziwe małżeństwo. Nadal czekam na swoją część układu.

– Jesteś takim łajdakiem.

Posłał jej szelmowskie spojrzenie.

– Jestem Szkotem, oficerem, mężczyzną, który zna znaczenie słowa „ognisty”. Jestem dokładnie taki, jak chciałaś, *mo chridhe*. Nie powinnaś się skarżyć.

Po tych słowach ją zostawił, znikając przy wtórze dudniących, zuchwałych kroków. Zbiegając po schodach tak, jakby już był właścicielem

zamku Lannair. Ale nim nie był. Jeszcze.

Maddie pozostawała jedna jedyna możliwość ucieczki. Musiała odnaleźć te listy. Gdyby udało jej się je znaleźć i zniszczyć, uwolniłaby się od jego roszczeń. Miała nadzieję, że poszuka ich rano, ale zjawił się lord Varleigh. Nie miała sposobności. Ale Logan nie będzie w stanie powstrzymywać jej przed szukaniem w nieskończoność. Na razie weźmie przykład z Fluffy – otoczy się grubą skorupą nie do przebicia i pozostanie w jej wnętrzu, dopóki się nie ośmieli.

8

*L*ogan wiedział, że jego świeżo poślubiona żona nie spodziewała się, że będzie podejmować na kolacji pół tuzina żołnierzy. Jednak nie miał zamiaru przepraszać za to, że ich zaprosił. Musiał im pokazać, że to małżeństwo jest prawdziwe, bez względu na to, co się wydarzyło – a raczej, co się nie wydarzyło – zeszłej nocy w sypialni. Zamkowa jadalnia była z pewnością dość duża, żeby pomieścić jego partyzancki klan. Nawet pięcioro jego ludzi, Maddie, jej ciotka i on sam nie byli w stanie zająć całego stołu. A przede wszystkim ci mężczyźni na to zasługiwali – żeby usiąść przy stole zastawionym porcelaną i srebrami, uraczyć się pieczonym mięsem, owocami w galaretce, ostrygami, smakowitymi sosami i nie tylko.

To był ten huczny powrót do domu, jaki im obiecał na polu walki. A nie składał obietnic, których nie był w stanie dotrzymać.

Ci mężczyźni – pokiereszowani i nieokrzesani – byli dla niego jak rodzina, której nigdy nie miał. Nie zamierzał ich zawieść.

W trakcie pierwszych dwóch dań po prostu jedli w milczeniu, oszołomieni.

Rabbie, oczywiście, musiał to zepsuć, jak tylko zaspokoił pierwszy głód.

– Muszę przyznać, pani MacKenzie, że to, co kapitan nam o pani opowiadał… nie oddaje w pełni pani uroku.

Maddie rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie.

– Och? – zagadnęła ciotka Thea. – A cóż takiego opowiadał o niej kapitan MacKenzie?

– Bardzo niewiele, proszę pani. Ale gdybym to ja był takim szczęściarzem, każdy mężczyzna w regimencie miałby dość wysłuchiwania moich przechwałek.

Munro prychnął.

– Każdy mężczyzna w regimencie i tak miał dość wysłuchiwania twoich przechwałek.

Z nieśmiałym uśmiechem Maddie odstawiła swój kieliszek z winem. Opuszkiem palca dotknęła obojczyka, przesuwając palcem w górę i w dół po smukłym wybrzuszeniu. Robiła tak, gdy była zdenerwowana, jak zauważył Logan. Niestety, ten drobny gest, który jej przynosił ukojenie, na niego nie działał w podobny sposób. Wręcz przeciwnie – rozpalał w nim niskie pragnienia.

Przełknął z trudem ślinę, nie mogąc oderwać wzroku od tego samotnego, delikatnego palca, przesuwającego się w tę i z powrotem. W tę i z powrotem. Wydawało mu się, że prawie czuje ten delikatny, kuszący dotyk na własnej skórze. Albo na swoim…

– A więc, kapitanie – odezwał się Callum, pochłaniając udziec barani. – Teraz, kiedy jesteśmy wszyscy razem, niech nam pan opowie całą historię. Od początku. Jak jej pan zawrócił w głowie?

Logan szybko się otrząsnął i skupił wzrok na talerzu.

– Zwyczajnie.

– Mówiłem pani – odezwał się Rabbie. – To małomówny człowiek.

– Małomówny? – zdziwiła się ciotka Thea. – Z pewnością się pan myli. Czy to możliwe, że to ten sam mężczyzna, który napisał do naszej Madling tyle pięknych listów?

– Listów?

– Och, tak. Przysyłał naszej Madling stosy listów miłosnych. Tak elokwentnie i pięknie napisanych.

Do diabła, o co w tym wszystkim chodzi? Logan posłał Maddie gwałtowne, pytające spojrzenie. Zagryzła dolną wargę, wbijając wzrok w

swój kieliszek z winem.

– Na pewno je wszystkie zachowała. Madling, może przyniosłabyś je, żeby kapitan nam trochę poczytał? Zawsze marzyłam, żebyśmy mogły usłyszeć je z tym rozkosznym szkockim akcentem.

– To nie będzie konieczne – powiedział Logan.

– Może i niekonieczne – odezwała się starsza dama – ale jakie słodkie.

Znów to słowo. Słodkie.

– Nikt nie ma ochoty ich słuchać.

Callum na końcu stołu uśmiechnął się szelmowsko.

– Oj, ja bym chętnie posłuchał.

Zawtórowali mu wszyscy pozostali mężczyźni przy stole z wyjątkiem Granta.

– Może innym razem, ciociu – powiedziała Maddie. – Jesteśmy w trakcie posiłku. Listy są w mojej toaletce na samej górze. Jestem gospodynią, nie mogę opuścić naszych gości.

– To nie wchodzi w rachubę – poparł ją Logan.

– Ależ oczywiście – odpowiedziała ciotka Thea. – Ty tu zostań, Maddie. Ja je przyniosę. – Po tych słowach starsza dama znikła z jadalni, zanim Logan i jego ludzie zdążyli wstać na znak szacunku.

Jak tylko znikła, Logan przysunął się do swojej pełnej tajemnic młodej żony.

– O czym ona mówi?

– Cóż – wymruczała zza kieliszka. – Przecież musiałam stworzyć twoją część korespondencji, prawda? Inaczej wszystko byłoby niewiarygodne.

– A co, właściwie, mówiła ta moja część? – Błysk rozbawienia ocieplił jego brązowe oczy.

– Może powinieneś był urządzić mi to przesłuchanie, zanim zmusiłeś mnie do pośpiesznego ślubu. Cokolwiek jest w tych listach, teraz nie masz wyboru.

Święte nieba. Logan wzdrygnął się, wyobrażając sobie, jakie bzdury romantyczna szesnastolatka taka jak Madeline Gracechurch włożyła w usta szkockiego oficera. Może być źle. Bardzo źle.

– Może dobijemy targu – wyszeptała. – Oddam ci twoje listy, a ty mi oddasz moje.

– To nie są moje listy, w twojej toaletce.

– Te, które ja wysłałam też nie były twoje. A jednak je przywłaszczyłeś. Musisz się na coś zdecydować.

Zatrzepotała wstydliwie rzęsami. Więc taka się robiła, zyskując nad nim odrobinę władzy. Impertynencko zalotna.

Niech go szlag, to mu się podobało. Pewność siebie dodawała kobiecie więcej urody niż jakakolwiek kredka do oczu czy szminka. Z głębi jej ciemnych oczu błyskały do niego iskierki. Jego fascynacja lekko przygasła, gdy do jadalni wróciła ciotka Thea.

– Oto one.

Zamaszystym ruchem położyła na stole olbrzymi stos kopert. Logan był pełen podziwu. Tych listów musiało być co najmniej ze sto. Były przewiązane czerwoną aksamitną wstążką, którą starsza dama zaczęła rozwiązywać.

Logan jęknął w duchu.

Że będzie źle, to za mało powiedziane. To będzie jedna wielka katastrofa.

Rabbie wstał i odkaszlnął.

– Z przyjemnością zaoferuję się do odczytu.

Logana kusiło, żeby rzucić w Rabbiego widelcem.

– Nie będzie takiej potrzeby.

– Więc ty to zrobisz? – spytała Maddie.

– Tak.

Właściwie niewiele istniało na ziemi rzeczy, na których zrobienie Logan miał mniejszą ochotę niż na przeczytanie bzdur z tego złowieszczego pliku, i prawie wszystkie miały związek z pająkami i bebechami. Ale wiedział, że

nie ma wyjścia. Nie mógł pozwolić, żeby któryś z tych mężczyzn przyjrzał się listom zbyt uważnie, bo zorientowałby się, że nie zostały napisane jego ręką.

Maddie miała rację. Cokolwiek zawierały te nieprawdziwe listy, nie mógł się ich wyprzeć, nie wypierając się przy tym jej samej. A to oznaczałoby rezygnację z ziemi, której jego ludzie tak rozpaczliwie potrzebowali. Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B.

– Niech je ciocia poda – poprosiła Maddie. – Wybiorę mój ulubiony.

– Jeden – powiedział. – I tylko jeden.

A potem zamierzał je wszystkie spalić, żeby nigdy więcej nikt o nich nie wspomniał. Pod groźbą kary. Sądząc po rozbawionym uśmiechu, który zagościł na jej wargach, kiedy przeszukiwała stos kopert, Logan zaczął podejrzewać, że popełnił błąd, pozwalając Maddie dokonać wyboru.

Gdy wyciągnęła z pliku list i wręczyła mu go z promiennym uśmiechem, już nie podejrzewał. Był pewien. Naprawdę popełnił poważny błąd.

– Przeczytaj ten. – W jej głosie pobrzmiewała udawana niewinność. – To ten, w którym napisałeś dla mnie wiersz.

Obserwowała uważnie jego twarz i oszołomiona wyczekiwała, jak on zareaguje na to stwierdzenie.

– Wiersz – powtórzył.

Niesamowite. Gdy wypowiadał to słowo, jego szczęka się właściwie nie poruszyła.

– Och, tak. Całe dwie zwrotki. – Napiła się odrobinę wina, upajając się jego przerażoną miną.

W końcu przeżywała moment zwycięstwa. Może i ten Szkot zjawił się znikąd i zapędził ją w ślepą uliczkę, nie pozostawiając jej wyboru, który nie wpłynąłby w znaczący sposób na jej dalsze życie… ale teraz trzymała nad nim tę jedną małą zwycięską chorągiew. I zamierzała nią wymachiwać.

Rabbie roześmiał się z ustami pełnymi jedzenia.

– Nie wiedziałem, że jest pan poetą, kapitanie.

– Bo nie jestem.

– Och, niech pan nie będzie taki skromny – wtrąciła ciotka Thea. – Owszem, wysyłał naszej Maddie wiersze. Niektóre były nawet dobre.

– To mój ulubiony. – Maddie się uśmiechnęła.

Logan, wzdychając ciężko, rozpostarł list. Potem położył kartkę na stole i sięgnął do swojego sporranu, z którego wyjął rzecz nieoczekiwaną. Binokle.

Kiedy założył skromne druciane oprawki, jego twarz nagle nabrała głębokiego wyrazu. Głęboko podniecającego, ściślej mówiąc. Rysy jego twarzy nadal były ostre i surowe, jakby wycięte z granitu niezbyt precyzyjnym narzędziem. Jego szczękę, jak zwykle, pokrywały nowe ciemne włoski – wyglądało na to, że mógłby się golić dwa razy dziennie, a i tak nie byłby w stanie rozgromić swojego wewnętrznego barbarzyńcy. Ale binokle dodawały subtelności jego męskiemu wyglądowi. Nie tylko subtelności, ale też ogłady. I człowieczeństwa. Dziwne, ale przez nie jeszcze wyraźniej uwidaczniała się jego nieokiełznana, zwierzęca natura. Lwa można nauczyć chodzić na dwóch łapach i ubrać we frak, ale nie da się zapomnieć, że mimo pozorów jest nadal groźną bestią.

Kiedy Logan przebiegał wzrokiem treść listu, Maddie zdawało się, że czuje, że Logan pragnie zemsty. Z końca stołu jego ludzie zaczęli go ponaglać.

– No, dalej, kapitanie.

– Co to za ociąganie?

– Może go na pan podać, sami sobie przeczytamy.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedziała Maddie.

Obrzucił ją groźnym spojrzeniem spod binokli. Poczuła, że zjeżyły jej się wszystkie włoski na rękach.

W końcu Logan odkaszlnął.

– „Moja droga Madeline” – odczytał znudzonym, pozbawionym emocji tonem. – „Noce na froncie są długie i zimne, ale ogrzewają mnie myśli o Tobie”.

Mężczyźni zadudnili w stół z aprobatą.

– „Często myślę o wdziękach Twojego jasnego lica. O Twoich ciemnych oczach. I twojej miękkiej, kremowej…” – Przechylił kartkę, żeby jej się przyjrzeć. Wyczekiwanie zagęściło powietrze jak wilgoć. – „…skórze”.

Rabbie zagwizdał.

– Przez chwilę byłem podniecony.

– Boże, chroń kapitana – dodał Callum.

Logan czytał dalej, wyraźnie chcąc mieć to jak najszybciej za sobą.

– „Kiedy ta wojna się skończy, wezmę Cię w ramiona i nigdy nie wypuszczę. A do tego czasu, moja Ukochana, posyłam Ci ten wiersz”.

– I…?

Maddie musiała przycisnąć dłoń do ust, żeby nie roześmiać się na głos. Tak się cieszyła, że rozwijała talenty w kierunku rysunku, a nie poezji. Każdy wers napisany w młodości był trywialny i nijaki. Jako dorosła nigdy w życiu z własnej woli nie podpisałaby się pod tymi koszmarkami.

Na szczęście podpisała je wszystkie nazwiskiem Logana.

– „Dla mojej wielkiej miłości” – zaczął.

– Czytaj dalej – ponagliła Maddie. – Znam je na pamięć, jeżeli atrament jest rozmazany. Daj mi znać, gdybyś potrzebował pomocy.

– Nie będę jej potrzebował.

Pochyliła się.

– Zaczyna się tak: „Gdybym był ptakiem…”

Wypuścił powietrze, poddając się. Jak zając złapany w pułapkę bez możliwości ucieczki, spokojnie czekający na śmierć.

Potem zaczął czytać na głos z wyraźnym, dźwięcznym szkockim akcentem.

– „Gdybym był ptakiem, śpiewałbym dla ciebie.

Gdybym był pszczołą, żądliłbym dla ciebie.

Gdybym był szczytem, wznosiłbym się dla ciebie.

Gdybym był drzewem, kwitłbym dla ciebie.

Gdybym był fletem…”

Czytanie przerwał gwałtowny kaszel Calluma. Rabbie energicznie palnął go w plecy.

– Mam przestać? – spytał Logan. – Umierasz?

Callum pokręcił głową.

– Bo wcale bym nie rozpaczał, gdybyś umarł.

– Nie, nie. – Callum wreszcie podniósł wzrok, czerwony na twarzy. – Niech się pan mną nie przejmuje – wydusił. – Proszę czytać.

– „Gdybym był fletem, grałbym dla ciebie.

Gdybym był rumakiem, galopowałbym dla ciebie”.

Kaszlenie stało się zaraźliwe. Dopadło wszystkich jego ludzi. Udzieliło się nawet służącym. Maddie też walczyła z silnym łaskotaniem w gardle.

Logan brnął dalej, bez wątpienia licząc na to, że ich wszystkich pozabija. Wtedy nie byłoby świadków.

– „Gdybym był ogniem, płonąłbym dla ciebie.

Ale jestem mężczyzną i tęsknię za tobą”.

Rzucił kartkę na stół i zdjął binokle.

– Z miłością, i tak dalej. Koniec.

Maddie się zdawało, że usłyszała, jak mruczy z goryczą:

– Koniec z szacunkiem.

Przez długą chwilę panowała cisza.

– Mam wspaniały środek na kaszel w mojej apteczce – oznajmiła w końcu ciotka Thea. – Kapitanie, chyba paru pana ludziom przydałaby się dawka.

Maddie skinęła na służących, żeby zebrali talerze i przynieśli deser.

– Jednego nie rozumiem – wyznał Rabbie, opierając oba łokcie na stole. – Dlaczego ona pomyślała, że pan nie żyje?

Maddie zamarła. Nigdy wcześniej nie musiała się zastanawiać nad tą częścią.

– Cóż, ja…

– Nosiłem w sporranie list pożegnalny – powiedział Logan. – Miał zostać wysłany, gdybym zginął w walce. Wydawało mi się, że go zgubiłem, ale najwyraźniej przez pomyłkę go wysłałem.

Rabbie zmarszczył czoło.

– To wyjaśnia, dlaczego ona przestała do pana pisać. Ale dlaczego pan przestał pisać do niej?

– To chyba oczywiste? – wtrącił Callum. – Myślał, że przestała się nim interesować. Jak ukochane wielu z nas.

– Powinien był mieć więcej wiary we mnie. – Maddie wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Logana. – Kochany głuptasie.

Obrzucił ją surowym spojrzeniem: posuwasz się za daleko. Dopadła ją ponura świadomość. Nie miała wątpliwości, że jak tylko zostaną sami, Logan się na niej zemści.

9

Nagle zapragnęła, żeby kolacja trwała jak najdłużej. Z bardzo złym przeczuciem życzyła ciotce i ludziom Logana dobrej nocy. Kiedy razem z nim wchodziła po schodach, czuła, jak ciche napięcie pomiędzy nimi osiągało nowy poziom.

– Poleciłam Becky, żeby przygotowała dla ciebie pokój – powiedziała, zatrzymując się przy drzwiach swojej sypialni. – Jest kawałek dalej.

Logan pokręcił głową.

– Będziemy spać w jednym pokoju, dziewczyno.

Otworzył drzwi i wszedł do środka, czując się jak u siebie w domu.

– Tam, skąd pochodzę, większość małżeństw nie dzieli sypialni – powiedziała.

– Cóż, teraz jesteś w Szkocji. – Logan cisnął butem w kąt. Wylądował z łoskotem. – A tutaj jest inaczej. Jeżeli ci się zdaje, że ścierpiałem ten cały twój cholerny wiersz tylko po to, żeby pożegnać się z tobą w progu, to się grubo mylisz. – Zdjął drugi but, a później przeszedł do ubrania.

Maddie nie mogła się powstrzymać od gapienia. Zastanawiała się, czy on zdaje sobie sprawę z tego, jaki atrakcyjny jest w tej chwili, kiedy odbywa codzienny rytuał szykowania się do snu. Fascynował ją każdy jego ruch.

Zdjął koszulę przez głowę i odrzucił ją na bok. Blask ognia z kominka idealnie podkreślał mięśnie jego ramion i pleców.

Podszedł do umywalni i nalał wody do misy, a potem namydlił twarz i przetarł kark i tors wilgotną szmatką. Będzie pachniał tym mydłem, jeżeli

położy się przy niej w łóżku i ją do siebie przyciągnie. Mydło i czysta męska skóra.

Otrząsnęła się.

– Naprawdę musisz sprawić, żeby twoi ludzie w to uwierzyli, prawda? W nasze małżeństwo.

Spłukał twarz, a potem przeczesał włosy wilgotnymi dłońmi.

– Mają za sobą ciężkie chwile, maszerowali z jednego koszmarnego miejsca do kolejnego, a potem wrócili do domów, żeby się przekonać, że już ich nie mają. Nie chcę, żeby się martwili, że będą musieli się stąd wynosić.

W Maddie, jak zawsze, jego oddanie dla tych ludzi wzbudziło smutek i współczucie, ale nie mogła pozwolić, żeby oderwało ją to od tematu.

– Jesteś skończonym hipokrytą – oznajmiła.

Odpowiedział, myjąc zęby. Trudno go było zrozumieć.

– Po czym wnioskujesz?

– Znęcasz się nade mną za to, że powiedziałam kłamstwo, gdy miałam szesnaście lat. A sam oszukiwałeś najbliższych ci ludzi przez tyle samo czasu.

Wypłukał usta i odwrócił się do niej.

– Ja nie kłamałem. Ja tylko…

– Nie zdementowałeś nieprawdziwych przypuszczeń. Przez lata. Na jedno wychodzi, Logan. Oszustwo przez zaniechanie, o ile nie jawny fałsz. Pozwoliłeś tym ludziom wierzyć, że jesteśmy związani, a teraz jesteś zaangażowany w utrzymanie tego kłamstwa w równym stopniu co ja. Wiesz, co myślę? Że tylko się odgrażasz. Mogłabym odmówić współpracy, wyrzucić cię z zamku, a ty nie przekazałbyś tych listów brukowcom.

– Popełniłabyś błąd, gdybyś mnie zlekceważyła. – Jego głos spochmurniał.

– Ależ ja cię nie lekceważę. Ja po prostu widzę, jak ważna jest dla ciebie twoja duma. Ile znaczy dla ciebie uwielbienie tych ludzi.

– Nie chodzi o uwielbienie. Chodzi o zaufanie. I zgadza się, jest dla mnie wszystkim. Przyrzekłem im, że jeżeli będą przy mnie trwali na polu walki, wrócą tu, na wzgórza i będą tu żyć. Nie wstydzę się kłamać, oszukiwać, kraść czy szantażować, jeżeli to konieczne, żebym mógł dotrzymać słowa.

Przysunął się do niej, a ona cofnęła się o krok, a potem dwa. Aż jej nogi zderzyły się z krawędzią łóżka. Miał ją.

– A mówiąc o wspólnych cechach – powiedział, przesuwając palcem po jej obojczyku. – Dowiedziałem się o tobie paru rzeczy. Zauważyłem, jak flirtowałaś ze mną na dole.

– Flirtowałam? Nie bądź śmieszny.

– Wpatrujesz się we mnie. Jesteś zafascynowana.

– To przez kilt.

– Może po części przez kilt. Ale głównie przez tę moją pewność siebie.

– Pewność siebie? – Próbowała się roześmiać. Ale mówił prawdę, rzeczywiście był pewny siebie. Aż w nadmiarze miał męskiej arogancji i siły, żeby ją dźwigać. I to wydawało się Maddie fascynujące.

– Rozbierałaś mnie wzrokiem.

– Co takiego? – Słowa zabrzmiały jak zduszony cichy pisk. Odkaszlnęła i spróbowała jeszcze raz.

– A nawet gdybym, choć wcale tego nie robiłam, wynikałoby to z czystego zainteresowania artystycznego.

– Zainteresowania artystycznego, jasna dupa.

– Niestety, muszę cię rozczarować, ale jak na razie nie wykazuję artystycznego zainteresowania twoją dupą.

Pochylił się, żeby powiedzieć jej coś do ucha. Temperatura między ich ciałami rosła.

– Ty – wyszeptał – jesteś tak samo zdesperowana, żeby skonsumować to małżeństwo, jak ja.

– To niedorzeczne.

– Nie sądzę, moja droga.

Położyła dłoń na jego piersi – po części z chęci, żeby go odepchnąć, a częściowo pod wpływem pragnienia dotknięcia jego nagiej skóry. Był taki ciepły i o wiele twardszy niż mogłaby sobie wyobrazić. Włoski na jego torsie łaskotały ją w dłoń.

Och, Maddie. Wpakowałaś się w straszne kłopoty.

Musiała odzyskać kontrolę nad tą rozmową, i to szybko.

– Mówisz, że szukasz domu, że nie chcesz się wynosić… ale chodzi ci nie tylko o swoich ludzi. Nikt nie jest aż tak wielkoduszny. Na pewno chcesz tej ziemi też dla siebie.

Cofnął się o krok, zrywając kontakt.

– Przede wszystkim, nigdy nie miałem domu. Nie miałem czego stracić, więc nie wiem, czego nie posiadam. Pod tym względem jestem szczęściarzem.

O, nie. Byle nie ta tragiczna sieroca historia. Serce ścisnęło jej się głupio.

Chwyciła nocny strój i zanurkowała za parawan, rozpaczliwie chcąc się ukryć przed nim i jego nieszczęśliwą przeszłością, i przed własnymi głupimi uczuciami.

Całe mnóstwo ludzi dorastało jako sieroty, przypomniała sobie, zdejmując suknię i zakładając nocną koszulę. To go nie tłumaczyło. Maddie też straciła matkę, jak była dzieckiem. Ale ona zawsze miała dom. Z pewnością nigdy nie musiała spać z krowami i żyć o paru skórkach chleba dziennie.

Znów poczuła to ukłucie emocji. Postanowiła je po prostu ignorować. Logan MacKenzie zmusił ją szantażem do ślubu. Dał jej używaną broszę zaręczynową. Nie miała żadnego logicznego powodu, żeby mu współczuć. Widocznie nazbierało się w niej zbyt dużo uczuć, i tyle. Zbyt wiele czułości i miłości, z którymi nie miała co począć. Nie trzymała nawet zwierzaka z prawdziwego zdarzenia. Tylko martwe owady i zimne homary.

Nie spieszyła się z myciem, wyszczotkowaniem włosów i zapinaniem koszuli po samą szyję, w nadziei, że Logan może zdąży zasnąć, zanim ona

przygotuje się do snu. W najgorszym przypadku żar, który pewnie czuje, powinien trochę ostygnąć.

Kiedy wreszcie wyłoniła się zza parawanu, była pewna, że bez trudu mu się oprze.

Potwornie się myliła. Było gorzej, niż się obawiała.

Bum, odezwało się jej serce.

Bum, bum, bum.

Logan leżał w łóżku w luźnej koszuli rozchylonej pod szyją, spod której było widać krawędź jego torsu. Lekko marszczył czoło w skupieniu, a na wyrazistym grzbiecie nosa miał te swoje binokle. Jedna umięśniona ręka była zgięta i podpierała jego głowę. A w drugiej trzymał…

Niech go diabli. Niech niebo ma ją w swojej opiece.

Książkę.

Nie byle książkę, ale grubą, oprawioną w ciemnozieloną skórę. I on ją naprawdę czytał.

Ukłucia wzruszenia stały się tak mocne, że niemal zgięła się wpół pod ich wpływem. Małe fajerwerki tęsknoty wybuchały w jej piersi. I nie tylko w piersi, ale też niżej. Jakaś struna rozpięta pomiędzy jej sercem a łonem pobrzękiwała jak harfa.

Logan oderwał wzrok od książki i zauważył, że ona mu się przygląda.

– Coś się stało?

– Owszem, stało. Logan, to jest złe.

– Co jest złe?

– Ja tu się wysilam, żeby przegonić wszystkie naiwne wymyślone uczucia do ciebie, żebyśmy mogli skonsumować to fikcyjne małżeństwo w pragmatyczny sposób, jak uzgodniliśmy. A ty nagle wyskakujesz z czytaniem książki?

Równie dobrze mógłby jej po prostu przynieść kosz kociaków, butelkę szampana i pozować nago z różą w zębach.

Skrzywił się.

– Próbuję odpocząć, to wszystko. Czytam tylko wtedy, kiedy chcę zasnąć. – Przewrócił kartkę jedną ręką, przytrzymując ją zagiętym kciukiem i przeciągnął z lewej strony na prawą, drugą rękę trzymając cały czas spokojnie pod głową.

Jego wprawny, zręczny ruch wzbudził jej podejrzenia. Przyjrzała się wysłużonemu grzbietowi książki. Na jej stronicach widać było ślady przewracania ich kciukiem od prawej do lewej, wielokrotnie, aż do samego końca.

Czytał tylko przed snem? Och, akurat. A orły rozpościerają skrzydła tylko z nudy.

Zalało ją potworne poczucie jedności. Przez całe życie poznanie kogoś, kto kocha książki było jak… chyba jak spotkanie rodaka w czasie podróży za ocean. W każdym razie tak jak sobie wyobrażała, że by to było, gdyby wybrała się za ocean.

Miłość do książek łączyła w jednej chwili i była dobrodziejstwem dla dziewczyny ze skłonnością do nieśmiałości, bo stanowiła niewyczerpane źródło tematów do rozmowy. W jej głowie zrodziły się setki pytań, które przepychały się między sobą, żeby przedostać się na początek kolejki. Woli eseje, sztuki, powieści, wiersze? Ile książek przeczytał, w ilu językach? Które czytał po kilka razy? Które wydały mu się napisane tylko dla niego?

Przewrócił kolejną kartkę, niecałą minutę po poprzedniej.

– Ty – oskarżyła go – lubisz czytać. Mów prawdę.

Wszystko się idealnie zgadzało. W końcu kto inny przeczytałby, i to nie raz, bzdurne, głupie listy szesnastoletniej idiotki?

Ktoś, kto uwielbia czytać, ot co. Kto nie ma pod ręką nic innego do czytania.

– W porządku – odparł. – Owszem, czytam. Trudno studiować na uniwersytecie, nie mając tego we krwi.

– Więc także studiowałeś?

– Tylko przez kilka miesięcy.

Podniosła kołdrę i położyła się po swojej stronie łóżka.

– Kiedy powiedziałeś, że nie miałeś domu, pomyślałam, że w dzieciństwie nie miałeś możliwości się uczyć.

– Urodziłem się bez żadnych możliwości.

– Więc jakim cudem udało ci się pójść na studia?

– Kiedy miałem jakieś dziesięć lat, przygarnął mnie miejscowy proboszcz. Nakarmił mnie, dał ubranie i te same możliwości kształcenia co swoim własnym synom.

– To bardzo szlachetne i miłe z jego strony.

Jego wargi skrzywiły się dziwnie.

– Szlachetne, być może. Ale dobroć nie miała z tym nic wspólnego. Miał w głowie plan. Nazywał mnie synem tak długo i na tyle przekonująco, że kiedy każda rodzina została wezwana, żeby posłać jednego syna na wojnę, on mógł posłać mnie. Żeby jego synowie – ci prawdziwi – byli bezpieczni.

– Och – skrzywiła się. – Rzeczywiście, to wcale nie takie miłe. Raczej straszne. Przykro mi.

Jego wzrok poszybował do jego ręki. Maddie dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wyciągnęła swoją i go dotknęła.

– Przepraszam – powiedziała, przerywając dotyk.

Wzruszył ramionami. W ten opryskliwy, szorstki sposób, w jaki robili to chłopcy i mężczyźni, kiedy chcieli powiedzieć: mam to zupełnie gdzieś. Takim wzruszeniem, na jakie nigdy nie dała się nabrać żadna kobieta.

– Miałem łóżko, jedzenie i szkołę. Biorąc pod uwagę, jak wyglądałoby moje życie w innym przypadku, nie mogę narzekać. – Zamknął książkę i odłożył binokle na bok.

Nie, nie mógł narzekać. Ale bolało go to i było to widać. Dostał wszystko, co może zaoferować rodzina, z wyjątkiem uczucia. Z wyjątkiem miłości.

O, Boże. Teraz nie tylko był biednym sierotą, ale biednym, niekochanym sierotą, który lubi czytać. Obudziły się w niej wszystkie kobiece instynkty.

Drżała pod wpływem najgorszych możliwych pragnień. Chęć ukojenia, pocieszenia, wsparcia, przytulenia.

– To litościwe spojrzenie – odezwał się. – Chyba mi się nie podoba.

– Mnie też nie.

– Więc przestań tak patrzeć.

– Nie mogę. – Pomachała rękami. – Szybko, powiedz coś okrutnego. Zadrwij z moich listów. Zagroź moim robakom. Zrób coś odrażającego.

Napięcie rosło, gdy się w nią wpatrywał.

– Jak sobie życzysz.

W jednej chwili przewrócił ją na plecy. Jego palce powędrowały do guzików jej nocnej koszuli. A Maddie nie miała najmniejszej ochoty się opierać. Obrzucił ją łakomym spojrzeniem.

– To chyba będzie dobre.

– Tak – usłyszała swój własny głos.

Logan pospiesznie rozpinał guziczki strzegące przodu jej koszuli. Robił to obcesowymi, bezwzględnymi ruchami. Ta czynność nie miała w sobie nic z uwodzenia. To była dla niej kara za dobroć. Musiała się nauczyć, że za tę swoją miłą ciekawość musi zapłacić. On jej pozwoli dotykać czule jego ręki. Zaglądać mu w głąb duszy tymi dociekliwymi ciemnymi oczami i mieć czelność się przejmować. Sama o to prosiła.

Rozebrał w życiu sporo kobiet. Ale kiedy rozpinał guziki jej koszuli, drżał, żeby zobaczyć, co się pod nią kryje. Nie był wybredny, jeżeli chodzi o piersi. Duże, drobne. Ciemne czy jasne sutki. Alabastrowe czy piegowate. O ile chodziło o niego, najpiękniejszą parą piersi na świecie były zawsze te, których w danej chwili smakował. Ale nic nie przygotowało go na coś takiego. Kiedy rozchylił poły lnianej koszuli, nie mógł uwierzyć w widok, jaki na niego czekał. Spodziewał się kremowej, delikatnej skóry. Tymczasem ujrzał jasny fragment… kolejnej koszuli.

– Nie wierzę. Włożyłaś dwie.

Kiwnęła głową.

– Tę pod spodem, tyłem naprzód. Dodatkowa warstwa ochronna.

To by wyjaśniało, dlaczego nie zobaczył kolejnego rzędu guzików.

– Nie ufałaś mi?

– Nie ufałam sobie – powiedziała. – I chyba słusznie. Spójrz na mnie.

Logan nie wiedział, czy czuć się urażonym jej strategią, czy być pod wrażeniem jej sprytu. Skonstruowała własną zbroję strzegącą dziewictwa. A jego kusiło, żeby zabawić się w uroczego pirata.

Złapać materiał w dłonie i rozedrzeć przez środek, odsłaniając jej pupę na splądrowanie. Ale po co zadawać sobie cały ten trud, skoro wspomniana tkanina była cienka, miękka i prześwitująca? Przesunął jedną dłoń w górę i ujął krągłą wypukłość jednej piersi. Maddie wstrzymała oddech. Jej ciało zadrżało od jego dotyku. Czekał, czy go poprosi, żeby przestał.

Nie zrobiła tego.

– Mówiłem ci, że będzie nam dobrze – wymruczał.

– Chyba przypominam sobie tę obietnicę. Nie powiedziałeś, że będzie bardzo dobrze? Albo bardzo, bardzo dobrze?

Teraz obejmował całą jej pierś, ugniatał i ściskał. Kciukiem odnalazł sutek i wkrótce zrobił z niego napięty, sterczący wzgórek. W tył. I do przodu.

– Bardzo… bardzo… bardzo dobrze.

Krew huczała mu w żyłach, w całości przemieszczając się w szalonym pędzie w jednym kierunku – w dół.

Pod kołdrą jego penis zaczął pulsować i twardnieć. Skupił się na drugiej piersi, rozpościerając palce szeroko, żeby jak najbardziej naciągnąć prześwitujący materiał. Boże, była słodka. Idealne różowawe ciało zwieńczone drobną, czerwonawą brodawką, która wyglądała, jakby miała smakować jak wino malinowe.

Nie mogła złapać tchu.

– Mógłbyś…

Logan w jednej chwili zamarł. Gdy nie powiedziała nic więcej, podniósł głowę i odszukał jej wzrok.

Cholera. Dlaczego dał jej szansę? Teraz, nawet jeżeli nie miała takiego zamiaru, poprosi go, żeby przestał. A wtedy on będzie musiał przestać, bo nie jest mężczyzną, który robiłby to dalej. Cała ta wojna i zabijanie odzierało człowieka z człowieczeństwa. W ciągu dziesięciu lat spędzonych w wojsku widział żołnierzy – nawet takich, którzy nosili ten sam mundur co on – którzy posuwali się do najgorszych czynów wobec kobiet. Czasami był w stanie temu zapobiec, innym razem nie. Ale wykorzystywanie kobiet leżało poza linią, której Logan nigdy nie przekroczył. Nie należały mu się za to żadne medale. Ale dzięki temu miał świadomość, że ocalił resztkę duszy.

Nie miał zamiaru zepsuć tego teraz. Nawet za cenę spędzenia z nią tej nocy.

Nie. Tylko mnie nie proś, żebym przestał.

– Mógłbyś przynajmniej mnie całować, kiedy to robisz? – spytała.

Przetoczyło się przez niego poczucie ulgi i pożądanie.

– Jasne. Nie ma sprawy.

Pochylił głowę i wziął do ust ten malinowy sutek i zaczął go ssać wprost przez ten cholerny materiał.

Sądząc po jej nagłym westchnieniu, nie takiego pocałunku się spodziewała. Ale nie zaprotestowała. Logan był w raju. Była taka słodka. Taka słodka, że zakręciło mu się w głowie i nie był w stanie powstrzymać cichego jęku.

Polizał jej sutek, a potem zaczął zataczać coraz szersze kręgi, przyklejając przezroczysty len do jej piersi. Przerwał, żeby podziwiać efekt, a potem położył się na niej, żeby wygodniej mu było zająć się drugą stroną. Z powodu dwóch warstw osłaniających jej ciało nie był w stanie umościć się pomiędzy jej nogami. Zamiast tego wbił kolana po obu stronach jej ud.

A jego penis dostał się dokładnie tam, gdzie chciał być. Kiedy ich ciała się spotkały, Maddie westchnęła przestraszona. A potem Logan zaczął się o nią ocierać i jej westchnienie stało się ciche i słodkie.

Tak.

– Tak. – Ocierał się biodrami o jej biodra. – Czujesz to? To dopiero początek, *mo chridhe*.

Zamknęła oczy. Jej ciemne rzęsy zadrgały na policzkach.

– Naprawdę musisz mnie całować, kiedy to robisz.

Logan jej posłuchał, tym razem przyciskając wargi do jej warg. Kiedy zanurzył się w rozkosznym cieple jej pocałunku, zrodziła się w nim i zawyła dzikość.

Pragnął jej. Całej. Pod sobą. Obejmującej go. Przyjmującej go do swojej miękkości i ciepła. Nie mógł się nasycić jej słodyczą. Jak opętany, przycisnął jej ręce do materaca i zaczął całować szyję, czoło, usta i cudowne piersi. Później zsunął się niżej.

Uniósł się na kolanach i pocałunkami zaczął wyznaczać szlak na jej osłoniętym lnem ciele. Od zagłębienia jej piersi…

Po nieśmiały, cudowny pępek.

I dalej.

Jak z oddali usłyszał, że mruczy po gaelicku. Słowa zaczęły wypływać z jego ust, niepohamowane. Słowa, których nigdy nie powiedział żadnej kobiecie w swoim życiu.

– Maddie *a ghràdh*. *Mo chridhe. Mo bean.*

Maddie, kochanie. Moje serce. Moja żono.

Jej fantazje zaczęły się udzielać i jego mózgowi.

Co ona z nim wyprawiała?

Naciągnął materiał mocno na jej biodrach, odsłaniając ciemny trójkącik strzegący jej kobiecości.

A potem pochylił się, żeby ją tam pocałować.

Szarpnęła się i wierzgnęła, dając mu kolanem kopniaka w głowę.

Auć.

Logan cicho jęknął z bólu i przewrócił się na bok, trzymając się za głowę.

Wpatrywał się w górę w drewnianą ramę łóżka z baldachimem, z trudem łapiąc oddech. Czy on się zastanawiał, co ona z nim wyprawia? Już wiedział.

Chciała go zabić.

Właśnie to wyprawiała.

– Co… – Złapała kołdrę i przyciągnęła do piersi. – Co to… Dlaczego chciałeś zrobić… to?

Też pytanie.

– Bo ludzie mają więcej wyobraźni niż homary, *mo chridhe*. Przyjemność czerpie się nie tylko w jeden sposób.

Milczała przez długą chwilę.

– A w ile?

Przewrócił się na bok, twarzą do niej, wędrując jednym palcem od jej obojczyka do brzucha.

– Mam pomysł. Pokażę ci je, a ty będziesz liczyć.

Tym razem zdawało się, że jej milczenie nie ma końca.

– Może innym razem, dziękuję. – Przewróciła się na bok. Odsuwając od niego.

Więc to koniec. Pożądanie pulsowało w jego ciele, wijąc się i iskrząc z natężeniem prądu.

Nie miał odwagi zawierzyć, że powstrzymają go poduszki albo jego przyzwoitość.

To będzie kolejna nieprzespana noc na podłodze.

10

Maddie nie była w stanie zasnąć.

Zeszłej nocy whisky i przytłaczające emocje sprawiły, że była zbyt wyczerpana na cokolwiek. Dziś wieczorem jej ciało syczało od niespożytej energii i niezaspokojonego pożądania.

Za każdym razem, gdy zamykała oczy, myślała o jego wargach na niej.

Tam.

Bo ta jedna gorąca chwila była miła.

Bardzo miła. Przeszyła ją wtedy iskra rozkoszy. Nadal czuła ją w podeszwach stóp i na złączeniu ud.

Czy on będzie chciał, żeby kobieta dotknęła go ustami?

Tam?

Ludzie mają większą wyobraźnię niż homary, powiedział kiedyś. A jednak Maddie – która, z tego, co wiedziała, też była człowiekiem – nie była w stanie aż tak wysilić wyobraźni.

Pewnie byłoby jej łatwiej, gdyby choć raz zobaczyła go całego.

Przewróciła się na bok i przesunęła do krawędzi łóżka nad jego legowiskiem na podłodze. Rama łóżka zaskrzypiała. Maddie na chwilę zamarła. A kiedy nie usłyszała nic poza jego spokojnym oddechem, przysunęła się bliżej, aż mogła widzieć go z góry.

Przyćmiony blask ognia powoli ukazywał jego postać.

Leżał na boku, bez koszuli, tylko częściowo przykryty swoim cienkim rozpiętym pledem. Był odwrócony plecami do niej. W świetle kominka

wyglądał jak odlany z brązu. Z tą różnicą, że brąz się nie ruszał, a jego plecy wyglądały jakby… wstrząsały nimi konwulsje.

W pierwszej chwili przyszła jej do głowy nagła zawstydzająca myśl, że on nie śpi i się z niej naśmiewa. Ale gdy zamrugała parę razy, zorientowała się, co się dzieje.

On miał dreszcze.

– Logan – wyszeptała.

Żadnej reakcji.

Po cichu opuściła stopy na podłogę, zakradła się do niego i usiadła obok.

– Logan?

Lekko dotknęła jego ramienia. Nie miał gorączki. Przeciwnie, jego skóra była zimna jak lód. Całym jego ciałem wstrząsały dreszcze, a on zdawał się mruczeć coś przez sen. Nachyliła się, żeby posłuchać. Cokolwiek mówił, brzmiało to jak gaelicki. To samo słowo, raz po raz.

Nah-tray-me?

Sądząc po gwałtownych dreszczach, gdyby miała zgadywać, powiedziałaby, że *nah-tray-me* oznacza chłód, lód, a może: patrz, widzę pingwina.

Och, Logan.

Ponieważ jej próby obudzenia go nic nie dały, Maddie skupiła się na tym, żeby go rozgrzać. Ściągnęła z łóżka ciężką kołdrę. Potem położyła się obok niego i naciągnęła pościel na nich oboje. Wsparła głowę na jednej dłoni i rysowała kojące pieszczoty wzdłuż linii jego ramion, szyi i pleców. Wydawała z siebie ciche uspokajające odgłosy. Nie obudził się, ale dreszcze powoli zaczęły ustępować. Napięcie mięśni zelżało, a jego ciało rozluźniło się przy jej ciele. Skóra przy skórze. Męski mydlany zapach wypełnił jej nozdrza. Serce jej napęczniało. Czułość rozlewała się w jej piersi jak smuga dymu, rozpościerając się i przenikając całe jej ciało.

Nie chcę przytulanek, powiedział wcześniej.

Delikatnie pocierała nosem aksamitnie przycięte włosy u podstawy jego karku, uśmiechając się do siebie tajemniczo. Może on nie chce przytulanek, ale ona – tak. Jak widać, była w tym znakomita.

Madeline Eloise Gracechurch: złodziejka pieszczot.

To, czego Logan nie wiedział, nie zaboli go.

Ale jeżeli Maddie nie będzie ostrożna, serce może jej pęknąć na pół.

Przy pierwszych oznakach świtu wstała i przemknęła do sąsiedniego pokoju, w którym ubrała się w prostą muślinową suknię. Drobnymi kroczkami zeszła po krętych schodach do wysokiego holu, w którym ludzie Logana rozbili tymczasowy obóz.

Stała tak i mrugała, czekając, aż wzrok jej się przyzwyczai i pragnęła, żeby serce przestało dudnić w jej uszach.

No dalej, gdzie jesteście?

Jej wzrok padł na kąt, w którym złożono na stercie dobytek mężczyzn.

Tu.

Maddie obeszła pomieszczenie dookoła, ostrożnie stawiając obute w pantofle stopy, aż dotarła do sterty bagaży.

Będą w sakwie, w siodle, a może w chlebaku… Te obciążające listy musiały gdzieś tam być, a ona miała zamiar je znaleźć. Wyciągnęła z kąta torbę i otworzyła ją, gorączkowo przeglądając zawartość. Nie znalazła w środku nic ciekawego, więc przeszła do następnej. A potem do trzeciej.

Ich zawartość była skromna, mniej więcej taka sama. Zapasowa koszula albo dwie, para wełnianych rękawic bez palców, szczotka ryżowa z borsuczego włosia, dwie kostki do gry. Nic godnego uwagi.

Aż jej palce natrafił na ostry czubek igły. Ku własnemu zadziwieniu, zdołała powstrzymać się od krzyku.

Ale torba wyślizgnęła się z jej uścisku i z głośnym łoskotem upadła na kamienną podłogę.

Zamarła zupełnie i obrzuciła ostrożnym spojrzeniem chrapiących w holu Szkotów. Zdawało się, że żaden niczego nie usłyszał. Mężczyźni pozostali nieruchomymi bryłami skulonymi pod swoimi tartanami.

Najwyraźniej pledy nosili w dzień jako kilt, a nocą używali ich jako przykrycia. Zmarszczyła nos. Kiedy oni prali swoje ubrania?

Kiedy się myli?

– Dzień dobry.

Przestraszona po raz drugi w ciągu zaledwie paru minut, Maddie podskoczyła i się okręciła.

Logan MacKenzie mył się najwyraźniej o tej porze.

Stał w drzwiach do pomieszczenia z boku, nagi do pasa i ociekający wodą. Oparł się jedną ręką o drzwi, a wolną ręką złapał kilt przed sobą. Stał w klasycznej pozycji kontrapostu.

Wyglądał jak renesansowy Dawid, wyrzeźbiony nie z zimnego, nieruchomego marmuru, a z niecierpliwego ciała. Cienki pasek ciemnych włosów ściągnął jej wzrok na dół.

– Wcześnie wstałeś – powiedziała.

– Niezupełnie. Wstałem zaraz po tobie. – Zmierzył ją wzrokiem z góry na dół. Jedna jego brew uniosła się pytająco.

– Szukasz czegoś, *mo chridhe*?

– Och. Tak. Szukałam czegoś. – Miętosiła róg swojego fartuszka i powiedziała jedyną rzecz, jaką była w stanie. – Szukałam ciebie.

– Mnie.

Kiwnęła głową.

Jego wargi uniosły się w czystej męskiej zarozumiałości.

– A więc jestem do twoich usług. Czego ode mnie chciałaś?

No właśnie. Maddie przełknęła głośno ślinę. Chciała tak wielu rzeczy, a większość z nich była niedorzeczna. Chciała wyciągnąć rękę i odgarnąć mu z czoła zabłąkany kosmyk. Chciała założyć mu koszulę, zanim zrobi mu się zimno.

Gdyby zajrzał do jej myśli, miałby niezły ubaw.

Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby uciszyć ten swój chimeryczny instynkt opiekuńczy. Albo skierować go na coś innego.

Cholera. Dlaczego nigdy nie było pod ręką zabiedzonych, drżących szczeniaków, kiedy dziewczyna potrzebowała ich najbardziej?

– Ja… chciałam ci tylko życzyć szczęśliwej podróży. Zrozumiałam, że dziś wybierasz się do Ross-shire.

– Nie jadę dziś do Ross-shire.

– Przecież obiecałeś Grantowi.

– Obiecuję Grantowi to samo co najmniej sześć razy dziennie. Byliśmy tam parę miesięcy temu, ale on tego nie pamięta. Dla niego zawsze jutro jedziemy do Ross-shire.

– Och. Aha. Jeżeli nie masz dziś rano nic innego do roboty – powiedziała – może moglibyśmy… To znaczy, liczyłam na to, że moglibyśmy…

Wpatrywał się w nią, czekając, żeby dokończyła zdanie, ale Maddie nie miała pojęcia, co powiedzieć. Uczesać sobie nawzajem włosy? Pobawić się w chowanego? Poszukać potworów w jeziorze? Co niby mogliby robić wspólnie? Poza czynnościami związanymi z łóżkiem, które oczywiście jemu chodziły po głowie, a dla niej absolutnie nie wchodziły w rachubę.

Kiedy tak stała, wahając się, jego oczy zmrużyły się podejrzliwie. Zerknął w kąt, gdzie upadła otwarta torba. Maddie przeskoczyła na bok, zasłaniając mu widok i dyskretnie kopnęła torbę do tyłu.

– Pomyślałam, że moglibyśmy odwiedzić dzierżawców – powiedziała. – Razem.

– Dzierżawców?

– Jest w dolinie mała grupa rolników. Jesteś nowym lairdem na zamku, można tak powiedzieć. Na pewno chcą cię poznać.

Ulżyło jej, kiedy podejrzliwość znikła z jego oczu. Potarł kark.

– Ja też chciałbym ich poznać. Dobry pomysł.

Odszukał w torbie świeżą koszulę,włożył ją przez głowę i przepchnął ręce przez rękawy. Gdy się tym zajmował, Maddie zapamiętała torbę – czarny płócienny worek.

Listy muszą być w nim. Teraz, gdy już wiedziała, mogła być cierpliwa. Przecież Logan nie będzie całymi dniami pilnował torby.

– Więc ustalone – powiedziała. – Pójdziemy razem wzdłuż strumyka. Mogę zanieść im kosz… czegoś.

Maddie zaczęła się zapalać do tego pomysłu. Może wizyta u dzierżawców była tym wentylem, którego potrzebowała. Będzie mogła pobawić się z dziećmi. Może urodził się jakiś maluch, którego będzie mogła ponosić na rękach.

Może nawet będą mieli szczeniaki.

Jak tylko ich oczom ukazała się osada, wybiegły im na powitanie trzy teriery. Psy ciągnęły Madeline za spódnicę, gdy podchodzili do skupiska około dwunastu kamiennych domków z dachami krytymi strzechą, stojących nad rzeką. Wysoko na grani chłopcy pilnujący owiec odwrócili się i dla odmiany zaczęli przyglądać się im w dole.

Z jednego z domów w oddali niósł się wysoki, słaby płacz niemowlęcia. Kiedy zbliżyli się do osady, Logan przyciągnął Maddie do swojego boku.

– Posłuchaj. Ludzie się pewnie przestraszą, jak nas zobaczą.

– Przestraszą się ciebie?

– Nie, ciebie.

– Mnie? – spytała. – Przecież ja jestem Angielką, i to niezbyt postawną.

– Właśnie dlatego będą się bali – powiedział. – Nie słyszałaś o hrabinie Sutherland?

– Ależ oczywiście, że słyszałam. Nie da się o niej nie usłyszeć. Jest ważną figurą w londyńskim towarzystwie. Uzdolnioną malarką. Dość elegancką.

– A, tak. Tak uzdolniona i elegancka, że stała się najbardziej bezwzględną właścicielką ziemską w całej Szkocji.

– Nie wierzę.

Westchnął zniecierpliwiony. Ta dziewczyna żyła w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości. Wszystko podawano jej na srebrnej tacy. Nie miała pojęcia, jak żyją zwykli mieszkańcy wyżyn. W jego piersi wezbrało daremne poczucie złości.

– Ta hrabina po śmierci rodziców odziedziczyła połowę Sutherland. W ciągu kilku ubiegłych lat jej wysłannicy rugowali mieszkańców wioska za wioską, wypierając Szkotów z tej ziemi setkami, a nawet tysiącami. Kradnąc ich pola, żeby zrobić miejsce dla owiec, paląc ich domy do posad i niewiele im oferując w ramach rekompensaty. Często działo się to przy asyście brytyjskiej armii. – Ze smutkiem spojrzał na swój czerwony płaszcz. Zrobiłby lepiej, gdyby włożył dziś tradycyjny odświętny kilt. – Wierz mi, *mo chridhe*. Szkocja to jedyne miejsce na ziemi, gdzie nikt nie zbagatelizuje dobrze urodzonej Angielki o miłej aparycji, która może zniszczyć życie.

– Coś strasznego.

To było potężne niedomówienie.

– Raczej bandytyzm. Bezczelność. Bezduszność. Te słowa lepiej pasują do sytuacji.

Przyjrzała się skupisku domków.

– Więc martwisz się, że pomyślą, że przyszliśmy tu, żeby ich wyrzucić?

– Nie zdziwiłbym się – powiedział. – Pokazujesz się po raz pierwszy, z oficerem Royal Highlanders przy boku…? Prawdopodobnie się przestraszą, że zaraz wszystko stracą.

– O, mój Boże.

Znajdowali się teraz na tyle blisko domów, że Logan był w stanie dostrzec w oknach twarze ludzi, przyglądających im się.

– Nie martw się – uspokoił ją. – Zapewnię ich, że nie mają się czego obawiać.

– Skoro tak twierdzisz.

Lekki uśmiech uniósł jej wargi. Logan był poirytowany, że ona najwyraźniej nie rozumie tego, co on próbuje jej powiedzieć.

– Przynajmniej przyniosłaś podarunki. Co jest w koszu?

Przejrzała zawartość.

– Trochę bakalii i cukierków. Kilka paczek rodzynek. Ale głównie zbędne kosmetyki ciotki i jej leki. Każe sobie kupować każdy produkt reklamowany w prasie kobiecej. Miło będzie, jeżeli ktoś zrobi z nich użytek.

Zamrugał, patrząc na nią.

– To są twoje podarunki?

– Twoi ludzie opróżnili nasze spiżarnie z zapasów spożywczych, a nie miałam czasu przygotować nic innego.

– Co oni niby mają zrobić z – podniósł brązową fiolkę i przyjrzał się etykiecie – cudownym eliksirem doktora Jacobsa? – Następnie wyciągnął nieduży słoiczek. – Kremem likwidującym przebarwienia?

– Kobiety to kobiety, Logan. Każdej dziewczynie od czasu do czasu potrzeba odrobiny luksusu, żeby mogła się poczuć piękna.

Przetarł dłonią twarz. Zanosiło się na katastrofę.

– Panna Gracechurch! Panna Gracechurch!

Jak tylko Logan zakończył wypowiadać swoje surowe uwagi, najmłodsi mieszkańcy domków zaczęli wylegać na zewnątrz i rzędem pędzili przywitać Maddie. Wkrótce otaczały ją dzieci i ciągnęły za spódnicę.

– Co mówiłeś, Logan? Że będą się mnie bali?

Sięgnęła do kosza, wyciągnęła garść słodyczy i zaczęła je rozdzielać pomiędzy dzieci, wyciągające ręce.

– Mogłaś wspomnieć, że cię znają – odpowiedział.

– I popsuć ci wykład na temat czystek? Szkoda by było.

Pokręcił głową. Mała lisica.

– Cześć, Aileen. – Ukucnęła przy szczerbatej dziewczynce, która mogła mieć nie więcej niż cztery, pięć lat. – Jak twoja blizna, skarbie?

Podniosła krawędź rękawa dziewczynki i obejrzała cienki czerwony ślad na ręce.

– Bardzo ładnie zagojona. Grzeczna dziewczynka. W nagrodę dostaniesz ciasteczko. – Sięgnęła do kosza po łakocie. – Proszę, kochanie.

– To była blizna poszczepienna – zauważył Logan, gdy Aileen odbiegła.

Maddie kiwnęła głową.

– Odwiedzam ich regularnie, odkąd przejęłam zamek. Kiedy się dowiedziałam, że żadne z dzieci nie było szczepione, zamówiłam u doktora Jennera szczepionkę na krowią ospę. Przeprowadziliśmy szczepienia jakiś miesiąc temu.

Niech to, nie przestawała go zaskakiwać. Najpierw swoją urodą. Później ilustracjami. Był zmuszony zaakceptować fakt, że ma silniejszy charakter, niż wynikało z listów, ale żadna z tych rzeczy nie odbiegała zbytnio od granic jego starannie oznaczonego w głowie terytorium o nazwie „Madeline”. Była uprzywilejowana, wychowana pod kloszem, inteligentna, ciekawa i o wiele za cwana.

Ale to…

To było coś innego.

Kiedy obserwował ją z dziećmi dzierżawców, jego mniemanie na jej temat wykroczyło poza przyjęte wcześniej granice. Był zmuszony dodać do swojej listy parę nowych określeń. Takich jak „hojna”, „odpowiedzialna” i „opiekuńcza”. Podbijała nowe miejsca w jego umyśle, bezczelnie najeżdżając terytorium, za które wolałby zginąć, niż je oddać.

Wszystko było nie tak. Przybył tu, żeby się z nią ożenić i przejąć to, co mu się należało. Nie chciał jej lubić – na pewno nie bardziej, niż ona chciała lubić jego.

– Nie wszyscy angielscy właściciele ziemscy idą za przykładem hrabiny Sutherland – powiedziała. – Mój ojciec zawsze trzymał się twardych zasad zarządzania ziemią, a szczepienia są dla mnie czymś ważnym. Moja matka w młodym wieku przeżyła ospę. Choć z niej wyszła, jej serce zostało osłabione. Moim zdaniem to dlatego tak młodo zmarła.

Logan wiedział, rzecz jasna, że straciła matkę. Szczęśliwe powtórne małżeństwo jej ojca opisywała ze szczegółami w wielu listach. Jednak nigdy nie napisała zbyt wiele o matce, a jemu nie przyszło do głowy spytać.

– Liczyłam na to, że w tym roku otworzę szkołę – powiedziała, zręcznie zmieniając temat. – Może twoi ludzie, jak wybudują już własne domy, będą mogli się zająć budową szkoły?

– Najpierw muszą się zająć szukaniem żon i zrobieniem dzieci, żeby ją zapełnić.

– To się da zrobić. Kilku mężczyzn z okolicy poszło na wojnę i nie wróciło. Niejedna młoda kobieta znalazła się w niepewnej sytuacji.

Rozglądając się dookoła, Logan wypatrzył kilka potencjalnych kandydatek – grupka młodych dziewcząt stała razem przy drzwiach, szepcząc między sobą i chichocząc. Szybko przyłączyły się do nich inne. Po chwili wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy małej osady wylegli im na powitanie, tłocząc się wokół.

– Nie przesadzałaś – skwitował. – One naprawdę się cieszą z tego, co zbywało twojej ciotce.

Podniosła wzrok znad kosza.

– Na ogół nie są aż tak przejęte. To pewnie z twojego powodu. Kiedy ja… – urwała, nie kończąc. Gdy Logan się odwrócił, żeby na nią spojrzeć, zauważył, że zamarła. Rozpoznał ten blady, nieobecny wyraz twarzy. Nazywała to nieśmiałością, ale Loganowi wyglądało to raczej na szok. Widział go u żołnierzy, szczególnie tych, którzy przeżyli najpotworniejsze walki. Ich oczy patrzyły przed siebie, a umysły wydawały się być gdzieś daleko.

– Maddie?

Otrząsnęła się.

– To jest kapitan MacKenzie – przedstawiła go kobietom, wciskając kosz w dłoń Loganowi i wycofując się. – Dzisiaj on rozda wam prezenty.

– Zaczekaj – powiedział. – Chcesz mnie tu zostawić z tymi wszystkimi… – wyłowił z koszyka małą puszeczkę – …balsamami upiększającymi z dzikiej róży?

– Właśnie sobie przypomniałam o kobiecie w połogu. Miałam do niej zajrzeć.

– To może zaczekać, aż wrócisz.

Pokręciła głową i już jej nie było.

11

Maddie oddaliła się pośpiesznie i schowała za długim, wąskim kamiennym domkiem z dachem krytym strzechą.

Gdy znalazła się sama, objęła się w pasie rękami i ścisnęła mocno. Szczękała zębami i wszędzie paliła ją skóra.

Poczuła ukłucie winy, że zostawiła Logana samego pod fałszywym pretekstem. Nie było w tej wiosce żadnej kobiety w połogu. W każdym razie Maddie o żadnej nie wiedziała. Ale na ogrodzonym kamiennym murkiem pastwisku przy domu znalazła owcę karmiącą dwa jagniątka i doszła do wniosku, że jest usprawiedliwiona.

Gdy tłum zacieśnił się wokół niej, zacisnął się też chłód. Wiedziała, że musi uciec, a prawda nigdy nie była pożyteczną wymówką.

Życie raz po raz uczyło ją tej lekcji. Jeżeli prosiła, aby zwolniono ją ze zobowiązań wobec mieszkańców podległych jej ziem, dlatego że była po prostu zbyt nieśmiała, rodzina i przyjaciele nigdy nie traktowali jej słów poważnie. Twierdzili uparcie, że musi po prostu spróbować. Nakłaniali, namawiali, mówili jej, ile będzie miała radości. Tym razem, zapewniali, będzie inaczej.

Nigdy nie było inaczej.

Maddie dawno temu pogodziła się z prawdą. Te same okazje, które u innych wywoływały radość i wesołość, dla niej były torturą. I nikt nigdy tego nie zrozumie.

Kiedy zebrała się w garść, podeszła z powrotem za róg domku i wyjrzała zza niego.

Kobiety nadal tłoczyły się wokół Logana i jego kosza z kosmetykami. Odkręcały buteleczki, które rozdawał i zaglądały do słoiczków z kremem, gawędząc i śmiejąc się między sobą. Logan odkręcił flakon z wodą toaletową i wyciągnął w stronę kobiety o miedzianych włosach, żeby powąchała. Ona ostrożnie pociągnęła nosem, roześmiała się i uśmiechnęła. Rumieniec dotknął jej piegowatych policzków. Maddie podejrzewała, że nie ma on nic wspólnego z zapachem z buteleczki, a z przystojnym darczyńcą.

Boże, jak on dziś dobrze wyglądał. Poranne światło podkreśliło rude pasemka w jego włosach i nadało skórze odcień ciepłego brązu. Emanowała od niego aura władczości i swobody. Był w swoim żywiole. Pewnie wychował się w osadzie podobnej do tej. Wiedział, jak się przywitać z mieszkańcami, którzy do niego podchodzili, od najstarszej babci po ciekawskiego wyrostka, który zbiegł ze wzgórza. Kiedy zobaczyła, że kosz Logana jest pusty i kobiety zaczęły rozchodzić się do domów ze swoimi nowymi skarbami, Maddie wyłoniła się z kryjówki. Pożegnali się z psami i z dziećmi i ruszyli w powrotną drogę. Logan nie wyglądał na zadowolonego.

– Zrobiłaś mi niezły numer, zostawiłaś mnie z tymi dziewczynami, żebym zabawiał się w komiwojażera.

– Nie sądzę, że one były zainteresowane moimi prezentami. Bardziej chyba były ciekawe ciebie.

– Byłoby lepiej, gdybym poszedł na pola i porozmawiał z mężczyznami.

– Chciałeś powiedzieć, że to byłoby bardziej wielkopańskie.

Skwitował to lekceważącym odgłosem.

– Nie chodzi o wielkopaństwo. Tylko o wypełnienie obowiązku. Poznanie sąsiadów. Uspokojenie ich, że nie muszą się martwić o swoją przyszłość. – Spojrzał na nią badawczo. – Skoro mowa o zmartwieniach, co się tam wydarzyło?

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Chyba wiesz. Kiedy te kobiety cię otoczyły, wyglądałaś tak, jakbyś odpłynęła. Nie było cię tam. To samo zauważyłem w dniu naszego ślubu.

Zagryzła wargę.

– Myślisz, że one się zorientowały?

– Trudno powiedzieć. Ale ja zauważyłem.

Spojrzała w dal.

– Mówiłam ci. Jestem nieśmiała.

– To wyglądało na coś poważniejszego niż nieśmiałość.

Pokręciła głową. Przyzwyczaiła się do tego, że rodzina i przyjaciele jej nie rozumieją. Ale to była nowa porażka, kiedy nawet jej wymyślony ukochany nie chciał przyjąć do wiadomości faktów.

– Jestem nieśmiała w grupie, i tyle. Zawsze taka byłam. I nie znoszę, że czasami ludzie odnoszą wrażenie, że coś mnie nie interesuje, ale ja po prostu nie umiem się inaczej zachowywać.

– Nie martw się. Będziesz miała szansę zrobić dobre wrażenie na Beltane.

– Beltane?

– Pierwszego maja. To tradycyjne święto na szkockich wyżynach, wywodzi się z czasów pogańskich.

– Słyszałam o nim – powiedziała. – Ale nie bardzo wiem, dlaczego miałabym w tym dniu robić dobre wrażenie.

– Zaprosiłem ich do zamku, poprosiłem kobiety, żeby rozpowiedziały dalej. Zaprosimy wszystkich mieszkających w okolicy.

– A więc urządzasz przyjęcie?

– Raczej należałoby powiedzieć, że to ty urządzasz przyjęcie. Gospodynią jest pani zamku, prawda?

Maddie przyspieszyła kroku, aż niemal potknęła się o kamień.

– Pierwszy maja jest już za dwa tygodnie. To zbyt mało czasu, żeby przygotować zamek. Ani żeby przygotować siebie. Nigdy niczego nie

wyprawiałam.

– Ci ludzie potrzebują więzów z tradycją – powiedział. – Święta, na które mogą czekać. I muszą wiedzieć, że ziemia jest w dobrych rękach. To ważne, żeby widzieli, jak razem pracujemy.

– Szkoda, że wcześniej mnie nie spytałeś.

– Mogłem spytać. Ale byłem zdecydowany ich zaprosić bez względu na to, jak brzmiałaby twoja odpowiedź.

– Cóż. Prawdziwy z ciebie dowódca.

– Nie jestem przyzwyczajony, żeby decyzje podejmować komisyjnie, *mo chridhe*. Skoro chciałaś mieć grzeczne dyskusje, powinnaś była wysyłać listy do jakiegoś duchownego z Hertfordhire. Skoro nie chciałaś szkockiego oficera, nie powinnaś była o nim marzyć.

Nie powinnaś, nie mogłaś, nie chciałaś.

– O, ja głupia. Miałam wielkie marzenia.

Posłał jej szelmowski uśmiech.

– I ci się spełniły.

Sprośna insynuacja w jego stwierdzeniu sprawiła, że Maddie się zarumieniła.

– Możemy porozmawiać o tym, że zupełnie do siebie nie pasujemy? – spytała. – To dopiero dwa dni, a nasze małżeństwo jest już katastrofą. Cały czas jestem przekonana, że jest jakieś inne rozwiązanie. Skoro nie chcesz się zgodzić na dzierżawę… może sprzedałabym ci trochę ziemi.

Prychnął.

– A niby czym ci zapłacę? Czy ja wyglądam na bogacza?

– Jesteś oficerem. Albo byłeś. Na pewno byłeś sowicie wynagradzany za swoją funkcję.

– Rangę uzyskałem na polu walki. Moje dowodzenie nie było warte tyle samo, co dowodzenie dżentelmenów. Mam pieniądze na początek dla siebie i dla chłopaków, ale to wszystko.

– Och. Cóż, to niedobrze.

– Gdybym miał złoto, żeby po prostu kupić ziemię, zrobiłbym to sam. To byłoby o wiele łatwiejsze.

Maddie nie wiedziała, jak przyjąć to stwierdzenie.

Miała uwierzyć, że do tego haniebnego czynu – zmuszenia jej szantażem do małżeństwa – pchnęły go szlachetne pobudki? Czy miała się poczuć, jakby była dla niego złem koniecznym?

Wymacała broszę przyczepioną do jej tartanowego pasa.

Cóż, oto odpowiedź.

Była dla niego złem koniecznym.

– Powiedzmy, że nie napisałam ani jednego listu – zaczęła łagodniejszym tonem. – Powiedzmy, że twoi ludzie nie potrzebują żadnej pomocy. Czego byś chciał dla siebie, Logan? Domu, żony, rodziny? Interesów, a może farmy…? O czym marzyłeś?

– O niczym.

– Nie możesz powiedzieć: o niczym. Na pewno musiałeś…

– Nie. – Jego ton był obcesowy. – Dziewczyno, ja nigdy nie marzę.

– Do licha.

Nie zamierzał tego powiedzieć. To nie było coś, o czym często rozmawiał. Właściwie na ten temat nie rozmawiał chyba z nikim, nigdy. Wiedział, że jest w tym względzie dziwny.

Ale wypowiedział to teraz, z jakiegoś niewiadomego powodu. Maddie przystanęła na środku ścieżki i odwróciła się do niego, badając go tymi bystrymi, ciemnymi oczami, które były w stanie dostrzec nie tylko to, co było, ale także to, czego nie było.

– Nie wierzę ci – powiedziała. – Każdy ma marzenia.

– Ja nie. – Wzruszył ramionami. – Kiedy w nocy zamykam oczy, pod powiekami jest tylko ciemność. I pustka, dopóki się nie obudzę.

To była największa obawa Logana – myśl, która prawdopodobnie pozwoliła mu przetrwać wiele walk i kampanii – że kiedy przyjdzie po

niego śmierć, będzie niczym innym niż niekończąca się noc. Znów będzie drżącym chłopcem, uwięzionym samotnie w pustej ciemności. Na zawsze.

– Ale zeszłej nocy…

– Co: zeszłej nocy?

Zacisnęła wargi.

– Nic. To po prostu takie dziwne. Nigdy nie znałam nikogo, kto o niczym nie marzy i nic mu się nie śni.

– Ten talent chyba się u mnie nie rozwinął. Byłem sierotą bez niczego. Co by mi dały marzenia? Nie wiedziałbym, o czym marzyć, gdybym nawet chciał spróbować.

– Z pewnością nie jest za późno, żeby się nauczyć. – Wyciągnęła rękę, żeby strząsnąć paprochy z jego rękawa. Jakby chciała go dotknąć, ale się zreflektowała. – Nie musisz tkwić w małżeństwie ze mną. Jeżeli tego nie chcesz.

Przyciągnął ją do siebie, gwałtownie. Dając jej poczuć swoje ciało przyciśnięte do jej ciała.

– Nie sądzę, żebyś wątpiła w to, czego chcę.

– Tak, ale jest chcenie i chcenie. Ciało może pożądać czego innego niż dusza.

Prychnął lekceważąco. Jaka dusza?

– To życie, które z taką determinacją chcesz stworzyć dla swoich przyjaciół i dzierżawców – dom, uprawy na polu, krowy na pastwisku… – Dotknęła jego koszuli z przodu, gdzieś w pobliżu jego łomoczącego serca. – Ładnej Szkotki, która co wieczór witałaby cię w domu, kiedy wracałbyś z pola, ogrzewała w nocy, urodziła ci dzieci… Może tak bardzo chcesz tego dla nich dlatego, że tak naprawdę sam tego pragniesz.

Zbył tę myśl.

– Cierpisz na nadmiar wyobraźni. I muszę przyznać, że wcale za bardzo ci w życiu nie pomogła, prawda?

– Może i nie.

– Nie ma znaczenia, czego chcę. A tym bardziej to, o czym marzę. Moja dusza nie ma tu nic do gadania. Żadna z tych wszystkich rzeczy nie ma nic wspólnego ze mną. Przyjechałem, żeby się z tobą ożenić, dlatego że tego potrzebują moi ludzie. Wymieniam jedną na cały klan.

Skrzywiła się na te jego słowa.

Od razu wiedział, że ją zranił.

I wcale nie poczuł takiej satysfakcji, na jaką liczył. Właściwie poczuł się raczej mały. Jak chłopiec przyłapany na rzucaniu kamieniami w ptaki.

Wypuściła powoli powietrze i kiwnęła głową.

– Dziękuję ci za to. Kiedy przyglądałam ci się wśród rolników, wisiała nade mną groźba, że cię polubię. – Oddaliła się od niego szybkim krokiem, a wojownicze kołysanie jej chodu przywoływało go, żeby ruszył za nią.

– Przecież chciałaś nowego powodu, żeby mną gardzić. Spełniam tylko twoje prośby.

– I całkiem dobrze ci idzie.

– Jesteś na mnie zła.

– Tak.

– Obrażona. Wściekła. Poirytowana.

– Wszystko naraz.

– Świetnie.

Złapał ją za rękę i przyciągnął, żeby stanęła twarzą do niego, wędrując wzrokiem po zaróżowionej skórze jej szyi i unoszących się i opadających piersiach ukrytych w gorsecie. Pociągający błysk przekory rozświetlał jej ciemne, tajemnicze oczy.

– W takim razie następnym naszym przystankiem jest sypialnia, *mo chridhe*. Powinnaś już być gotowa, żeby uczynić to małżeństwo prawdziwym.

12

*O*ch, nie. – Maddie natychmiast pożałowała swoich głupich słów. – Nie zachowuj się niedorzecznie – powiedziała.

– Nie będę niedorzeczny. Mam zamiar być ognisty.

Maddie bardzo chciała wymyślić celną, ciętą ripostę, którą ustawiłaby go do pionu, a siebie wyratowała z tej sytuacji. Ale mocny wiatr, szarpiący jej spódnicę najwyraźniej skradł jej przy okazji rozum.

Więc zamiast wyszukanej odpowiedzi, udzieliła dziecinnej. Przez chwilę paplała głupoty, a potem spanikowała i uciekła.

Kręta droga powrotna do zamku nagle wydała jej się zbyt długa. Maddie chciała być już w domu. W domu, w swoim łóżku, pośród miłych poduszek i koców.

Z Loganem stojącym bezpiecznie po drugiej stronie zaryglowanych drzwi.

Złapała rąbek spódnicy, zeszła ze ścieżki i ruszyła prosto przez łąki, tak szybko, jak pozwalała jej błotnista ziemia.

– Nie idź tamtędy – krzyknął za nią Logan.

Zignorowała go.

Będę chodziła, którędy i jak mi się podoba, dziękuję. Nie jestem jednym z twoich żołnierzy. Nie rozkazuj mi.

– Auć.

Maddie niemal potknęła się o własną spódnicę. Spojrzała w dół. Tak jej było spieszno, żeby udowodnić, jaka jest niezależna, że z tej niezależności

postawiła nogę w złym miejscu. Cały jej but zniknął w czarnym, włóknistym błocie.

Kiedy spróbowała go wyciągnąć, druga jej noga w jednej chwili też się zapadła – aż po kolano.

Co to za błoto? Zachowywało się jak wydmy, wciągając ją coraz głębiej i głębiej.

– Logan? – krzyknęła. – Logan, proszę, chodź szybko! Nie mogę ruszyć nogą.

Stał kilka metrów dalej i oceniał sytuację.

– Wdepnęłaś w torfowisko. Często się to zdarza.

– Tobie też się zdarzyło?

– Oj, nie. Nie jestem taki głupi.

No pewnie, pomyślała Maddie z goryczą. Oczywiście, że coś takiego mogło przydarzyć się tylko jej.

– Ale uratowałem wiele krów i owiec – ciągnął.

– Wspaniale. Może byłbyś tak miły i uratował mnie? Szybko?

Błysk rozbawienia rozświetlił jego oczy. To spojrzenie powiedziało jej coś strasznego.

Miał zamiar jej pomóc, ale najpierw zamierzał mieć ubaw z każdej minuty.

Maddie wykręcała się i szarpała nogą, na próżno. Naprawdę porządnie utknęła, a jej serce podskakiwało w piersi jak królik.

Logan cmoknął.

– Pierwsza zasada torfowiska: nie panikuj.

– A jaka jest druga zasada? Chyba powinniśmy przejść od razu do drugiej.

– Nie szarp się – powiedział. – Niepotrzebnie się zmęczysz. Zachowaj spokój i czekaj, aż twoje ciało osiągnie równowagę.

Łatwo powiedzieć.

Spróbowała dosięgnąć czegoś, czegokolwiek, czego mogłaby się uchwycić. Jej dłonie złapały jedynie powietrze i wiotką trawę. Torfowisko zacieśniło swój uścisk, połykając jej biodra.

– Logan – krzyknęła. – Logan, zapadam się coraz głębiej!

– Bo się szarpiesz.

– A jak mam się nie szarpać! Jestem pochłaniana żywcem! A ty sobie stoisz w najlepsze.

Ukucnął, żeby znaleźć się na poziomie jej wzroku.

– Nic ci się nie stanie. Większość torfowisk jest głęboka tylko do pasa.

– Większość – powtórzyła. – Niektóre są głębsze.

– Rzadko się zdarza, żeby ktoś zginął na torfowisku.

– Rzadko się zdarza? Jeżeli próbujesz mnie uspokoić, bardzo kiepsko ci to wychodzi.

– Spokojnie – powiedział. – Ci, którzy umierają, giną z powodu ekspozycji albo z pragnienia. Nie dlatego, że zostają wciągnięci.

– Więc chcesz powiedzieć…

– Nic ci nie będzie. Zbudujemy ci nad głową niewielki daszek i dwa razy dziennie będę ci przynosił podpłomyki. Możesz tu żyć dość szczęśliwie przez lata.

Maddie zacisnęła zęby, żeby powstrzymać się od uśmiechu, ani się nie roześmiać. Za każdym razem, kiedy postanawiała sobie, że go znienawidzi, on tryskał tym rozbrajającym humorem. Nie chciała go za to wynagradzać.

– Nie martw się – powiedział. – Potrzeba wielu godzin, żeby ciężar torfu odciął ci dopływ krwi do kończyn.

Jęknęła, zdesperowana, zanurzając się głębiej.

Torf i błoto wciągały ją za nogi, zanurzając ją po pas w mazi.

Naprawdę zaczynała panikować. Zanurzenie się w błocie po kolana było zabawne, nawet dla niej, przez minutę. Może dwie. Ale tkwienie po pas w lodowatym błocie z wyraźną możliwością, że nigdy się z niego nie wydostanie?

Nie tak wyobrażała sobie miłe popołudnie. Zwłaszcza że istniało duże prawdopodobieństwo, że będzie to jej ostatnie popołudnie.

Logan, dla odmiany, sprawiał wrażenie, jakby przeżywał najlepsze chwile swojego życia. Siedział na kamieniu nieopodal.

– Pamiętasz, jak wpadłaś w torfowisko? – Zachichotał do siebie. – Co za wspomnienie. Spędziliśmy tam cały dzień. Urządziliśmy sobie piknik. Śpiewaliśmy piosenki przez godzinę czy dwie. Policzyliśmy do pięciu tysięcy dla zabawy. Potem się uparłaś, żebym poszedł po kanapki i…

Rzuciła mu błagalne spojrzenie.

Spojrzał na błoto.

– Jeżeli cię wyciągnę, obiecasz, że się ze mną prześpisz za moje poświęcenie?

– Posłuchaj, co ci obiecam, Loganie MacKenzie. Jeżeli mnie nie uwolnisz, powrócę z zaświatów i będę cię straszyć. W nieskończoność.

– Jak na nieśmiałą angielską intelektualistkę, potrafisz być dość temperamentna, jak chcesz. Nawet mi się to podoba.

Objęła się, żeby nie zamoczyć dłoni w pełzającym błocie.

– Logan, proszę. Błagam cię, przestań się ze mną droczyć i wyciągnij mnie stąd. Jest mi zimno. I jestem przerażona.

– Spójrz na mnie.

Spojrzała.

Wbił w nią intensywne spojrzenie niebieskich, nieruchomych oczu. W jego głosie nie było już lekkiego tonu.

– Nie zostawię cię. Przez dziesięć lat w brytyjskiej armii nie zostawiłem nikogo i ciebie też nie zostawię. Wyciągnę cię stąd. Rozumiesz?

Skinęła głową. Zaczynała rozumieć, dlaczego jego żołnierze poszliby za nim wszędzie i dlaczego od razu wzbudził zaufanie rolników. Kiedy Logan MacKenzie brał kogoś pod opiekę, prędzej zginąłby sam, niż pozwolił zrobić mu krzywdę.

Maddie nie była pod jego opieką, niezupełnie. Zamierzał ją wykorzystać dla jej ziem, po prostu. Ale przynajmniej pocieszała ją ta świadomość: nie mógłby jej tu zostawić.

Tak długo, dopóki ich małżeństwo nie zostanie skonsumowane, na nic mu się nie przyda martwa.

– Po pierwsze weź porządny oddech – polecił. – Wdech, a potem wydech. Powoli.

– Nie chcę tracić czasu na oddychanie. Nie możesz po prostu mnie stąd wyciągnąć?

– Oddychaj – powtórzył.

Zdawało się, że jej nie pomoże, dopóki ona go nie posłucha. Zamknęła oczy, zaczerpnęła powietrza, a potem je wypuściła.

– Dobrze, jeszcze raz. Tym razem spokojniej. I jeszcze raz, aż się uspokoisz.

Tych pół tuzina powolnych, wymuszonych oddechów było największą torturą jej życia. Ale na koniec rzeczywiście czuła się nieco lepiej. Jej rozszalałe serce uspokoiło się i biło nieco mniej ogłuszająco.

– Jak będziesz gotowa, możesz zacząć się poruszać do przodu i do tyłu – powiedział.

– Jak?

– Po prostu się kołysz do przodu i do tyłu. Jak w tańcu.

– O, Boże. To koniec. Umrę tutaj. Nie umiem tańczyć.

Zachichotał.

– Kobieto, bagno o tym nie wie.

Zrobiła, jak jej polecił, kołysała się w przód i w tył. Czuła się jak wahadło zegara poruszające się w syropie. Z początku była w stanie ruszyć się zaledwie o dwa czy pięć cali w każdą stronę, ale po kilkuminutowym wysiłku, kołysała się już całkiem mocno.

– Dobrze. Czujesz wodę wokół nóg?

Kiwnęła głową.

– Czyli robisz to właściwie. Nie przerywaj. Spróbuj nawet trochę szybciej. Dobrze by było, gdybyś uwolniła nogi, zanim…

– Zanim co? – spytała Maddie.

Ciężkie krople deszczu spadły na jej twarz i ramiona.

– Już wiesz.

Wspaniale. Teraz będzie przemarznięta i mokra z obu stron.

Zaczęła się kołysać z nową siłą i w nagrodę dostała nieco więcej przestrzeni.

– Co mam robić teraz?

– Odchyl się lekko do tyłu – polecił. – Jakbyś zamierzała położyć się na torfowisku.

– Ale…

– Po prostu to zrób.

Leżał na brzuchu poza nią, wyciągając obie ręce. Kiedy się odchyliła, chwycił ją pod pachy.

– Mam cię – wyszeptał jej do ucha. – I już cię nie wypuszczę.

Przełknęła głośno ślinę.

– Co dalej?

– Tą nogą, która ma więcej miejsca, kręć na boki. I ciągnij w górę.

– Nie rozumiem. Mam nią poruszać na boki czy do góry?

– Naraz.

Dobry Boże. Co dalej? Będzie musiała robić to wszystko, żonglując przy tym pochodniami i paląc fajkę? Nie była pewna, czy poradzi sobie z koordynacją ruchów. Londyńskie sale balowe, szkockie torfowiska… czy na świecie nie ma już ani jednego bezpiecznego miejsca dla zdziwaczałej angielskiej starej panny?

Zajęła się najpierw prawą nogą, potrząsając nią pod powierzchnią błota i powoli ciągnąc ją w górę. Stopniowy postęp przychodził w bólach, ale w końcu jej kolano wyłoniło się z mazi.

– Dobrze – powiedział Logan. – Teraz druga. Tym razem ty kręć, ja będę ciągnął.

– Staram się.

I naprawdę się starała, ale to nie wystarczyło. Bagno w szybkim tempie znów się nad nią zamykało, wciągając jej nogę. Nagle zrozumiała wyraźnie, jakie to szczęście, że Logan był w pobliżu. Gdyby była tu sama, nigdy w życiu by się nie uwolniła.

Nawet z jego pomocą nie wydawało się to wcale takie proste.

– Ostatni raz – powiedział. – Poruszaj nogą w przód i w tył, najbardziej energicznie, jak tylko możesz. Ja pociągnę, jak policzę do trzech.

Kiwnęła głową.

– Raz… dwa…

Zacisnęła zęby.

– Trzy.

Mięśnie jego ręki naprężyły się. Kiedy ciągnął, ona poczuła potworne szarpnięcie w stawie biodrowym. Wiedziała, że przyjdzie jej za to zapłacić. Będzie czuła ból przez kilka dni. Ale nawet cały rok bólu byłby lepszy niż kolejna minuta w tej błotnistej pułapce.

W końcu była wolna.

Zdyszana przeczołgała się kilka metrów w górę wzniesienia i opadła na wilgotną darń. Była umazana błotem od pasa w dół, a wszędzie indziej przemoknięta od deszczu.

Logan też wydawał się zmęczony. Padł obok niej.

– Życie jest takie dziwne – powiedziała, odgarniając kosmyk włosów z mokrej od deszczu twarzy. – Szkockiego ukochanego wymyśliłam po to, żeby uniknąć upokorzenia. I spójrz na mnie teraz. Jak to jest, że pakuję się w takie tarapaty?

– Pragniesz ich, *mo chridhe*. – Odwrócił się twarzą do niej, podpierając się na łokciu. – Tego wszystkiego pragnęłaś. Odległy zamek na szkockich

wzgórzach i oficer w kilcie. Ciesz się, że nie udało ci się mnie zabić, bo nadal tkwiłabyś w tym bagnie, sama.

Znów zaczynał, oskarżał ją o mordercze zamiary. Wyraźnie nie mógł zostawić tej myśli w spokoju. A za każdym razie, kiedy ją przywoływał, w jego głosie było słychać lekki wyrzut.

– Logan, przykro mi, jeżeli cię zraniłam.

Parsknął lekceważąco.

– Nie zraniłaś mnie.

Jasne. Jak drobna Angielka miałaby zranić zwalistego szkockiego wojownika? Wiadomo, on nigdy się do tego nie przyzna.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie – powiedziała – tak naprawdę wcale nie pragnęłam szkockiego zamku ani mężczyzny w kilcie. Chciałam być tylko rozumiana, akceptowana. Kochana. – Jej wzrok padł na jej mokrą tartanową szarfę i spinającą ją broszę w kształcie serca. – Możesz mi wierzyć. Dostałam nauczkę.

– Na temat miłości i akceptacji nie mogę zbyt wiele powiedzieć, ale naprawdę cię rozumiem. Doskonale.

– Wcale nie.

– Ależ tak. – Błądził wzrokiem po jej twarzy. – Jesteś fałszywa, zabawna, bystra, niepokorna, hojna, masz zdolności plastyczne… – przesunął ubłoconym kciukiem po grzbiecie jej nosa – …i jesteś brudna. Bardzo, bardzo brudna.

– Nie brudniejsza od ciebie.

Przycisnęła rozpostartą dłoń do jego twarzy. Pozostawiła ślady pięciu ubłoconych palców… i jednego ponurego Szkota. W połączeniu z jego intensywnie niebieskimi oczami i zarośniętą twarzą, z pręgami wyglądał jak pradawny szkocki wojownik pomalowany do bitwy.

Gotowy do uderzenia.

Jego wielka, ubłocona dłoń powędrowała do jej talii i złapała mokrą szarą wełnianą suknię.

– Skoro chcesz brudu…? – Przyciągnął ją do siebie, sprawiając, że westchnęła. – Będziesz brudna.

Jego wargi opadły na jej usta, gorące i wirtuozerskie. Jego dłonie były wszędzie i rozsmarowywały błoto nawet na czystszych miejscach jej sukni. Maddie była w stanie tylko uczepić się jego płaszcza, kiedy zalewały ją wszystkie zakazane doznania.

Jego język wsunął się do jej ust. Szukał, żądał.

Czuła smak frustracji w jego pocałunku.

Czy pozostała po wczorajszej nocy, po dzisiejszym poranku czy po całej ostatniej dekadzie, Maddie nie wiedziała. Jakikolwiek był powód, Logan najwyraźniej zamierzał pomścić ją tym zmysłowym natarciem.

A Maddie nie była w stanie się zmusić, żeby zaprotestować. Uwielbiała, jak dotykał ją w ten dziki, zaborczy sposób. Jego dłonie błądziły po jej piersiach, biodrach, plecach. Jej sutki zamieniły się w twarde wzniesienia, jakby przypominały sobie zabiegi zeszłej nocy i były gotowe błagać o więcej. Kiedy jego kciuk odnalazł jeden bolesny wzgórek i zaczął go drażnić, Maddie jęknęła pod wpływem nieporadnej rozkoszy i ulgi.

Pozwoliła opaść głowie do tyłu, a on obsypywał delikatnymi pocałunkami wrażliwą skórę w miejscu skrywającym jej puls.

Jego łagodność i skrupulatność sprawiły, że poczuła się hołubiona. Cenna.

Pożądana.

Nigdy nie śniła, że mogłaby czuć, że ktoś tak jej pragnie. To był prawie…

Och, co za ironia. To było prawie jak spełnione marzenie.

Nie, powiedziała sobie. Nie bądź naiwna.

Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby myśleć w ten sposób.

Przez cały ten czas wysilała się, żeby nie pozwolić się zaangażować swojemu głupiemu sercu, trzymając Logana na odległość, według warunków i zasad. Zbyt niebezpiecznie było postąpić inaczej.

I też zbyt łatwo była w stanie sobie coś uroić. Stworzyć bajkę o oddaniu, która byłaby po prostu kolejnym kłamstwem – takim, którym okłamałaby siebie samą. Nie chciała sobie wyobrażać, że Loganowi może na niej zależeć.

Nie zależało mu.

Ale jej chciał.

Ten żar pomiędzy nimi był prawdziwy. Ten gwałtowny pocałunek był prawdą. A gorąca krawędź jego podniecenia przyciśnięta do jej uda było o wiele za duża, żeby mogła być wytworem jej wyobraźni.

Podniósł głowę i spojrzał na nią z góry.

– Maddie.

Kiedy wyszeptał jej imię, zapomniała o chłodzie.

A także o błocie, tym, jak jej dokuczał i o bólu nogi. Deszcz cały czas padał, wciskając ją coraz mocniej w schronienie uścisku Logana. Krusząc jej wolę walki.

Położyła dłoń na jego policzku. Nie było już zaciekłego szkockiego wojownika. Deszcz poprzyklejał jego włosy do czoła i skropił twarz, sprawiając, że wyglądał jak zmoknięty szczeniak: zagubiony i spragniony miłości. Zupełnie tak skołowany wewnątrz jak ona sama.

– Och, Logan.

I w tej chwili, mimo całych jej wysiłków, żeby tego uniknąć, stało się.

Jej serce zaczęło snuć bardzo, bardzo niebezpieczną opowieść. Historię porządnego, lojalnego mężczyzny, który przechowywał jej listy jak skarby, śnił o niej co noc, przeżył bitwy i maszerował przez kontynenty do domu – nie do zamku ani wąwozu, ale do niej. I nawet teraz, kiedy trzymał ją w ramionach, nie miał słów, żeby nazwać wszystko, co nosił w sercu.

To było nic innego jak głupia mrzonka.

Na pewno.

Ale nie była w stanie dłużej się jej przeciwstawiać. Zarzuciła Loganowi ręce na szyję i wplotła palce w jego włosy, przyciągając go do siebie.

13

Logan powinien był się odsunąć. Powinni poszukać schronienia.

Ale nie mógł się zmusić, żeby ją wypuścić.

Deszcz przykleił suknię do jej skóry, pozostawiając niewiele jego wyobraźni. Widział ją całą, doskonale – jej bladą skórę, spięte sutki, błękitny odcień jej rozedrganych warg. Była bezbronna i drżąca.

Potrzebowała ciepła.

A on potrzebował tego.

Tulić ją. Strzec. Czuć jej łomoczące serce przyciśnięte do jego serca i wiedzieć, że ona żyje.

Bo, choć prędzej by umarł, niż się do tego przyznał, przez chwilę był naprawdę przerażony, kiedy wpadła w trzęsawisko.

Przyciągnął ją do siebie, żeby się uspokoić. Pocałował ją, bo wydawało mu się, że ona też tego chce. Ale teraz jego nieśmiała, lękliwa żona całowała jego, a jemu wszystko wymknęło się spod kontroli.

Jej palce przesuwały się w jego mokrych włosach. Jej słodki, kuszący język ocierał się o jego język. Pragnienie przeszyło go na wylot. Czuł się słaby.

Zacieśnił uścisk na plecach jej sukni, przyciągając jej ciało, które z łoskotem uderzyło o jego ciało. Maddie westchnęła w jego usta, wijąc się, żeby znaleźć się jeszcze bliżej. Jej brzuch ocierał się o wzgórek, jakim był jego penis. Dreszcz przebiegł mięsień jego uda.

Boże, pragnął jej.

To było szaleństwo. Oboje od pasa w dół oblepieni byli torfem i błotem. Nie było mowy, żeby mógł odebrać jej tu dziewictwo, na ziemi, na deszczu i w chłodzie.

Ale nie był w stanie znieść już dłużej rosnącego napięcia.

Jego członek pulsował na próżno, uwięziony pod mokrymi fałdami jego wełnianego kiltu. Rozpaczliwie pragnął jakiegokolwiek kontaktu. Oporu. Dotyku. Ciepła.

Logan musiał przejąć kontrolę.

Szybkim ruchem przewrócił Maddie na plecy i umościł się pomiędzy jej udami. Kiedy jego penis w końcu mógł się ocierać, jak pragnął, Logan jęknął z rozkoszy.

Ona krzyknęła z bólu.

Logan natychmiast uniósł się na łokciach.

Wpatrywał się w jej przestraszoną minę.

– Co się stało? Zabolało cię.

– To tylko noga. Ja… naciągnęłam ją sobie, jak ją wyciągałam z torfowiska.

Jezu.

Przez cały ten czas ją bolało? A on dręczył ją na tym wzgórzu jakby była owcą, a on ostatnim wyżynnym wilkiem.

– Nie martw się. Zaraz zaniosę cię z powrotem do zamku.

Wypuścił dodatkowe fałdy tartanu przerzuconego przez ramię. Przytulił Maddie do swojej piersi i owinął jej ciało pledem, żeby ją rozgrzać.

A potem wziął ją na ręce.

– Mam nadzieję, że wiesz, że rujnujesz swoje szanse w sypialni – powiedziała. – Nie mogę tobą gardzić, kiedy cały czas mnie tak całujesz i codziennie nosisz na rękach.

Zacisnął zęby z ponurą miną.

– Będziesz mogła na nowo uczyć się mnie nienawidzić jutro. Dziś nigdzie nie pójdziesz o własnych siłach.

Kiedy dotarli z powrotem do zamku, przemoczeni i ubłoceni, i przemarznięci, Logan zaczął wydawać rozkazy, jeszcze zanim zdążył postawić Maddie na ziemi.

Polecił Becky, żeby przyniosła koce.

Kucharce wydał polecenie, żeby zaczęła grzać wodę na kąpiel.

I uparł się, żeby Munro, jego chirurg polowy, obejrzał nogę Maddie.

– To nic takiego – zapewniła lekarza, gdy już została owinięta w starą narzutę i położona na szezlongu w swojej sypialni. – Tylko ją sobie naciągnęłam. Byłam taka głupia, że wdepnęłam w torfowisko.

Munro wytarł błoto z jej nogi i ostrożnie pokręcił stopą na różne strony, żeby ją zbadać.

– Opuchlizna jest łagodna. Nie wygląda na nic poważnego.

– Próbowałam to powiedzieć Loganowi. Ale mnie nie słuchał.

– Jeżeli chce pani chodzić, nie widzę przeciwwskazań.

Kiwnęła głową.

– Na pewno odsyłał pan żołnierzy na pole walki z o wiele gorszymi urazami.

– Ale pani nie jest żołnierzem. – Jego siwiejące brwi się uniosły. – Jednak jeżeli czuje pani, że to miejsce jest obolałe, mogę powiedzieć kapitanowi, że potrzebuje pani odpoczynku. I że miesiąc miodowy musi zostać zawieszony na parę dni.

Tak.

To był właśnie ten łut szczęścia, którego potrzebowała. Wykorzystałaby każdą wymówkę, żeby utrzymać Logana w bezpiecznej odległości jeszcze przez kilka dni.

– Teraz, jak pan o tym wspomniał, czuję, że faktycznie, moje kolano jest obolałe. Wydaje mi się, że odpoczynek dobrze by mi zrobił.

Maddie uśmiechnęła się do siebie, kiedy chirurg pakował swoją lekarską torbę. Logan nie będzie z tego powodu szczęśliwy, ale to on nalegał na oględziny przez lekarza. Jego opinii nie mógł zignorować.

Kiedy chirurg podciągnął mankiet rękawa, Maddie dostrzegła zakrzywioną, nierówną bliznę na jego prawej ręce. Skrzywiła się.

– Co się panu stało?

– A, to? Bagnet. Nie jest tak źle, jak wygląda. Zagoiłaby się lepiej, ale wie pani, jak to się mówi. Szewc bez butów chodzi, a chirurg polowy bez odpowiedniego szycia.

– Przypuszczam, że od czasu do czasu lekarz też potrzebuje czasu, żeby się wyleczyć.

Kiwnął głową.

– I od czasu do czasu nawet dowódcy trzeba powiedzieć, co ma robić. Czasami kapitanowi przydałoby się, żeby ktoś mu trochę porozkazywał. – Mrugnął do niej porozumiewawczo. – Nie musi być pani wobec niego taka nieśmiała.

Maddie się uśmiechnęła.

– Dziękuję za radę.

Kiedy Munro wyszedł, zjawiła się Becky z dwoma dzbanami parującej wody, którą dolała do głębokiej wanny na kąpiel dla Maddie.

Och, kąpiel.

To był jeden z rozkazów Logana, któremu nie miała ochoty się sprzeciwiać. Po dzisiejszym błocie i zimnym deszczu gorąca kąpiel była tym, czego jej było trzeba.

Starymi ręcznikami i ściereczkami starła z siebie tyle torfu, ile się tylko dało, żeby nie ubłocić wody. Wreszcie zrobiła użytek z jednego z nabytków ciotki, dodając do kąpieli słuszną dawkę maści o zapachu lawendy. Potem zwinęła włosy w gigantyczny kok na czubku głowy i zanurzyła ciało w gorącej kąpieli.

Z jej gardła wydobył się mimowolny jęk, kiedy gorąca woda zakryła ją po szyję.

Cudownie. Woda była niemal tak kojąca jak ciepłe ramiona.

Napięcie jej mięśni zaczęło ustępować.

Jednak cała ta błogość została zrujnowana, gdy do środka z hukiem wpadł Logan.

Maddie sapnęła, skrzywiła się i zanurzyła w wannie, dłońmi zakrywając najbardziej wstydliwe fragmenty ciała.

– Słyszałeś kiedyś o pukaniu?

– Nie we własnym domu.

Tęsknym spojrzeniem obrzuciła ręcznik na końcu łóżka. Za daleko, żeby go dosięgła, nie pokazując ciała.

– Z tego, co powiedział Munro – odezwał się zagniewany. – Mam cię nie dotykać. Przez kilka dni.

– Och? – Przekrzywiła niewinnie głowę. – Jaka szkoda.

– Przestań się zgrywać, jakbyś nie poprosiła go, żeby to powiedział.

– To ty się uparłeś, żeby mnie zbadał. Nie możesz zignorować jego zaleceń. – Przesunęła gąbkę po ręce, wyciskając z niej mydlaną pianę. – Skoro zakazano nam intensywnej aktywności, chyba będzie najlepiej, jak skorzystasz z pokoju, który przygotowała dla ciebie Becky.

– Nie będzie takiej potrzeby. W życiu nie będę spał na końcu korytarza. – Odetchnął obcesowo. – Wyjeżdżam.

– Wyjeżdżasz?

– Nie rób sobie nadziei. Nie na zawsze. Muszę zamówić drewno do budowy domów, wybieram się do Fort William. Podróż powinna mi zająć dwa, trzy dni. Jak wrócę, liczę, że będziesz zupełnie zdrowa.

Posłał jej wymowne spojrzenie, a ona doskonale zrozumiała, co miał na myśli. Choć woda była ciepła, na rękach wyszła jej gęsia skórka.

Kiedy wróci, jego cierpliwość się skończy. Maddie nie będzie miała już więcej sposobów, żeby zwlekać.

Gdy upłyną trzy dni, albo się od niego na dobre wyzwoli…

Albo zostanie jego żoną.

14

Maddie nie przypuszczała, że Logan byłby na tyle głupi, żeby je zostawić, ale jeżeli te listy znajdowały się w jakimkolwiek miejscu w tym zamku, była zdeterminowana, żeby je znaleźć do czasu jego powrotu.

Za bardzo zaczynało jej na nim zależeć, zbyt głupio. Nie powinna powtórzyć tego samego błędu, który popełniła w wieku szesnastu lat. Spalenie tych listów było jej jedyną nadzieją, jeżeli reszty życia nie chciała spędzić w pętach swojego własnego kłamstwa.

Niestety, po wielu zakurzonych godzinach poszukiwań nie znalazła nawet wskazówki. W ciągu ostatnich dwóch dni otworzyła każdą szufladę każdego mebla, zajrzała też za nie i pod nie. Teraz skupiła się na ścianach.

Tego popołudnia cofnęła się i lustrowała Długą Galerię, pomieszczenie na najwyższym piętrze zamku, ciągnące się przez całą szerokość wieży. Dębowa boazeria zwieńczona była gzymsem w miejscu, gdzie ściana stykała się z sufitem. Stąd, gdzie stała Maddie, nie wydawała się dość głęboka, żeby pomieścić stos listów… ale nie mogła przekonać się o tym inaczej, jak tylko sprawdzić.

Przysunęła pod ścianę krzesło z prostym oparciem i wspięła się na nie, stając na palcach, żeby wsunąć palce w pokrytą pajęczynami i szarpiami szparę.

Nic…

Nic…

Wyprężyła się, żeby dosięgnąć rogu.

Ni…

– Co się tu dzieje?

Maddie mało nie spadła z krzesła. Chwyciła się boazerii, złapała równowagę i odwróciła się twarzą do intruza.

– Och. Dzień dobry, Grant.

– Skąd pani wie, jak mi na imię? – Badał wzrokiem galerię, ostrożnie. – Co to za miejsce?

Jego dłoń powędrowała do biodra, jakby sięgał po broń, którą spodziewał się tam znaleźć. Maddie nagle dostrzegła, jaki jest wielki i jaka mała jest ona w porównaniu z nim.

I że są w tej chwili zupełnie sami.

Serce zaczęło jej bić nieco szybciej. Jeżeli nie zdoła go uspokoić, sytuacja stanie się naprawdę niebezpieczna.

Maddie stała zupełnie bez ruchu, unosząc puste, choć zakurzone dłonie.

Powtórzyła słowa, które tyle razy słyszała z ust Logana i jego towarzyszy.

– Wojna się skończyła, Grant. Jesteś w domu, w Szkocji. To zamek Lannair, jesteś tu już prawie tydzień. Callum, Rabbie, Munro, Fyfe… pracują na dworze, zbierają kamień.

Zmarszczył czoło.

– Kim pani jest?

– Jestem Madeline. Ukochana kapitana MacKenziego, która pisała do niego te wszystkie listy. Pobraliśmy się. – Wskazała swoją szarfę i broszę.

– Tak?

Kiwnęła głową.

Na twarzy mężczyzny odmalowała się ulga.

– W takim razie ma farta.

– Dziękuję. Jesteś moim ulubionym człowiekiem.

Uśmiechnął się.

– W takim razie ja też mam farta.

Maddie nie mogła powstrzymać uśmiechu. Ten mężczyzna musiał mieć kiedyś w sobie sporo uroku, kiedy był zdrowy na ciele i umyśle.

Obrzucił pokój niespokojnym spojrzeniem.

– Wie pani, gdzie są moje dzieci? Byliśmy w Ross-shire? Chciałbym zobaczyć maluchy.

Pokręciła głową.

– Przykro mi, nie wiem.

– Spytam kapitana, czy możemy pojechać jutro.

Serce jej pękało z powodu tego biedaka. Raz po raz otrząsał się z mgły, która spowijała jego umysł i szukał dzieci. A Logan za każdym razem go zwodził.

Cóż, Maddie nie mogła zawieźć go do Ross-shire. Ale może była w stanie pomóc mu w inny sposób.

Zeszła z krzesła i otrzepała dłonie z kurzu. Poszukiwanie listów będzie musiało poczekać. Logan pewnie zabrał je ze sobą w swojej czarnej torbie. Jej też nie mogła znaleźć.

Przeszła przez pokój i chwyciła Granta pod rękę.

– Twoje dzieci lubią ciasteczka maślane?

– No pewnie. Nie znam dziecka, które by nie lubiło.

– To zejdźmy do kuchni. Kucharka chyba upiekła świeże dziś rano, a ja mam ochotę na herbatę. Usiądziemy sobie i z przyjemnością posłucham o twoich dzieciach.

Było dawno po zmroku, gdy Logan wreszcie dotarł do wąwozu. Nie zamierzał podróżować po ciemku, ale księżyc był prawie w pełni, a perspektywa nocowania na mokrym wrzosowisku niespecjalnie mu się podobała.

Nie, kiedy w zamku Lannair czekało na niego ciepłe łóżko.

Dał jej czas. Miała okazję odpocząć. On nie miał zamiaru spać dzisiaj na tej cholernej podłodze.

Lokaj z zaczerwienionymi oczami wpuścił go bocznym wejściem.

Logan czuł się tak zmęczony, na jakiego wyglądał służący, ale zamiast udać się prosto do łóżka, zatrzymał się na półpiętrze i spojrzał na hol.

Po cichu policzył swoich śpiących ludzi.

Był to jego dawny zwyczaj z czasów, kiedy w młodości pilnował bydła i owiec, i którego nigdy się nie wyzbył jako dowódca oddziału. Nigdy nie zgubił owcy ani cielaka, nigdy też nie zostawił żołnierza.

Raz, dwa, trzy, cztery…

Policzył dwa razy i nadal jednego mu brakowało.

Nie było Granta.

Jezu.

Jego zmęczone serce wpadło w szybszy rytm, a on żwawym krokiem przeszedł przez salę. Jak się dowie, kto dziś zawalił obowiązki, ukręci mu jaja.

Ale tak naprawdę Logan nie mógł winić nikogo oprócz siebie. Nie powinien był zostawiać ich samych. Po dzisiejszym wieczorze powinien zacząć zostawiać kogoś na warcie. To był cholerny zamek, jakkolwiek by było. Wojskowa twierdza.

Może powinien zarządzać nim jak twierdzą.

Przeszukując najbliższe pokoje, modlił się w duchu. Grant chyba nie mógł odejść daleko? Miał nadzieję, że nie wyszedł na ciemną noc. Jeżeli się zgubi na wrzosowiskach, zupełnie oderwany od rzeczywistości…

Lekki hałas dobiegł jego uszu.

Głos, szept.

Nie, głosy.

Ruszył korytarzem w stronę cichego, delikatnego łoskotu niewyraźnej rozmowy, do miejsca, w którym kończył się rząd stromych schodów. Głosy dobiegały z kuchni.

Gdy schodził po cichu, szepty stawały się coraz wyraźniejsze i obawy zaczęły ustępować z jego piersi. Rozpoznał głos Granta.

– Piszcz głośniej, dziewko. Piszcz głośniej.

A potem fala łagodnego kobiecego śmiechu.

Kiedy skręcił, zobaczył ich.

Granta i Maddie. Siedzieli razem przy stole, pochyleni nad dwoma kubkami, przy jednej lampie.

Logan złapał się łuku, bo emocje pozbawiły go sił. Poczuł jednocześnie ulgę i niepokój. Martwił się, że Grant może zrobić sobie krzywdę. Teraz wiedział, że było gorzej – mógł zrobić krzywdę Madeline.

– Dobry wieczór – odezwał się.

Maddie gwałtownie podniosła głowę.

– Logan. Wróciłeś do domu.

Boże. Od tych słów zawirował mu świat. Zdawała się niemal szczęśliwa, że go widzi. I te słowa.

Logan. Wróciłeś do domu.

Nigdy nie spodziewał się, że je usłyszy. Nigdy w życiu.

I, niech to diabli, wyglądała cudownie. Miała na sobie tylko szlafrok na nocnej koszuli, którym się mocno owinęła. Włosy miała splecione w luźny warkocz nad jednym ramieniem. Miękkie, ciemne kosmyki uwolniły się i okalały jej twarz.

Ale coś jeszcze przyciągnęło jego wzrok i zatrzymało.

Jej warkocz był związany nie gładkim muślinem, a kawałkiem pledu.

Jego pledu.

To było za wiele. Uczucie ulgi, że zastał ich oboje całych i zdrowych. Jej łagodne oczy, serdeczność w głosie. Pasek jego tartanu w jej włosach. Odbył długą i męczącą podróż, żeby dotrzeć tu dzisiaj wieczorem, a od tego wszystkiego zdawało mu się, że może się przewrócić.

Co powinien zrobić? Porwać ją w ramiona i powiedzieć, że tęsknił za nią w każdej chwili, gdy go nie było? Powiedzieć, jaki jest zazdrosny o to, że Grant był w stanie ją rozśmieszyć swoim głupim kawałem, podczas gdy Loganowi nie udało się to ani razu?

Jasne, że nie. Bo tak powinien się zachować, ale przy niej tracił resztki zdrowego rozsądku. Bo kiedy ktoś tak radośnie ofiarował mu tę jedną jedyną rzecz, której nie zaznał przez całe życie i przysiągł, że nigdy nie będzie o nią błagał, pierwszym jego odruchem była nieufność. I złość.

Głupia, bezsensowna złość.

– Co tu się dzieje? – spytał kategorycznie.

– Tylko rozmawiamy – wyjaśniła Maddie. – Jesteś głodny? Może zrobię ci…

– Nie.

– Rysuje moje dzieci. – Grant podniósł kartkę i pokazał mu z dumą. – Spójrz na to. Dokładnie jak w dniu, kiedy się z nimi żegnałem. Teraz pewnie są większe.

Logan wziął kartkę i przyjrzał się rysunkowi. Nie miał na nosie okularów, ale nawet bez nich widział wprawną rękę. Dwoje jasnowłosych dzieci, chłopiec i dziewczynka, trzymających się za rękę pod jarzębiną.

– Możemy pojechać jutro do Ross-shire? – spytał Grant. – Chciałbym je zobaczyć.

– Jasne, *mo charaid*. Jutro. A dzisiaj pora spać. Kładź się. Pozostali są na górze.

Grant szturchnął go łokciem, kiedy go mijał.

– Wie pan, że to jest pana żona? – spytał, przekrzywiając głowę w kierunku Maddie.

Logan obrzucił ją spojrzeniem.

– Tak.

Rosły mężczyzna wyciągnął rękę i zmierzwił włosy Logana.

– Farciarz.

Po wyjściu Granta Maddie w milczeniu pozmywała filiżanki i je odstawiła. Powiesiła lampę na haku, wytarła stół i odwiesiła ścierkę do wyschnięcia. Bez słowa.

Unikała go.

Świetnie, jak tak, Logan poczeka. Ma całą noc.

Kiedy wreszcie się do niego odwróciła, podniósł rysunek dzieci Granta.

– Co to ma znaczyć?

– Przepraszam bardzo. – Zmarszczyła brwi. – Dałam to Grantowi. Należy do niego.

– Za dziesięć minut nie będzie pamiętał. Nie będzie za nimi tęsknił.

– Może i nie, ale tęskni za nimi. To jego dzieci.

Logan potrząsnął kartką, podchodząc do Maddie.

– To nie jest żadna pomoc. Co to ma na celu? Zasieje w nim tylko niepokój, będzie się zastanawiał, gdzie one są.

– Może rozmowa o wspomnieniach pomoże uzdrowić jego umysł.

– To trwa ponad rok. On nie wyzdrowieje. Potrzeba mu stałości. Bezpiecznego znajomego miejsca, w którym nie będzie cały czas pobudzony.

Maddie okrążyła stół i stanęła po tej samej stronie co Logan, opierając się ciałem o krawędź. Skrzyżowała ręce na przodzie szlafroka i mierzyła go tym poważnym, badawczym spojrzeniem. Szukając jego pustych miejsc.

– Więc dlatego to dla ciebie takie ważne – powiedziała. – Żebyśmy stwarzali pozory. Żebyśmy zostali prawowitym małżeństwem. Nie chodzi tylko o ziemię. Jeżeli Grant wierzy, że ty szczęśliwie wróciłeś do domu, do swojej ukochanej, która pisała do ciebie listy, jesteś w stanie utrzymać go w przekonaniu, że jego szczęście czeka na niego tuż za rogiem. Że zabierzesz go do Ross-shire, żeby zobaczył się z babcią i z dziećmi. Wszystko jutro. Nigdy dzisiaj.

Logan nie próbował z tym dyskutować. Nie było mu wstyd.

– Ja tylko chcę, żeby czuł spokój. Na tyle, na ile to możliwe.

– Ale nie możesz okłamywać go wiecznie, Logan. Co będzie, jak zacznie się starzeć? Kiedy rozejrzy się dookoła i zauważy, że wszyscy są siwi, jego dłonie stare, wszyscy przyjaciele się pożenili i mają dzieci, a nawet wnuki?

Logan westchnął ciężko i przeczesał włosy obiema dłońmi.

– Od tego dzieli nas jeszcze wiele lat.

– Ale tak się w końcu stanie. Wmawiasz sobie, że możesz go ochronić. Nieprawda. – Zabrała mu rysunek i odłożyła na bok. – Wiem, jak to jest żyć w świecie zbudowanym na kłamstwie, Logan. To nie jest żadna stabilność. To życie w ciągłym strachu. W każdej chwili najdrobniejsza rzecz może wszystko zburzyć. To nie jest dobre dla Granta i nie jest dobre dla ciebie.

– Nie twoja rola podejmować takie decyzje.

– Owszem, moja. To nadal mój zamek. A Granta zaczęłam traktować jak przyjaciela. Możesz próbować mi narzucać, co mam nosić, dokąd chodzić i co podawać na kolację. Ale nie możesz mi zakazać się o niego troszczyć.

Sama wzmianka o trosce dała Loganowi kopniaka w serce, które poszybowało w jakieś nieznane miejsce.

– Mogę i będę.

Syknęła pod nosem, sprzeciwiając się cicho.

Logan się pochylił i złapał dłońmi krawędź stołu.

– Nie powinnaś przebywać z nim sama. To wielki facet z nieprzewidywalnymi zmianami nastroju i zaburzeniami pamięci. Lepiej nie myśleć, co się mogło stać. Kiedy zszedłem i zobaczyłem was razem…

Przechyliła głowę na bok i spoglądała na niego w górę spod firanki ciemnych rzęs.

– Martwiłeś się o mnie. Wiem. To miłe.

Zacisnął zęby.

– To nie jest miłe. Zobaczyłem niebezpieczną sytuację. Zareagowałem.

Spuściła wzrok i chwyciła połę jego płaszcza.

– Ja też się o ciebie martwiłam. Spodziewaliśmy się, że wrócisz do domu wczoraj. To dlatego siedziałam tu dzisiaj z Grantem. Dla zabicia czasu.

Wielkie nieba.

Opuszki jej palców dotknęły guzika jego płaszcza.

– To normalne, że człowiek się niepokoi.

– Nie jestem zaniepokojony. Jestem zły.

– Widzę. – Odszukała spojrzeniem jego wzrok. – Ale nie rozumiem dlaczego.

Logan też nie rozumiał. Tak samo jak tego, ile o niej myślał przez ostatnie trzy dni. Tracił kontrolę, a nienawidził jej tracić. A skoro wyglądało na to, że nie było nadziei na to, żeby ją odzyskał, postanowił, że i ją pozbawi kontroli.

Pochylił się i chwycił te powabne, różowe usta w zaborczym pocałunki. Nie potrzebowała żadnej zachęty, żeby odwzajemnić pocałunek. Jej wargi rozchyliły się pod jego, a kiedy wsunął język głęboko, jej język wysunął się na powitanie.

Tak.

Boże, pragnął jej.

Objął ją i przyciągnął do siebie, a jego dłonie błądziły po pikowanym aksamicie szlafroka i pociągnęły zawiązany pasek.

– Co robisz?

Nie odpowiedział. Nie przestawał, licząc na to, że jego zamiar jest zupełnie oczywisty.

Rozwiązał pasek i pozwolił, żeby cały wyszywany materiał opadł na podłogę. Potem wsunął obie dłonie pod jej nocną koszulę i poczuł chłodny, wykrochmalony len i miękkie, różowe ciepło jej ciała pod nią.

Uśmiechnął się w jej usta. Dziś miała na sobie tylko jedną koszulę.

Z cichym, zmęczonym jękiem spuścił głowę i zaczął kreślić linię pocałunków na jej szyi. Jedną dłoń zsunął po jędrnej wypukłości jej uda, chwytając w garść muślin i podciągając go.

– Logan – westchnęła.

Jeżeli chciała go powstrzymać, robiła to całkiem niewłaściwie. Uwielbiał słyszeć swoje imię z jej ust. Krew mu od tego buzowała. Jego członek ożył i twardniał pod ciężkim materiałem kiltu.

– Powiedziałeś, że dasz mi czas – odezwała się. – Czas na znalezienie innego rozwiązania. Nie mogę dopuścić, żeby to się stało.

– Już się dzieje. – Sięgnął pod jej koszulę i zaczął gładzić kuszącą krągłość łydki i wabiące zagłębienie pod kolanem. – Chcesz tego, *mo chridhe*. Wiem, że tego chcesz. Och, możesz próbować zaprzeczać słowami. Ale gdybym cię dotknął w tej chwili, twoje ciało powiedziałoby mi to samo? Czy może będzie rozpalone, wilgotne i drżące pod moimi palcami?

Przesunął dotyk wyżej, wspinając się po jedwabistej skórze jej uda. Westchnęła, a jej ciało zadrżało pod jego palcami. Takie miękkie. Tak słodko ciepłe.

– Powiedz, że za mną nie tęskniłaś – wyszeptał. – Powiedz, że nie chcesz mojego dotyku.

– Logan, nie mogę…

Kiedy zawiesiła głos, pocałował ją, postanawiając w tym miejscu zakończyć zdanie.

Nie, nie możesz, dziewczyno. Nie możesz mi powiedzieć, bo to nieprawda. Chcesz mnie tak mocno jak ja ciebie.

Musiał w to wierzyć, żeby nie zwariować.

Przesuwał pieszczotę w górę jej uda i złożył dotyk w samym jej sercu. Jego palce z łatwością przesuwały się w tę i z powrotem. Była na niego gotowa, tak jak wiedział, że będzie.

Westchnęła i złapała go za ramiona obiema dłońmi.

– Logan…

– Tylko tyle, *mo chridhe*. To tylko dotyk.

Potulnie opuściła głowę i położyła na jego ramieniu. Jej oddech stał się chrapliwy, spragniony.

Rozchylił jej fałdki delikatnym dotykiem i wsunął palec w jej ciepło. Boże, była taka ciasna. Ciasna i wilgotna. Wydawała z siebie ciche westchnienia rozkoszy, kiedy powoli wsuwał i wysuwał palec, stopniowo zagłębiając się w nią coraz bardziej. Kiedy wreszcie zanurzył się cały, a nasada jego dłoni zetknęła się z jej wzgórkiem, szarpnęła biodrami.

Znieruchomiał, dając jej chwilę, żeby przyzwyczaiła się do tego doznania, pocierając dłonią jej najwrażliwsze miejsce.

A potem zamarł i czekał.

Dalej. Jesteś bystrą dziewczynką. Wiesz, czego chce twoje ciało.

Wkrótce zaczęła poruszać biodrami. Ujeżdżając jego palec. Ocierając się wzgórkiem o nasadę jego dłoni. W pogoni za doznaniem, tak jak wiedział, że to zrobi.

Jej bezwstydna pogoń za rozkoszą obudziła w nim dzikość. Jego członek napierał na szorstką tkaninę pledu. Każdy szmer tarcia wyzwalał dreszcz u podstawy jego kręgosłupa. Nigdy w życiu tak bardzo nie pragnął ulgi. Nawet jako napalony nastolatek. Jej lekkie dyszenie pieściło jego szyję. Podniosła głowę i spojrzała na niego w górę tymi ciemnymi, sennymi, pociągającymi jak nic innego oczami. Jej nieśmiały różowy język wychylił się, żeby zwilżyć wargi.

Nie był w stanie dłużej milczeć. Słowa zaczęły wylewać się z jego ust. Czułe, wulgarne. Słowa, których będzie żałował, kiedy przypomni je sobie rano. Dzięki Bogu, po gaelicku.

Wyśmiałaby go, gdyby usłyszała wyznanie, jak często myślał o niej w czasie swojej nieobecności. Wątpiłaby w to, że żadna inna kobieta nie sprawiła, że był tak boleśnie twardy. A gdyby usłyszała, że porównuje jej miękkie usta do pierwszych pąków wrzosów w letni poranek na wzgórzach, zrujnowałby wszystko.

Ale nie mógł się powstrzymać.

Ona sprawiała, że krew w nim płonęła.

– Maddie *a ghràdh*. *Mo chridhe*. *Mo bean.*

Podniosła ręce i splotła palce na jego karku. A potem go przyciągnęła i zanurzyła w swoim pocałunku.

Jej biodra się poruszyły, a on poruszył się z nią, wsuwając drugi palec w jej spragnione ciało, raz za razem. Jej język splątał się z jego językiem, poszukujący i zdesperowany. Jej paznokcie wbiły się w jego kark.

Logan pomyślał, że mógłby dojść tu i teraz.

Jak tylko to pomyślał, ona przesunęła ciężar ciała i odchyliła się do tyłu na stole. Jej udo dotknęło bolesnej wypukłości jego członka. I mimo warstw aksamitu, lnu i wełny pomiędzy nimi, samo to, i ciepło obejmujące jego palce, wystarczyło, żeby znalazł się na samym szczycie.

Powstrzymał pragnienie ocierania się o nią do osiągnięcia orgazmu. Nie zdarzyło mu się skończyć w kilcie, odkąd miał piętnaście lat i nie zamierzał dopuścić do tego teraz. Stracić panowanie w ten sposób… byłoby w pewnym sensie porażką.

On tu dowodził.

– Dojdź, *mo chridhe* – wyszeptał. – Chcę poczuć, jak dla mnie dochodzisz.

Jej ciało zesztywniało, nie licząc lekkiego drgania uda, które powiedziało mu, że jest blisko.

Poruszał się w miarowym rytmie, nie zważając na ból w nadgarstku ani na płomień niezaspokojonego pragnienia w lędźwiach.

Przygryzła wargę i zacisnęła powieki.

– Tak. Pozwól na to.

I wtedy to poczuł. Jej ciało zaciskające się wokół jego palców, wstrząsane rozkoszą orgazmu. Jej krzyki rozkoszy były nieśmiałe i stłumione, ale niemniej przez to podniecające.

Kiedy na niego opadła, bezwładna od rozkoszy i mokra od potu, powiedział sobie, że równowaga została zachowana.

Wysunął palce z jej ciała i naciągnął jej koszulę na kolana.

– Kiedyś – odezwał się, pieszcząc jej plecy – powiedziałaś, że Becky naszykowała dla mnie sypialnię.

Kiwnęła sennie głową na jego piersi.

– Będę tam dzisiaj spał.

– Nie, nie. – Podniosła głowę. – Logan, nie musisz być sam.

– Dopiero co powiedziałaś, że chcesz jeszcze czasu.

– Nie to miałam na myśli. – Przycisnęła dłoń do jego piersi. – Jest wiele sposobów osiągania rozkoszy i jest wiele sposobów okazywania uczuć.

– Powiedziałem ci…

– I skłamałeś. Kiedyś kogoś kochałeś. Na tyle mocno, żeby chcieć się z nią ożenić. Na tyle, żeby nosić pamiątkę po niej przez lata, w czasie walki i koszmaru. – Uderzyła go w pierś płaską stroną pięści. – Wiem, że coś tam jest, ty uparciuchu. Że pod tą twardą skorupą jest nic innego jak galareta. Nie oszukasz mnie.

– Sama siebie oszukujesz – powiedział chłodnym tonem.

– Możliwe. – Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok. – Raczej nie po raz pierwszy.

Prawda była taka, że był tchórzem. Zbyt się bał przyznać, że to co pozostało z jego mrocznego, rozbitego serca coraz bardziej się angażowało.

Maddie miała wiele nieprawdziwych przekonań na jego temat, ale być może w paru kwestiach się nie myliła. Może nie był tak pusty wewnątrz, jak chciał wierzyć. I ta myśl go przerażała. Nie chciał jej pragnąć, nie w ten sposób. Jeżeli będzie jej pragnął, da jej władzę nad sobą, a już wystarczająco długo chodził na jej smyczy.

Te wszystkie listy, te wszystkie lata.

To całe pragnienie i pożądanie, jakie w nim obudziła…

Tylko po to, żeby umarło.

Wirowała w nim bezsensowna złość. Chęć przytulenia jej, ukarania, zaspokojenia, zdobycia.

Dziś wieczorem byłby dla niej większym zagrożeniem niż to, jakie kiedykolwiek mógłby stanowić Grant.

Zebrał resztki siły i się wycofał.

– Dobranoc, *mo chridhe*. Idź do łóżka. A jak już dojdziesz, zarygluj drzwi.

15

Przy śniadaniu następnego ranka Rabbie spojrzał na niego, unosząc brew.

– Nadal żadnych postępów na froncie łóżkowym?

Logan patrzył przed siebie niewzruszony. Udawał, że nie słyszał pytania.

– Biorę to za: nie.

– Na pewno wystarczająco się pan przykłada? – spytał Callum.

Logan obrzucił go surowym spojrzeniem.

– Musi pan być Rob Royem z jej wyobrażeń. Nazywa ją pan „powabną”? Serce Angielek przy tym zupełnie mięknie.

– A co ty możesz wiedzieć o sercu Angielek?

– On ma rację – wtrącił Rabbie. – „Powabna” to dobre określenie. „Maleńka powabna dziewczyna” – jeszcze lepsze.

– Tak, maleńka powabna dzieweczko – powiedział Callum, jeszcze bardziej ulepszając zwrot. – Trzeba dorzucać sporo „och”, „aha” i też „nie martw się”.

Rabbie pokręcił głową.

– Wszyscy pomijacie najbardziej oczywistą odpowiedź.

– Jaką? – spytał Munro.

Logan cię ucieszył, że Munro zadał to pytanie, bo on z całą pewnością nie zamierzał tego zrobić. Ale prawdę mówiąc, jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Jeżeli wkrótce jej nie zdobędzie, oszaleje z pożądania. W tej chwili był skłonny wysłuchać każdego pomysłu, nawet niedorzecznego, nawet, jeżeli był pomysłem Rabbiego.

Rabbie pochylił się, żeby odezwać się szeptem:

– Musi go zobaczyć bez kiltu. Bez koszuli, bez pledu. Bez niczego.

Mężczyźni wydali z siebie ochrypły okrzyk.

Logan przewrócił oczami i wbił nóż w mięso.

– Nie, mówię poważnie – ciągnął Rabbie, wstając. – Trzeba zrobić tak. Wstanie pan wcześnie któregoś ranka, kapitanie. Najlepiej, żeby był mglisty, kiedy melancholia zasnuwa dolinę jak koc. – Pomachał przed nimi rozpostartą dłonią, jak artysta malujący pejzaż. – Rozbierze się pan do gołej skóry i zanurzy w jeziorze. Zaczeka pan, aż ona przyjdzie pana szukać. Bo przyjdzie na pewno. Zawsze tak robią. Ale musi pan udawać, że jej pan nie widzi. A potem, jak będzie już na tyle blisko, żeby dokładnie widzieć, i chwilę zdąży już się poprzyglądać, wyskoczy pan z wody. Jak delfin. Albo syrena. Przemknie pan przez mgłę, odgarniając włosy obiema rękoma. – Rabbie zanurzył dłonie we włosach, żeby to zademonstrować. – A drobne strużki wody będą spływać panu po ramionach i piersi. – Przesunął roztańczonymi palcami w dół brzucha. – O, tak.

Munro prychnął.

– Czyli miałby wejść do jeziora bladym świtem, brodzić w lodowatej wodzie przez godzinę czy dwie, a potem z niej wyjść? Trudno mi uwierzyć, żeby mogło jej to jakoś zaimponować.

Wszyscy się roześmiali. Nawet Grant.

– Śmiejcie się do woli – powiedział Rabbie. – Ale niech pan mnie posłucha, kapitanie. Musi pan zdjąć kilt. Następnym razem, jak będzie ją pan miał w ramionach, nie będzie w stanie się oprzeć.

– Byłem żonaty – odezwał się zwykle milczący Fyfe. – Powiem wam, czego ona chce. Chce pana tajemnic. Chce pana duszy. Musi pan rozłupać skorupę i znaleźć w sercu to ukryte, wstydliwe miejsce, które chowa pan przed światem i samym Bogiem, jeżeli jest pan w stanie. A potem poda jej pan to na tacy. Niczym innym się nie zadowolą.

W grupie zapanowała powaga.

– No, ja tam wolę mój pomysł – oznajmił Rabbie, puszczając oko do Logana. – Niech pan spróbuje najpierw mojego.

– Może spróbuję – wymruczał Logan.

Nawet gdyby chciał rozłupać skorupę, niewiele miałby jej do zaoferowania.

– Za bardzo to wszystko komplikujecie – skwitował Munro. – To kobieta. Niech jej pan kupi kwiaty. Zabierze na tańce. Da pretekst, żeby włożyła ładną sukienkę. To wystarczy.

– Ale Madeline jest inna. Nie lubi takich rzeczy – wyznał Logan.

– Niech mi pan wierzy. Wszystkie to lubią.

Logan potarł kark i westchnął. Może Munro miał rację. W wiosce Maddie powiedziała to samo.

Kobiety to kobiety, Logan. Każdej dziewczynie od czasu do czasu potrzeba odrobiny luksusu, żeby mogła się poczuć piękna.

Czyż nie o tym właśnie były jej listy? Nie sądziła, że kiedykolwiek mogłaby cieszyć się powodzeniem na przyjęciu czy spotkaniu. A jej marzeniem był mężczyzna, który chciałby ją mimo wszystko.

On nie chciał być tym jej wymarzonym mężczyzną. Ale może byłby w stanie odgrywać tę rolę przez jedną noc.

Być może wszystkim, czego kiedykolwiek potrzebowała Madeline Gracechurch, była odrobina zwykłych umizgów. Takiej samej uwagi, jaką otaczana byłaby każda dziewczyna w jej wieku. Zasługiwała na to i wiele więcej.

Logan doskonale wiedział, co musi zrobić.

– Niech to diabli – powiedział. – Będę musiał się wybrać na Bal Robaka.

– Chcesz się wybrać na bal lorda Varleigha? – Odłożyła pióro do kałamarza i odwróciła się do niego twarzą. – Logan, nie możemy.

– Dlaczego?

– To niemożliwe. Są dziesiątki powodów.

Skrzyżowała ręce na poplamionej atramentem sukni roboczej. Podwinęła dolną wargę i chwyciła ją zębami. I ten samotny palec znów powędrował do jej obojczyka i przesuwał się w tę i z powrotem. Doprowadzając go do szaleństwa z pożądania.

On też skrzyżował ręce i wsunął dłonie pod pachy. To był jedyny znany mu sposób, żeby się powstrzymać i jej nie dotknąć.

– Wymień mi te powody. Po kolei.

– Po pierwsze, już odrzuciliśmy zaproszenie. Powiedziałam lordowi Varleighowi, że nas nie będzie.

– To nie problem. Napiszesz do niego i powiesz, że zmieniliśmy zdanie. Wyślę jednego z ludzi, żeby doręczyli wiadomość dziś po południu. Następny powód.

– Ja… Nie mam co na siebie włożyć. – Wskazała swoją suknię. – Przez te lata chodziłam właściwie w żałobie. Wszystkie moje suknie są z szarej wełny.

– Znajdziemy ci jutro gotową w Inverness. Następny problem.

– I przypuszczam, że ty mógłbyś włożyć swój najlepszy mundur. Strój oficera jest ubiorem zawsze akceptowanym. Ale zaprosiłeś wszystkich na Beltane, a to za niecałe dwa tygodnie od dzisiaj.

– Kolejny powód, żeby znaleźć ci nową suknię i zrobić z niej użytek. Pani na zamku nie może witać gości w szarej wełnie.

Westchnęła.

– Lord Varleigh mieszka w Pertshire. To za daleko na podróż.

– Słyszałem, że są te nowe wynalazki, nazywają się zajazdy. Często położone przy drogach. Znajdziemy taki i zatrzymamy się na noc.

Teraz Logan naprawdę zaczynał doceniać ten pomysł. Sam Bal Robaka będzie torturą, ale perspektywa spędzenia nocy z Madeline w małym pokoju w oberży, z jeszcze mniejszym łóżkiem, z daleka od jego ludzi i jej ciotki – zanosiło się na to, że będzie warta paru godzin wszystkiego.

Zanosiło się też, że będzie to idealny sposób sformalizowania tego małżeństwa.

– Ale to bal. – Odwróciła się plecami do niego i dalej porządkowała biurko. – Nie chodzę na bale. Wypadam na nich żałośnie. Nie umiem tańczyć.

– Ja też nie. Na pewno nie w takim stylu. – Podszedł do niej i stanął za nią, ostrożnie kładąc dłonie na jej talii. – Nie musimy tańczyć, *mo chridhe*. Pojedziemy posłuchać, jak lord Varleigh opowiada o swoich robakach. A najważniejsze, że będziesz mogła zobaczyć prezentację twoich prac.

– Chyba nie chcę tego rodzaju uwagi. – Stukała ołówkiem o kałamarz na biurku. – Ale przyznaję, że chciałabym poznać pewnego mężczyznę, który będzie tam obecny.

Teraz się zainteresował.

– Mężczyznę?

– Logan, nie bądź zazdrosny.

Zacieśnił uścisk na jej talii.

– Lubisz, jak jestem zazdrosny.

– Bardzo dobrze, może i lubię. – Usłyszał lekki uśmiech w jej głosie. – Lord Varleigh opowiedział mi o swoim znajomym naukowcu z Edynburga. Tym, który będzie na balu. Podobno ten naukowiec opracowuje encyklopedię. *Owady Wysp Brytyjskich*, w czterech tomach. Może potrzebować ilustratora. Lord Varleigh obiecał, że nas sobie przedstawi.

Odwrócił ją twarzą do siebie.

– Widzisz? Więc jednak chcesz się tam wybrać.

Nie odpowiedziała, ale nie musiała. Teraz, kiedy Logan usunął wszystkie przeszkody, jej policzki zaczął ogrzewać ładny rumieniec. Jak już uda mu się ubrać ją w porządną jedwabną suknię zamiast tego kiepskiego żałobnego stroju, połowa bitwy będzie wygrana.

– Jak na razie to tylko sześć powodów – zauważył. – Mówiłaś, że jest ich tuzin. Więc, szybko, żebym mógł zaradzić reszcie.

– Jak się tak zastanowić, to jest jeszcze chyba tylko jeden powód. Ale najważniejszy i na niego nie znajdzie się sposobu.

– Zobaczymy.

– Nie mogę zostawić homarów.

Dobry Boże.

Podeszła do akwarium i zajrzała do niego.

– Fluffy stała się bardziej aktywna w ciągu ostatnich dni. To znak, że może być gotowa do wylinki. Muszę być blisko, bo mogę przegapić gody. Za długo na to czekałam. Rex zresztą też.

Niech to, czy ona nie widzi, że Rex nie jest jedynym sfrustrowanym osobnikiem płci męskiej w tym zamku? Jeżeli temu cholernemu homarowi uda się zaspokoić swoje naturalne potrzeby wcześniej niż Loganowi, pomyśli, czy nie wspiąć się na najwyższą z wież zamku Lannai i się z niej nie rzucić.

– Pozwól, że homarami zajmę się ja – powiedział.

– Ale…

– Zaufaj mi. – Położył dłonie na jej ramionach. – Jestem kapitanem, zapomniałaś? Wiem, jak zaplanować wartę, sporządzić plan, dowodzić oddziałami. Wyjmiemy Rexa do oddzielnego zbiornika na noc. Moi ludzie będą na zmianę pełnili wartę przy homarach. Jeżeli zauważą jakikolwiek znak, że Fluffy może zrzucić pancerz, Rabbie czym prędzej przypędzi do posiadłości Varleigha i da ci znać. Spokojnie zdążysz do domu, żeby połączyć Rexa i Fluffy i obserwować, jak lecą iskry.

Zerknęła na akwarium z morską wodą.

– Nie bardzo wiem, ile tych iskier będzie.

– Obserwuj bulgotanie. Obserwuj ruchy czułek. Cokolwiek się dzieje, kiedy homary się kochają, przysięgam ci na mój pled, że tego nie przegapisz. A nie składam obietnic, których nie jestem w stanie dotrzymać.

Spojrzała na niego tymi swoimi oczami spaniela. Jak zwykle, wyczuwał, że kryje się za nimi cały świat myśli.

Nie był w stanie dłużej się powstrzymywać. Dotknął kciukiem jej obojczyka i przesuwał nim w górę i w dół po wąskiej wypukłości. Uspokajał ją w ten sposób, w jaki robiła to sama.

Jej skóra była miękka. Nie mógł się doczekać, żeby dotykać ją wszędzie.

– Pozwól mi się o wszystko zatroszczyć. – Jego głos nagle stał się ochrypły. – Chcę tylko, żebyś się zabawiła. Zasługujesz na to, Maddie.

Wzięła głęboki oddech, a potem wypuściła powietrze.

– W porządku.

W porządku.

Nie była to dokładnie ta pełna radości zgoda, jaką miał nadzieję usłyszeć. Ale przyjął ją.

– Może coś więcej niż w porządku. – Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. – Może: idealnie.

Idealnie. To już lepiej.

– Może to ten kompromis, jakiego szukamy.

Logan pomyślał, że to raczej ona go szuka, bo jego nigdy żaden kompromis nie interesował.

– Chcę tego, czego chcę. To wszystko.

– Wiem. Rozumiem. I dlatego właśnie jest idealnie. – Odwróciła się od niego, jakby kierowana własnym ulotnym podnieceniem. – Widzisz, masz marzenie.

– Powiedziałem ci, *mo chridhe*, ja nie…

– Nie masz marzeń. W porządku. W takim razie nazwij to celem. Chcesz stworzyć swoim ludziom osadę, tutaj, w tym wąwozie. Ja też mam marzenie.

– O robakach.

– Właśnie. Marzenie o tych wszystkich owadach na Wyspach Brytyjskich. Jeżeli pan Dorning zatrudniłby mnie do swojej encyklopedii, miałabym niewielkie, ale regularne przychody, żeby się utrzymać.

Miałabym też ugruntowaną pozycję i wspaniałe perspektywy na dalsze zlecenia. Wcale nie musiałabym tu nawet mieszkać.

Logan pokręcił głową.

– Już to wszystko omówiliśmy. Dzierżawa nie wchodzi w rachubę, a na zakup ziemi mnie nie stać.

– Może wypracowalibyśmy inny układ. Interes.

– Interes? Jaki?

– Twój cel za mój.

Był w stanie tylko się na nią gapić. To, co powiedziała, nie miało najmniejszego sensu.

– Nigdy nie zdecydowałabym się wybrać na bal sama – powiedziała. – Jestem nieśmiała, dziwna. Chcę uciekać i się chować. Ale może nie będę się tak zachowywać, kiedy będziesz obok. – Lekki uśmiech zatańczył na jej wargach. – Przez to, że tak mnie irytujesz, zapominam się sobą przejmować. Jeżeli zawieziesz mnie na bal lorda Varleigha, może będziesz w stanie mi pomóc zrobić dobre wrażenie na panu Dorningu. A jeżeli da mi zlecenie na tę encyklopedię… – Odwróciła się do niego twarzą. – Ja z przyjemnością podaruję ci zamek.

Co takiego?

Logan nie mógł uwierzyć w jej propozycję. Z pewnością jej nie ufał.

– Nie prosiłem o to – powiedział. – I nie chcę tego. Nikt nigdy niczego mi nie dał. Zapracowałem na wszystko, co kiedykolwiek miałem.

– Wiem. I na to też zapracujesz. Może nie wydaje się to sprawiedliwe w kontekście pieniędzy czy ziemi. Ale dla mnie będzie to sprawiedliwa transakcja. Twoje marzenie za moje.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Jesteś pewna?

– Tak. No, i jest jeszcze jedna kwestia. – Zagryzła wargę. – Będę chciała odzyskać listy.

– Jasne – odezwał się. – Listy. Pewnie.

To może być skaza na jego planach względem niej, ale doszedł do wniosku, że tym się będzie martwił, jak przyjdzie pora. Będzie musiał po prostu dopilnować, żeby podpisała dokumenty, zanim on złoży na nich swój podpis.

Maddie splotła ręce na karku i lekko kołysała się w zalotny sposób.

– A może jak przestaniemy grać w tę całą grę, skonsumujemy-małżeństwo-czy-nie, będziemy mogli się oddać innym cielesnym przyjemnościom.

Teraz się zainteresował.

– Powiedziałeś, że ludzie są bardziej pomysłowi niż homary.

– Zgadza się.

– Powiedziałeś też, że jestem ciekawa. Może w tej kwestii również miałeś rację. Zwłaszcza po wczorajszej nocy. – Jej rozpostarte dłonie spoczęły na jego piersi, miękkie i ciepłe. Badając. Rozpalając.

Ten jej plan… Cóż, brzmiał prawie idealnie. Martwił się, że zbyt idealnie. A w każdym razie mógłby być idealny, gdyby nie jedna zasadnicza przeszkoda do pokonania.

Obiecał jej właśnie, że zawiezie ją na bal – wyprawiany przez cholernego earla, na którym głównym tematem rozmów będą robaki – i że przy nim odniesie sukces.

Ale nie miał zielonego pojęcia jak.

Może uda mu się wyczytać coś w książce.

16

Gdy Maddie przygotowała się tej nocy do snu, wyłoniła się zza parawanu i zastała najokropniejszy widok.

– Doprawdy, Logan, to nie w porządku.

Podniósł głowę, leżąc wygodnie na sypialnianym szezlongu, z twarzą częściowo schowaną za ciemnozieloną skórzaną okładką książki.

– Co takiego?

– Czytasz *Dumę i uprzedzenie*?

Wzruszył ramionami.

– Znalazłem ją na twojej półce.

Widok Logana czytającego jakąkolwiek książkę był już dość zły. Ale jej ulubioną? To była istna tortura.

– Proszę, obiecaj mi coś.

– Co takiego?

– Obiecaj, że któregoś wieczoru, gdy wyjdę zza parawanu nie zastanę cię tulącego niemowlaka. – Zdawało jej się, że to jedyna rzecz, która miałaby bardziej zgubny wpływ na jej samokontrolę.

Zachichotał.

– Mało prawdopodobne.

– Na szczęście.

– A skoro mowa o książkach… – Logan wstał z krzesła i odrzucił swoją na bok. – Mam do ciebie pytanie. Jeżeli to są twoje ulubione powieści,

dlaczego na swojego wymyślonego konkurenta wybrałaś szkockiego oficera? Mogłaś stworzyć kogoś w rodzaju pana Darcy'ego.

– Bo Szkocja jest daleko, a mnie potrzebny był ktoś, kogo nigdy nie ma.

Posłał jej półuśmiech.

– I jak to się sprawdziło?

– Niezupełnie tak, jak planowałam. Tym większa szkoda. – Przy toaletce dokończyła splatanie włosów, a ich końce związała kawałkiem pledu. – Jeszcze jakieś pytania?

– Tak, jedno.

Odwróciła się i zobaczyła, że przypatruje jej się z nieskrywanym pożądaniem.

– Dlaczego nigdy nie przysłałaś mi rysunku samej siebie?

Znieruchomiała, zaskoczona.

– Nie wiem. Chyba nigdy po prostu nie wpadłam na ten pomysł. Ale chcesz powiedzieć, że tobie przyszło to do głowy?

– No jasne. Jestem mężczyzną, czyż nie?

Fakt. Z całą pewnością był mężczyzną. I w pełni tę męskość zaprezentował, kiedy rozpiął mankiety koszuli i odsłonił brązowe, umięśnione przedramiona.

– Za każdym razem, gdy przynoszono mi list od ciebie – powiedział – pojawiała się we mnie nadzieja. Może… może… tym razem będzie w nim rysunek kobiety. – Zdjął koszulę przez głowę i powiesił ją na oparciu krzesła. – Ale niestety. Dostawałem tylko ćmy i ślimaki.

Maddie ledwie usłyszała ostatnią część jego przemowy. Poza zwykłym osłupieniem, jakie towarzyszyło widokowi Logana bez koszuli, jej umysł uchwycił się słów z początku jego stwierdzenia. Tych, które zabrzmiały jak… wyczekiwanie.

– Ty… – Słowo zamarło na jej języku. Odkaszlnęła i spróbowała jeszcze raz. – Czekałeś na moje listy?

Odpowiedział znad umywalni.

– Wojna to brutalne zajęcie, *mo chridhe*. Jest też śmiertelnie nudne i niemiłe. Skarpety są powodem do świętowania. Szczoteczka do zębów? – Podniósł tę, którą w tej chwili trzymał w ręce. – Warta swojej wagi w złocie. Listy są manną z nieba.

Opłukał twarz, a potem podszedł do krawędzi łóżka i przesunął palcem po jej obojczyku.

– Najmniejszy widok tej miękkości zdziałałby cuda.

Rozpiął górny guzik jej koszuli, odsunął materiał na bok, odsłaniając maleńki fragment jej skóry.

– Dziś tylko jedna koszula?

Kiwnęła głową.

– Teraz ci ufam.

Z ciężkim westchnieniem oparł się o ramę łóżka, nie spuszczając wzroku z jej ciała.

– To narysuj mi siebie. Bez ołówka. Bez kartki. Tylko ty, tutaj, w tej chwili.

Puls Maddie zgubił rytm. Jego sugestia powinna być nie do pomyślenia. Ale jej ciało miało własne zdanie.

– Powiedz mi jak – powiedziała.

– Zacznij od tego, że rozpuścisz włosy.

Sięgnęła po pasek tkaniny na warkoczu. Rozwiązała go i zaczęła rozdzielać kosmyki, lekko potrząsając głową.

W tej chwili zrobiłaby niemal wszystko, o co by poprosił. Ale nie robiła tego dla niego. O, nie. To wszystko było dla niej samej. Uwielbiała to, jak patrzył na nią w tej chwili. Nie chciała, żeby to się kiedyś skończyło.

– Teraz to. – Przeciągnął rękaw koszuli przez jej ramię. Naprężyła się. – Chcę tylko popatrzeć, *mo chridhe*. – Jego głos był ochrypły. – Pozwól mi choć na tyle.

Pociągnął koszulę w dół, odsłaniając jej pierś. Opuszkiem palca zatoczył krąg wokół jej różowej aureoli. Jej sutek stwardniał, tworząc bolesny

wzgórek. Maddie zerknęła na Logana. Jego mina wyrażała czyste, nieudawane pragnienie. Nigdy nie sądziła, że byłaby w stanie wywołać taką minę u kogokolwiek, a co dopiero u mężczyzny, który wiedział, o jej największych grzechach. Logan przełknął ślinę, a twarda wypukłość jego jabłka Adama była najbardziej zmysłową, podniecającą rzeczą, jaką Maddie w życiu widziała.

Przez całe życie robiła wszystko, żeby unikać skupiania na sobie uwagi. Na obserwowaniu, zamiast byciu obserwowaną. Do perfekcji doprowadziła sztukę ukrywania się na widoku. I po raz pierwszy nie chciała, żeby to skupienie kiedyś dobiegło końca.

Wysunęła rękę z zupełnie zsuniętego rękawa. Potem rozpięła kilka kolejnych guzików koszuli, wyzwoliła drugą rękę i pozwoliła chmurze białego lnu opaść w talii.

Serce łomotało jej w gardle.

– Połóż się na łóżku.

Wykonała jego polecenie. Po wpływem impulsu czystej lubieżności przeciągnęła miękką koszulę przez biodra i zsunęła z nóg. Pozostając zupełnie naga, od stóp do głów.

Wybór pozycji stał się nagle bardziej skomplikowany, niż przypuszczała. Ma leżeć na plecach czy na boku? Skulona czy wyprostowana? I, na litość boską, co ma zrobić z rękoma? Wyciągnąć je ponad głową? Wzdłuż boków? Jedną tak, drugą inaczej?

Miała największą ochotę załamać je, niezdecydowana, ale to nie była zmysłowa pozycja, jaką miała nadzieję zaprezentować.

W końcu położyła się na boku, w poprzek łóżka. Ze złączonymi nogami, zgiętymi lekko w kolanach. Jedną ręką podpierała głowę. Druga leżała – swobodnie, miała nadzieję – na jej udzie.

Wpatrywał się w nią.

Wpatrywał się w nią bez słowa tak długo, że zaczęła się niepokoić.

– Może to był zły pom…

Uciszył ją.

– Rysunki nie mówią.

Koniuszkami palców dotknęła wyciągniętej szyi i przesunęła je powoli w dół. Czekała, żeby zaprotestował, że rysunki się nie ruszają.

Ale nie zaprotestował.

Chyba że jako protest uznać stłumiony jęk, ale nie sądziła.

Pozwoliła palcom wędrować dalej, do zagłębienia pomiędzy piersiami. Logan wymruczał coś po szkocku, co, jak się domyślała, musiało być niezgorszym bluźnierstwem. Ani na chwilę nie odrywając wzroku od jej ciała, rozpiął jakieś zapięcie wewnątrz swojego kiltu. Ciężki pled opadł na podłogę, a on był tak samo nagi jak ona.

Równie nagi, ale zdecydowanie bardziej opalony, umięśniony i pokryty włoskami.

I twardszy.

Szczególnie jedna jego część była bardzo, bardzo twarda.

Maddie pojmowała, że niegrzecznie i bezwstydnie jest się gapić, ale nie była w stanie oderwać wzroku. Była zafascynowana.

Nie tylko jako artystka, ale jako kobieta.

Wielkie nieba. Jego męski organ wystawał z gniazda ciemnych włosów, gruby, mroczny łuk ciała, który zdawał się, na pierwszy rzut oka, dość niepokojących rozmiarów. Gdy tak na niego patrzyła, jej umysł zaczął wykonywać obliczenia, szkicować plany.

Jak to możliwe…? Dlaczego…?

Jej mózg właściwie nie był w stanie dokończyć pytań. Potrzebowała więcej obserwacji. A to oznaczało, że musi dać popatrzeć też jemu.

Opuszkami palców przesunęła po konturze swojej kulistej piersi. Powoli zataczając kręgi, na nowo.

Wydał z siebie cichy jęk. Jedną dłonią chwycił się ramy łóżka.

Drugą objął swoje berło.

Iskra podniecenia była natychmiastowa. Elektryzująca. Jak tylko jego dłoń zacisnęła się na sztywnym członku, jej intymne zakamarki zrobiły się miękkie i drżące.

Może powinna czuć się zawstydzona – i, prawdę mówiąc, tak się czuła, odrobinę. Ale nie mogła odwrócić wzroku. Widoczny dowód jego podniecenia, siła jego uścisku, napięcie ścięgien szyi, gdy poruszał ręką w górę i w dół…

Ona to spowodowała. Wszystko.

Przypływ poczucia władzy był oszałamiający.

Najbardziej zachwycający był sposób, w jaki na nią patrzył, a raczej, w jaki ją prześwietlał wzrokiem. Zaglądał do jej wnętrza. Gdzieś, tym wzrokiem, kochał się z jej odważnym, namiętnym dotykiem.

I coś jej powiedziało, że nie po raz pierwszy dał się ponieść tej szczególnej fantazji.

Ta myśl była niesamowicie podniecająca.

Palcem okrążyła jedną brodawkę, a potem drugą. A potem przesunęła ten jeden palec w dół brzucha. Do najbardziej wrażliwego miejsca.

Kiwnął głową. Jego wzrok, przepełniony pożądaniem, powędrował do jej oczu.

– Zrób to.

Maddie nie mogła uwierzyć, że to robi, ale jej podniecenie było tak potężne, że pozbawiało ją wszelkiego poczucia wstydu. Na jego polecenie dotykała się tam. W ten sposób, który sprawiłby jej największą przyjemność, gdyby była sama.

Ale nie była sama. Logan ją obserwował, a to oznaczało, że każde doznanie było silniejsze. Byli dla siebie niebezpieczni, ale też sobie ufali. Było to najbardziej przerażające poczucie bezpieczeństwa, jakiego do tej pory zaznała.

On poruszał dłonią szybciej, opierając głowę na zgiętej ręce. Oddychał ciężko.

Jej rozkosz spiralnie wznosiła się do szybko zbliżającego się szczytu.

Chciała to powstrzymać, przyjrzeć mu się lepiej i zapamiętać każdy szczegół tego widoku. Ale niespodziewanie wstrząsnęła nią rozkosz. Skuliła się, zamknęła oczy i pozwoliła ukołysać się falom rozkoszy.

Gdzieś w oddali usłyszała jego niski jęk. Kiedy mgła jej własnego orgazmu opadła, podniosła wzrok i zobaczyła, że on wyciera się wczorajszą koszulą. Oddech uwiązł jej w piersi.

Wielkie nieba. Co się potem do siebie mówi?

Chyba nic.

Logan, bez słowa, położył się na łóżku obok niej. Nie dotykając jej. Był tylko obok. Nie było poduszek ani napięcia – tylko ciepło.

Jego oddech się uspokoił, a ją ogarnęło słodkie lenistwo. Żadne z nich najwyraźniej nie chciało zrujnować gadaniem przyjemnego rozejmu.

Więc milczeli.

A potem zasnęli.

Sen Logana był mniej więcej taki jak zawsze.

Mroczny. Zimny. Pusty.

Najwyraźniej niekończący się.

Nagle, znikąd, w ciemności pojawiła się przed nim twarz. Blada, ładna twarz z ciemnymi oczami.

Zawołała go słodkim, chropawym głosem.

– Logan.

No, pomyślał Logan. Gdyby miało mu się zacząć coś śnić, to takie sny mogłyby sprawiać mu przyjemność.

Wyciągnął do niej rękę, chcąc przyciągnąć do siebie.

Ale wtedy twarz zaczęła znikać. Z powrotem w ciemności.

Nie.

Wróć.

– Logan.

Tym razem w jej głosie był strach.

Musiał ją złapać. Zatrzymać. Powstrzymać przed zniknięciem.

Ale wyciągał ręce na próżno.

Popatrzył w dół i, ku swojemu przerażeniu, zobaczył, że jego stopy zapadły się w ziemię. Jego ręce nie należały już do niego. Były przerażająco chude. Wielkości rąk dziecka.

Nie mógł wyciągnąć ich odpowiednio daleko, choćby nie wiem, jak próbował.

A próbował.

Raz po raz, raz po raz.

– Logan.

Gwałtownie usiadł na łóżku, drżąc i ciężko dysząc. Pościel była mokra od potu. Maddie usiadła obok niego. Jej dłoń powędrowała na jego ramię.

– Logan, dobrze się czujesz? Miałeś sen.

Pokręcił głową.

– To niemożliwe. Mnie się nigdy…

– Ależ tak. Śni ci się, ty uparciuchu. Widziałam to nie raz. Śni ci się i mówisz przez sen. Czasami udaje mi się uspokoić cię we śnie, ale tym razem było inaczej. Przepraszam, że cię obudziłam, ale nie mogłam patrzeć, jak się męczysz.

Oddech unosił pierś Logana.

Nie wiedział, jak przyjąć tę informację. Najwyraźniej ośmieszał się przed nią co noc… a ona go uspokajała, choć on nie zdawał sobie z tego sprawy?

Przeczesał włosy obiema dłońmi, sfrustrowany.

– Już dobrze – powiedziała, przesuwając palce w dół jego kręgosłupa. – Możemy spać dalej.

Strząsnął jej rękę.

– Jest prawie rano. Równie dobrze możemy wstać i się ubierać, jeżeli mamy być w Inverness na otwarcie sklepów.

– Bardzo dobrze.

Logan starał się zignorować jej przygnębioną minę. Wiedział, że ją rani, odrzucając jej słodkie gesty. Ale później zraniłby ją o wiele bardziej, gdyby na nie pozwolił.

W jego planach nie było miejsca na sny. To od samego początku był bezwzględny plan, i taki musiał pozostać. Jeżeli ma zdobyć tę ziemię dla swoich ludzi, musi zdobyć Madeline, w taki czy inny sposób. Albo odda posiadłość, albo odda dziewictwo. Uczucia mogły jedynie skomplikować sprawę.

Nie mógł dawać jej powodów, żeby okazywała mu uczucia.

Choćby dlatego, że zbyt kuszące stałoby się ich odwzajemnienie.

17

Ciotka Thea przysunęła się do niego.

– Domyślam się, że nie ma pan zbyt wielkiego doświadczenia w kupowaniu kobiecych ubiorów na oficjalne okazje?

Logan podrapał się w kark.

– Co mnie zdradziło?

Siedzieli na dwóch wąskich krzesłach na środku zakładu krawieckiego w Inverness, czekając, aż Maddie wybierze suknię. Od samej ilości koronek i piór w pomieszczeniu kręciło mu się w głowie.

– I nie za duże doświadczenie w balach?

– Żadnego.

– Na pewno się pan denerwuje. Ja nie mogłam jeść wiele tygodni przed moim debiutem.

Gdyby jeszcze nie był niespokojny, na pewno zaniepokoiłby się teraz.

Dziękuję, ciociu. Jestem zobowiązany.

– Skoro czekamy, udzielę panu paru rad.

Wstała i chwyciła go za łokieć.

– Dalej. Niech pan wstanie. Mężczyzna nigdy nie powinien siedzieć, gdy dama stoi.

Logan niechętnie wstał. Niespecjalnie miał w tej chwili ochotę na lekcje etykiety, ale nie wiedział, co innego mógłby ze sobą w tym miejscu zrobić. Przynajmniej był to jakiś sposób spędzenia czasu. Lepszy niż wiercenie się. Gdyby jeszcze raz pokręcił piętą, wywierciłby dziurę w dywanie.

– A więc – zaczęła. – Kiedy się kogoś poznaje, osoba niższa społecznie rangą jest przedstawiana ważniejszej.

– Nie muszę uczyć się na pamięć hierarchii społecznej – powiedział. – Zawsze będę na końcu.

Nie mógł sobie wyobrazić, że w rezydencji lorda zjawiłby się ktoś o niższym od niego statusie. Nawet na skromnych szkockich potańcówkach Logan zawsze był najniższym z najniższych, zaledwie krok wyżej od zwierząt. A czasami karmiono go dopiero po psach.

– Niezależnie od wszystkiego, wtedy się pan kłania. Nie trzeba kłaniać się nisko, do pasa. To zarezerwowane dla lokajów. Ale czasami wymagane jest więcej niż zwykłe skinienie, w przypadku arystokracji. Proszę pomyśleć o złączeniu pomiędzy łopatkami i pochylić się od tego miejsca. To powinno wystarczyć.

Logan wypełnił polecenie, najlepiej jak mógł, czując się jak marionetka.

– Teraz proszę pocałować moją dłoń.

Przyciągnął jej dłoń do swoich ust i złożył pocałunek na palcach.

– Ta część nie jest konieczna. – Jej oczy zamigotały. – To było właściwie dla mnie.

Nie mógł się powstrzymać i lekko się uśmiechnął. Nie wiedział, po kim Madeline odziedziczyła swoją nieśmiałą naturę, ale z pewnością nie po ciotce.

– Teraz taniec – oznajmiła.

– Nie będziemy tańczyć.

– Większość kroków nie jest trudna. Najlepiej zaczekać na taniec tradycyjny i obserwować dżentelmenów obok. A jeżeli jest pan odważny, może pan spróbować walca.

Logan pokręcił głową.

– Maddie mi powiedziała, że nie chce tańczyć wcale.

– Może i nie chce. Ale ja chcę. Wieki minęły, odkąd tańczyłam gawota z hrabią de Montclair. Proszę mi sprawić przyjemność.

Rzucił tęskne spojrzenie w stronę ciężkich kotar osłaniających przymierzalnię, marząc, żeby się rozchyliły i dały mu pretekst do odmowy.

Na próżno.

Więc pozwolił, żeby ciotka Thea ułożyła jego ręce i nauczyła go takiego kroku, a potem innego. Raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy.

I tak nic z tego nie zapamięta, ale skoro starszej damie sprawiało to taką przyjemność, chyba nie powinien protestować.

– Nieźle – oceniła ciotka. – Całkiem nieźle.

Logan ukłonił się i znów pocałował jej palce. Zatrzymała jego dłoń i ścisnęła.

– Nigdy nie miałam dzieci, wie pan. To dlatego moja Madling tyle dla mnie znaczy. Traktowałam ją jak własną córkę. Matkowałam jej, najlepiej jak umiałam. Chyba zdaje sobie pan sprawę z tego, co to znaczy?

Przestąpił z nogi na nogę.

– To ta chwila, kiedy mnie ciocia ostrzeże, że jeżeli zrobię jej krzywdę, dosypie mi ciocia trucizny do herbaty?

– Nie, nie. Chcę powiedzieć coś o wiele gorszego. Skoro jest pan mężem Maddie, to oznacza, że panu też będę matkować. – Przytuliła go przelotnie i mocno, a potem wypuściła. – I będzie musiał pan to znosić.

Logan był oszołomiony.

Nigdy wcześniej nikt mu nie matkował. Nie był pewien, czy rozpozna to uczucie, a tym bardziej, czy będzie umiał je odwzajemnić. Ale wiedział, co znaczy lojalność. Znajomy instynkt, żeby ją chronić, przybierał na sile, kiedy pomagał jej usiąść. W tej chwili ciotka znalazła się na liście osób, za które oddałby życie i duszę, żeby je chronić.

Nie była to decyzja, był to fakt. Strzegąc szczęścia tej zwariowanej starszej kobiety, byłby gotowy oddać życie. Mimo że ona próbowała go zabić swoimi tonikami i maściami.

W chwili, gdy zaczynał wracać do siebie, Madeline rozsunęła kotary przymierzalni.

A on znów był oszołomiony.

Stała przed nim w sukni z ciemnego szmaragdowozielonego jedwabiu. Gorset z dużym dekoltem zrobił cuda z jej biustem, a żywy kolor tworzył uderzający kontrast z jej jasną skórą i ciemnymi włosami. A jej usta… Ta zieleń w jakiś sposób wydobyła ich powab w pełni.

Wyglądały jak dwie apetyczne połówki dojrzałej śliwki.

Poczuł pragnienie.

Obróciła się i okręciła przed lustrem, usiłując się przejrzeć.

– Wymaga kilku poprawek, ale myślę, że jest dobra. – Odwróciła się do Logana. – A ty?

Kiwnął niemo głową.

– Bardzo dobrze w takim razie.

Zniknęła znowu, zaciągając za sobą zasłony.

On nadal głupio kiwał głową.

Co to się właśnie wydarzyło? Rozpostarła te zasłony może na całe dziesięć sekund, a on czuł się jak prorok, który doznał objawienia. Teraz świat mu się kończył.

Ciotka Thea założyła rękawiczki.

– No, to załatwione. Maddie dokończy przymiarki, a pan niech tu zostanie. Ja się kawałek przejdę i zajrzę do apteki.

Logan kiwnął głową. Znowu.

– Dobrze się pan czuje? – spytała ciotka. – Nie odezwał się pan słowem, odkąd Madling się pokazała. I jest pan czerwony na twarzy.

– Tak? – Logan przetarł twarz. – Może potrzebuję któregoś z cioci toników albo possetu.

– Nie sądzę. – Uniosła jedną cienką, srebrną brew. – Widziałam podobną dolegliwość. To choroba serca. I nie ma na nią lekarstwa.

– Nie, chwileczkę. To nie tak. Ciociu…

Gdy wyszła, Logan pochylił się na krześle i oparł głowę na dłoniach. Wspaniale. Dopiero zaczął się martwić tym, żeby nie złamać serca Maddie,

a teraz będzie musiał martwić się też o jej ciotkę.

– Gdzie ciocia Thea? – spytała Maddie.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Maddie znów się wyłoniła, tym razem w tej co zwykle, szarej sukni.

Trzeźwo patrząc, nie powinna mu się wydawać jeszcze cudowniejsza niż parę minut wcześniej, a jednak. Poruszało go to, co znajome. Znał tę suknię. Znał Maddie.

– Powiedziała, że chce wstąpić do apteki.

– O, rany – skrzywiła się. – Cóż, mnie będą potrzebne rękawiczki. Nie wiem, czy wytrzymałbyś krótką wizytę u bławatnika? Jest chyba kawałek dalej.

Wyszli razem od krawca i przeszli na drugą stronę ulicy. Było południe, dzień targowy, i na ulicy zrobiło się znacznie tłoczniej, niż kiedy siedzieli w zakładzie krawieckim. Trio roześmianych chłopaków pędzących ulicą rozdzieliło ich. Był zmuszony wypuścić z uścisku dłoń Maddie. Kiedy dotarł na chodnik po drugiej stronie jezdni, odwrócił się, żeby ją odszukać.

Nie było jej przy nim.

– Maddie?

Madeline stanęła jak wryta na środku ulicy. Była blada i drżała. Ludzie i konie wymijali ją jak trocie opływające kamień w rzece.

Jezu Chryste. Jeżeli się nie ruszy, potrąci ją powóz.

Logan przepchnął się do niej.

– Maddie. Co się stało? Słabo ci? Co ci jest?

Nie odpowiedziała. Stała tak tylko z rozkojarzonym spojrzeniem, drżąc na całym ciele.

Kusiło go, żeby wziąć ją na ręce i przenieść, ale obawiał się, że zrobiłby w ten sposób jeszcze większe widowisko. Nie chciał ściągać na nią większej uwagi.

Objął ją za ramiona i sprowadził ze środka jezdni, szukając w pobliżu bezpiecznego miejsca, gdzie mogłaby usiąść i dojść do siebie. Nieopodal

znajdowała się herbaciarnia, ale o tej porze była pełna gości.

W przypływie desperacji i z braku wyboru Logan skierował ją w stronę kościoła.

Akurat do kościoła. Nie był w nim od lat.

Ale kościół był ciemny, cichy i pusty, a tego w tej chwili potrzebowała Maddie.

Przeprowadził ją przez główną nawę i pomógł usiąść na wąskiej drewnianej ławce. Potem ją objął, próbując uspokoić dreszcze, które wstrząsały jej kruchą postacią. Przypomniało mu się, jak dotykała go dziś rano, kiedy obudził się rozedrgany i zlany potem. Przesuwając palce po sznurze pereł jej kręgosłupa, starał się naśladować jej kojącą pieszczotę.

Trwał tak z nią przez kilka minut, aż była w stanie się odezwać.

– Nie mogę tego zrobić. – Stłumiła szloch. – Przepraszam. Wiem, że mamy umowę, ale ja nie jestem w stanie nawet przejść ulicą, żeby nie spanikować. Nie wiem, jak mogłam pomyśleć o tym, żeby wybrać się na bal.

– Spokojnie, *mo chridhe*. Jestem z tobą. Już po wszystkim.

– Wcale nie. Nigdy nie będzie po wszystkim. – Wyciągnęła chusteczkę z kieszeni. – Miałam nadzieję, że w końcu będę w stanie przez to przejść, ale tak było ze mną przez całe życie. Przynajmniej odkąd…

– Od kiedy, *mo chridhe*? Co się wydarzyło? Możesz mi powiedzieć.

– Weźmiesz mnie za głupią i naiwną. Bo byłam głupia i naiwna.

– Nigdy nie byłaś głupia. Naiwna, być może. Opowiedz mi wszystko, to ci powiem.

Ścisnęła koronkowy brzeg chusteczki.

– Kiedy miałam siedem lat, było Boże Narodzenie i moja mama umierała. Wiedziałam, choć nikt mi tego nie mówił. Domyślałam się po tym, że stała się taka blada i chuda, i czułam to w jej oddechu. To był dziwny zapach, jakby spirytusu z płatkami róż. Nie odwiedzał nas nikt prócz lekarzy. Moja nauka została zawieszona. Cały czas musiałam się

zachowywać bardzo cicho, żeby nie przeszkadzać jej we śnie. Więc w dość młodym wieku nauczyłam się być niewidzialna. Każda moja zabawa, każda radość – musiały być niezauważone. Dużo czasu spędzałam poza domem. Interesując się innymi małymi, cichymi rzeczami. Pewnego dnia jedna z córek miejscowego farmera powiedziała mi, że na skwerze będą przedstawiać świąteczną pantomimę. Chciałam ją zobaczyć, ale nie miałam odwagi o tym nikomu powiedzieć. Wymknęłam się z domu ukradkiem i zupełnie sama poszłam pieszo do miasteczka. Stanęłam na samym przodzie. To było cudowne. Kostiumy, żarty. Jeden mężczyzna żonglował płonącymi pałeczkami. Śmiałam się, aż brzuch mnie rozbolał. Na kilka chwil zapomniałam o całym smutku w domu. Aż nagle… – Gdy zawiesiła głos, Logan wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. – Nie wiem właściwie, co się stało – ciągnęła. – Może koń się spłoszył? – Zmarszczyła w skupieniu czoło. – Może pies się zerwał. Nie pamiętam. Cały tłum wpadł w panikę, a ja znalazłam się w samym środku, bez nikogo, kto mógłby mnie ochronić. Gdyby nie udało mi się wsunąć pod rusztowanie, pewnie zostałabym stratowana. Do tej pory nie pamiętam, jak wróciłam do domu. Pamiętam tylko, że było ciemno i bardzo zimno. Wepchnęłam suknię do wiadra z węglem, żeby ukryć rozdarcia i plamy, a potem przez całą noc trzęsłam się w łóżku. Byłam pewna, że następnego dnia mi się oberwie. Że dowiedzą się od kogoś z miasteczka albo zauważą suknię. Ale tata obudził mnie rano, żeby mi powiedzieć, że w nocy odeszła mama. I w ten sposób nikt się nie dowiedział o moim wybryku. A ja nigdy nikomu nie powiedziałam.

– Nikomu?

– Jakżebym mogła? Wyznać, że kiedy moja matka leżała na łożu śmierci, ja się zaśmiewałam, oglądając pantomimę? Tak mi było wstyd.

Logan pokręcił głową.

– Byłaś mała. Chciałaś odskoczni od smutku i żałoby. To nie jest żaden powód do wstydu.

– Ale gdy byłam mała, trudno mi było w to uwierzyć. Przez bardzo długi czas czułam, że moja nieśmiałość jest zasłużoną karą. Widzisz, od tamtej pory ogarnia mnie paraliż w zatłoczonych miejscach. Na targu, na zatłoczonych ulicach, w teatrach…

– Na salach balowych – dokończył za nią.

– Na salach balowych. – Uniosła ramiona i zaraz je opuściła. – Wszędzie, gdzie jest za dużo ludzi, staję się znów tą siedmiolatką. Samą, skostniałą ze strachu.

Logan nie wiedział, co powiedzieć. Gładził kciukiem grzbiet jej dłoni.

– To zrozumiałe.

– Tak? A ja tego tak właściwie nie rozumiem. Czy to rzeczywiście tłum mnie przeraża? A może nadal karzę się za dawny błąd? A może to przesąd. Boję się zaznać przyjemności, żeby nie stało się coś strasznego. – Przełknęła głośno ślinę. – Tak czy owak, nie było mowy, żebym mogła przeżyć londyński sezon, a w żaden sposób nie byłam w stanie wytłumaczyć tego mojego ojcu. Więc skłamałam. A po latach, jest jak jest.

– Jest jak jest.

– Widzisz? – Zmusiła się, żeby się uśmiechnąć. – Powiedziałam ci, że prawda jest głupia. Kolejna głupia opowiastka o tym, jak Maddie Gracechurch popełnia błąd, a potem pozwala, żeby zrujnował kolejne dziesięć lat jej życia. Widocznie to norma.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Ta norma to nie jest to, co widzę, gdy na ciebie patrzę.

– Nie?

– Nie.

W mrocznym, mglistym wnętrzu kościoła jej oczy wyglądały jak jeziora z ciemną wodą.

– A co widzisz?

Zawahał się chwilę.

– Robaka – odpowiedział.

Roześmiała się zaskoczona. Tak jak na to liczył.

– Poważnie – mówił dalej. – Jednego z tych owadów, które na początku są larwą, a potem przędą sobie osłonę. Jak ona się nazywa?

– Kokon?

– Właśnie. Przędą sobie kokon i się ukrywają. A kiedy w końcu się wyłaniają, są zupełnie czymś innym. Czymś pięknym.

– Cóż, tylko czasami są czymś pięknym. Całe mnóstwo owadów przędzie sobie kokon. Nie tylko ładne motyle i ważki. Gdybyś miał rację i rzeczywiście ukrywałabym się w kokonie, mogłoby się okazać, że zamieniłam się w szczypawkę albo termita.

Logan w to wątpił. Wiedział, co zobaczył, kiedy te aksamitne kotary rozsunęły się u krawca – nie przypominała szczypawki. Ale ona sama musiała to odkryć.

– Jest tylko jeden sposób, żebyś się przekonała – odezwał się.

– Chcesz powiedzieć, że powinnam zdobyć się na odwagę i pójść na bal.

Skinął głową.

– Masz więcej odwagi, niż ci się wydaje. Jesteś na tyle odważna, że mnie przyjęłaś, a to nie byle co.

– Chyba masz rację. Jesteś dość groźny.

– Szkoleni żołnierze uciekali na mój widok. Ty byłaś niewzruszona.

– To musi być dla ciebie niewymownie niedorzeczne, musieć namawiać mnie do pójścia na przyjęcie, kiedy ty sam prowadziłeś oddziały do walki. Jak ci się udało nie bać?

– Masz na myśli walkę?

Kiwnęła głową.

– Bałem się. Zawsze. Byłem przerażony za każdym razem.

– Och.

– Ale pomagała mi świadomość, że nie byłem sam. Że zawsze był obok mnie ktoś, kto mnie nie porzuci. – Wsunął rękę pod jej ramię i ścisnął je

mocno. – Będziemy tam razem. Będę przy tobie. Z całą pewnością nie wybrałbym się na Bal Robaka dla nikogo innego.

– Dziękuję – wyszeptała.

Jakby wiedziony impulsem, pocałował ją w policzek.

A potem, jakby to było przeznaczenie, pochylił się i pocałował ją w usta.

Uścisk był przelotny i ukradkowy, Ale słodki. Taki słodki. I jakoś bardziej poruszający niż jakikolwiek pocałunek, którego zaznał wcześniej. Od Madeline czy jakiejkolwiek innej kobiety.

Ten dzień stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Obudził się rano przy Maddie, która zachowywała się, jakby jej na nim zależało. Potem jej ciotka oznajmiła, że są jeszcze inne nadzieje, które on może zrujnować.

A teraz najgorsze i najbardziej porażające ze wszystkich objawienie.

Co może być gorszego niż świadomość, że dwóm sercom grozi złamanie?

Podejrzenie, że może chodzić o trzy.

18

Nie licząc lekkiego opóźnienia z powodu grząskich dróg, podróż przebiegała mniej więcej zgodnie z planem. Dotarli do zajazdu ze sporym zapasem czasu na to, żeby wystroić się na wieczór.

Jedna z pokojówek oberży pomogła Maddie przy sukni i włosach. Dziewczyna z wyjątkową zręcznością posługiwała się lokówką, myślała Maddie, przyglądając się jej pracy w lustrze i zastanawiając się, czy może nie powinna zatrudnić dla siebie służącej.

Ale choć jej włosy wyglądały znośnie, nadal pozostawała… cała reszta. Policzki miała blade. Żołądek był jednym wielkim kłębkiem nerwów. Nie była w stanie nic przełknąć przez cały dzień.

A Logan w najmniejszym stopniu nie pomagał. Kiedy ona deliberowała nad tym, jakie wybrać klipsy, on chodził po pokoju.

W tę i z powrotem.

I znowu w tę i z powrotem.

Co gorsza, z każdym następnym razem robił to szybciej. Aż jego zdenerwowanie dało się wyczuć w każdym kroku.

Obserwowała go w lustrze.

– Przez ciebie się denerwuję. Bardzo bym chciała, żebyś przestał się miotać.

Ta sugestia zatrzymała go w pół kroku. Odwrócił się do niej.

– Nie miotam się.

– Moim zdaniem się miotasz.

– Mężczyźni się nie miotają.

– Miotają, jak noszą spódnicę.

– Kilt to nie spódnica. To całkiem co innego. – Obrócił się na pięcie i dalej chodził zdenerwowanym krokiem.

– Falbanka – rzuciła lekko, spoglądając wymownie na falujący rąbek jego pledu. Raz po raz, przy każdym ciężkim kroku. – Falbanka, falbanka, falbanka.

Nie mogła przestać się z nim droczyć. Dokuczanie mu łagodziło jej własny niepokój.

– Nie miotam się – powiedział. – Tylko przechadzam.

– Skoro pan tak twierdzi, kapitanie Falbanko.

– Albo skradam.

– Skradasz. – Uniosła jedną brew. – Jak kociak?

Parsknął, zirytowany.

– Jeszcze raz nazwij mnie kociakiem a…

– A co zrobisz?

– Dopadnę ciebie i zacznę cię lizać jak śmietanę.

Maddie uśmiechnęła się do siebie. Taka kara nie brzmiała strasznie.

– Siedzisz przy tej toaletce od ponad dwóch godzin – powiedział. – Wiem, że się denerwujesz. Ale jeżeli chcesz poznać tego pana Dorninga, musimy wyruszać.

– Wiem, ja… – Podniosła głowę i spojrzała w lustrze we własne oczy. – Jestem zdenerwowana.

– To nie jest wizyta w pałacu St.James. To tylko grupa naturystów.

– Naturalistów. Gdyby byli naturystami, nie miałabym tyle zachodu z ubieraniem. – Sięgnęła do małego słoiczka na toaletce. – Próbuję się zdecydować, czy odważyć się na ten róż, który dała mi ciotka Thea.

Podniosła słoiczek z kosmetykiem i wpatrywała się w niego. Potem koniuszkiem małego palca ostrożnie dotknęła zawartości.

Logan podszedł do niej, wyciągnął jej z dłoni róż, zaniósł do jedynego wąskiego okna w pokoju i wyrzucił w mrok.

Kiedy policzyła do trzech, usłyszała, jak upadł z głuchym łoskotem.

– Może i dobrze. Będę się czuła swobodniej, nie ściągając na siebie uwagi. – Maddie wstała z westchnieniem i wzięła rękawiczki. – Możemy wyruszać.

Zastąpił jej drogę, nie dając jej zrobić ani jednego kroku.

– Zaczekaj chwilę.

Boże. Jego niespodziewana bliskość tak ją poruszyła. Wyglądał tak elegancko w ciemnozielono-niebieskim tartanie, a jego odświeżony oficerski płaszcz leżał na nim jak ulał.

Każdy guzik i fragment złotego łańcuszka lśniły.

Kupił nawet biały krawat i zawiązał go całkiem zgrabnie.

I był ogolony. Na tyle niedawno, że jego uparty zarost nie zdążył się jeszcze pojawić na nowo. Jego twarz była gładka, jeżeli pominąć małe czerwone draśnięcie w miejscu, gdzie zaciął się ostrzem.

Poczuła pragnienie, żeby dotknąć jego policzka. Przycisnąć wargi do tej małej, rozczulającej ranki. I chciała o wiele więcej.

Dłonie drżały jej ze zdenerwowania, jakby się nie znali i spotkali po raz pierwszy.

Mimo to wysiliła się na nonszalancję.

– Nie wiem, co cię napadło. Najpierw poganiasz mnie do wyjścia, a teraz każesz mi czekać? A myślałam, że to kobiety mają zmienne nastroje.

– Musimy porozmawiać o czymś, co przed chwilą powiedziałaś. Że nie będziesz ściągać na siebie uwagi.

– Tak. I co w związku z tym?

Położył dłonie na toaletce po obu stronach bioder Maddie. Jego niebieskie oczy przeszywały ją jakby była motylem w ramie.

– Z całą pewnością nie będziesz ściągać uwagi – powiedział. – Wystarczy, że masz moją.

Maddie wykręciła się, próbując się uwolnić.

– Naprawdę się spóźnimy. Powinniśmy wyjeżdżać.

Nie ustąpił.

– Za chwilę.

– Ale wydawało mi się, że ci się spieszy.

– Na to mam czas.

Jego słowa były cichym jękiem, który przeniknął do jej brzucha i tam płonął. Logan pochylił się na tyle blisko, że Maddie oddychała zapachem jego czystych włosów i skóry, i delikatną wonią mydła, i wykrochmalonego ubrania. Nigdy nie zaczerpnęła bardziej podniecającego oddechu.

– Możesz mówić, że nie chcesz ściągać uwagi. Ja i tak cię całą widzę. – Przekrzywił głowę i powiódł wzrokiem w dół jej ciała. – Właściwie zaczynam się uważać za pewnego rodzaju naturalistę. Z bardzo specyficznymi zainteresowaniami. Staję się ekspertem od ciała Madeline Eloise Gracechurch.

– Logan…

– I nie jesteś w stanie mnie powstrzymać.

Nie spieszył się, upajał się nią.

Dobry Boże, wyglądała dziś przepięknie. Zieleń jej sukni podkreśliła róż policzków i warg. Jedwab podkreślał jej figurę, a drobna koronkowa falbanka zdobiąca jej biust doprowadzała go do szaleństwa z pożądania. Przechylił głowę na bok i wpatrywał się w miękką skórę jej dekoltu.

Musiał jej dotknąć. Posmakować. Posiąść ją jakimś drobnym gestem.

– Co chcesz zrobić? – spytała.

– Chcę ci trochę zaróżowić policzki.

– Jak?

– Zamierzam cię pocałować.

– Nie waż się. Pokojówka godzinę męczyła się z lokówką.

– Nie pogniotę ci loków. – Szelmowski uśmiech uniósł jego wargi. – Przynajmniej tych na głowie.

– Teraz, to już nie wiem, o co ci…

Upadł przed nią na kolana i zadarł halkę obiema dłońmi.

Zareagowała piskiem.

– Logan.

– Tylko pocałunek, *mo chridhe*. Tylko pocałunek. Pozwól, żebym dał ci choć tyle.

Nie było to tylko dawanie. On sam też brał.

Jedną dłoń przesuwał w górę jej obleczonej w pończochę nogi, ominął podwiązkę i zaczął pieścić jedwabiste udo. Potem przesunął dotyk wyżej, moszcząc dłoń w ciemnym trojkąciku u zbiegu ud.

– Logan, proszę. Nie chcę… – Zamiast słowami, zdanie zakończyła westchnieniem.

Uśmiechnął się lekko, pocierając ją lekko w tę i z powrotem opuszkiem kciuka.

– Oj, chcesz. Z całą pewnością chcesz. Czuję to. – Liznął wewnętrzną stronę uda.

Może i była zszokowana jego prymitywnymi słowami, ale jej ciało się nie sprzeciwiło. Przeciągnął palcem po jej fałdkach i poczuł, że jest wilgotna. Taka wilgotna i gotowa na niego.

– Tyle czasu się ubierałam – wyszeptała. – Nie chcę się pognieść.

– Więc oprzyj się o toaletkę. – Oparł jej pupę o krawędź mebla. – I trzymaj spódnicę. – Chwycił jedwabny rąbek i podał jej go do rąk. – I zupełnie, ale to zupełnie się nie ruszaj.

Zanim zdążyła zaprotestować po raz kolejny, Logan znów uklęknął i przyłożył wargi do jej kobiecości.

Westchnęła.

On jęknął.

Dobry Boże. Smakowała ambrozją. Jak brzoskwinie i kwiaty, i miód, i mech. Z odrobiną soli, która sprawiała, że ta słodycz nie do zniesienia zdawała się jeszcze słodsza.

Zaczął powoli, wodząc językiem w górę i w dół po całej długości jej szparki. Kusząc, smakując. Rozkoszując się każdym jej szybkim oddechem. Czując lekkie drżenie jej ud. Smakując idealną miękkość jej najintymniejszych miejsc.

A potem, gdy zaczęła wyginać się pod jego wargami, przesunął się wyżej i dotknął językiem miejsca, które widział, że pragnie tego najbardziej.

Krzyknęła cicho. Szarpnęła biodrami.

Logan sięgnął pod jej halkę i ujął w dłonie bliźniacze połówki jej pupy, żeby ją unieruchomić.

Zupełnie unieruchomić.

Kiedy niepokoił ten wrażliwy pączek najlżejszymi pociągnięciami języka.

Wkrótce jej biodra zaczęły się poruszać w instynktownym rytmie. Razem z nim, wbrew niemu. Kiedy cofał język, ona go szukała.

Tak.

Wstrząsnęło nim podniecenie. Pod kiltem jego penis był sztywny jak rękojeść miecza. Cicha myśl przetoczyła się przez ogarnięty pożądaniem umysł.

Mógłby ją mieć.

Mógłby ją posiąść. Tutaj, w tej chwili. Na zawsze.

Gdyby teraz wstał, posadził tę słodką pupcię na stole i umieścił członek u jej wejścia… powiedziałaby: nie?

Nie sądził.

Ale niech go diabli, zbyt wielką przyjemność sprawiało mu to, co robił.

Uwodzenie. Pogoń. Poznawanie jej słodyczy i odkrywanie każdej najlżejszej pieszczoty, która sprawiała, że Maddie jęczała i wzdychała.

Jednak pragnął być jakoś w niej. Jedną dłonią puścił jej pupę i przesunął palce po wzniesieniu jej uda. Nie przestając obsypywać pieszczotami jej kobiecego klejnotu, wsunął w nią czubek jednego palca.

– Mogę? – wyszeptał, przyciskając czoło do jej brzucha.

W jej odpowiedzi nie było wahania. Tylko zaufanie.

– Tak.

Wepchnął palec głębiej, zanurzając go i wyciągając, powoli wpychając coraz dalej. Była tak cholernie ciasna. Czuł pierwotną żądzę w tym, jak jej wewnętrzne mięśnie obejmowały jego palec z taką gwałtownością. To było coś, czego zaznała tylko z nim. I uwielbiała to.

– Logan. Och, Logan, to takie… – Jęk dostał się pomiędzy jej słowa i skradł je. – Takie cudowne.

– Ty jesteś cudowna. – Całował ją tam, gdzie wiedział, że tego pragnie. – Piękna. – Musnął ją lekko językiem. – Idealna.

Potem złapał rytm. Wsuwając palec i wysuwając. Drażniąc ją końcem języka. Jej oddech i ruchy stały się gorączkowe, ale on trzymał powolne, miarowe tempo. Wypuściła spódnicę z jednej dłoni i wplotła palce w jego włosy.

– Nie przestawaj – poprosiła.

Logan nie miał zamiaru przestawać. Mógłby tak trwać – całując ją, pieszcząc, uwielbiając – tak długo, jak potrzebowała.

Tak, *mo chridhe*. *Mo chridhe*. Dojdź dla mnie.

Zacisnęła palce na jego włosach. Z gwałtownym krzykiem zadrżała wokół jego palca. Poczuł rozkosz, rozlewającą się po całym jej ciele. A potem oparła się o toaletkę, zdyszana i spełniona.

Logan też potrzebował chwili, żeby dość do siebie.

– Widzisz? Nie potrzebujesz żadnego różu. – Poprawił jej spódnicę. – Teraz twoim policzkom nie brakuje koloru. Szyi i dekoltowi też nie. Wszyscy na balu to zobaczą. A ponieważ nie mam zamiaru odstępować cię na krok, będą wiedzieć, czyje to dzieło.

Wyciągnęła rękę, żeby poprawić mu krawat. Zdecydowanie był w lekkim nieładzie.

Podobało mu się, że tak o niego dba.

Jej oczy spoglądały na niego spod tych jej ciemnych rzęs. I powiedziała coś, jakby miało to być najsłodszym komplementem.

– Jesteś straszny.

– Chcesz przeprosin? – Złożył pocałunek na jej czole. – Będziesz musiała trochę poczekać.

Będzie musiała czekać do końca życia.

Bo Logan już podjął decyzję.

Nie będzie żadnego kompromisu. Żadnego układu, żadnego interesu.

Madeline spełni swoje marzenie i zostanie jego żoną. Dziś wieczorem, jeżeli istnieje jakaś sprawiedliwość. A jak już weźmie ją w ramiona, nie miał zamiaru nigdy jej z nich wypuścić.

19

Kiedy Maddie i ciotka Thea kupowały ten powóz w Yorku, sprzedawca poinformował je, że wygodnie pomieści cztery osoby, a na siłę sześć. Maddie przypuszczała, że w istocie mógłby tyle pomieścić pod warunkiem, że żadna z tych osób nie jest postawnym Szkotem w odświętnym tradycyjnym stroju.

W obecnej sytuacji oni dwoje ledwie się mieścili.

Logan uparł się, że usiądzie naprzeciwko niej tyłem do kierunku jazdy, żeby nie pognieść jej sukni. Cóż, żeby nie pognieść jej jeszcze bardziej.

Chyba po raz dwudziesty w ciągu tyluż minut pochylał głowę, żeby wyjrzeć przez okno powozu. Jej rzucał jedynie ukradkowe spojrzenia, przez większość czasu patrząc na drogę i krajobrazy.

– Powinniśmy być nie dalej niż kilometr.

– Tak – powiedziała.

Głupia odpowiedź. Od wyjścia z oberży wymieniali między sobą jedynie niedorzeczności. Miała wrażenie, że nie jest w stanie wydobyć z siebie więcej niż dwie sylaby naraz odkąd…

Odkąd.

Litości. Po tych wszystkich bezeceństwach, które jej zrobił…

Co tam mówienie. Właściwie nie wiedziała, jak na niego teraz spojrzeć. Za każdym razem, gdy przypominała sobie dotyk jego języka na jej ciele – czyli jakieś siedem razy na minutę – cała płonęła.

Nogi jej drżały pod halką. Pot zbierał się między piersiami.

Powóz podskoczył na wyboju. Kolano Logana uderzyło o jej udo.

Logan wbił w nią spojrzenie.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Od razu się zorientowała, że jego myśli prowadziły go dokładnie w to samo miejsce – pod warstwę jej rozłożystych spódnic. Po raz pierwszy odkąd wyszli z oberży, jego wzrok przestał się błąkać po okolicznych wzgórzach i turniach, a zaczął się błąkać po wypukłościach jej ciała. Powoli, z dzikim, zaborczym pragnieniem.

Ciche szemrzące ciepło rozbłysło i zaczęło narastać w niej, podsycając to pożądanie w jej oczach w ten sam sposób, w jaki węgiel podsycał ogień.

Gdy kiedyś w rozmowie nazwał ją nieprzeciętnie ładną, miała ochotę to podważyć. Ale dziś wieczorem, po raz pierwszy w życiu czuła, że nie można jej się oprzeć. Czuła się zachwycająca.

Naprawdę piękna. W jego oczach, jeśli w niczyich innych.

Och, to było takie niebezpieczne.

Powóz się zatrzymał.

– Jesteśmy – oznajmił Logan, nadal patrząc jej w oczy.

– Tak – odpowiedziała.

Zawsze obecne zdenerwowanie szybko przyćmiło wszelkie inne kłopotliwe emocje. Zanim Logan wysiadł i podał jej rękę, żeby pomóc wyjść, czyste, ogłuszające przerażenie zastąpiło wszelki utrzymujący się dreszczyk.

Logan wsunął drugą dłoń pod jej łokieć, uważnie podtrzymując ją, gdy jej pantofelki dotykały wysypanej żwirem alei.

W końcu była w stanie podnieść wzrok i spojrzeć na scenerię przed nimi.

Więc to była posiadłość Varleigha.

Wielkie nieba.

Zamek był imponującą kompozycją sześciokątnych wieżyczek z obrzeżem jak lukrowane pierniki. Cała fasada była obłożona różowawym

harlingiem, z drobnymi kamykami wtopionymi w tynk, od których elewacja połyskiwała w zapadającym zmierzchu.

W każdym oknie, dużym czy małym, świeciło się światło.

A dookoła nich wyrafinowane ogrody nadawały zapach nocy. Nie obejrzała ich jeszcze dokładnie, ale zapach zalewał jej zmysły i przyprawiał o zawrót głowy.

Maddie była w stanie się tylko gapić. Spodziewała się imponującego domu. Może nawet wytwornego.

Ale to?

To był przepych, i to jaki.

W połączeniu z otaczającą go chmarą powozów, dżentelmenami we frakach i damami ustrojonymi w klejnoty i pióra…

– O, nie – jęknęła. Chwyciła Logana za rękę. – Nie, nie, nie. Nie możemy tam wejść. Spójrz tylko. Spójrz na nich wszystkich.

Spójrz tylko na mnie.

Pośpiesznie poprawiana jedwabna suknia, która wyglądała znośnie w słabo oświetlonym zajeździe, teraz zdawała się beznadziejnie prowincjonalna i niemodna. Powinna była założyć perły matki. Powinna była kupić nowe rękawiczki.

– Spodziewałam się małego, spokojnego przyjęcia dla zafascynowanych nauką arystokratów. A nie czegoś takiego.

– Ale już tu jesteśmy. Nie ma odwrotu.

Może i nie było odwrotu, ale stopy Maddie nie wyrywały się, żeby zrobić krok naprzód.

Trzymała się blisko niego, gdy szli w stronę wejścia i ustawili się w kolejce, czekając, żeby ogłoszono ich przybycie w sali balowej.

– Pierwsza zasada bali – wyszeptał, ściskając jej rękę mocno swoim ramieniem. – Nie panikuj.

– Jaka jest druga? Chyba powinniśmy przejść od razu do niej.

– Pamiętasz, jak wybraliśmy się na Bal Robaka i znakomicie się bawiliśmy? – wymruczał.

– Rzeczywiście, pamiętam. Zachowywałeś się całkiem przyzwoicie i byłeś czarujący. Właściwie, to chyba sobie przypominam, że nawet tańczyłeś z samą hrabiną wdową.

Wzruszył ramionami.

– Zaskakująco dobrze radzę sobie ze starszymi kobietami.

– Tak słyszałam.

– Ale tańczyłem z nią tylko z grzeczności. Prawdziwe przyjemności przyszły później. Kiedy złapałem cię w jednym z zakamarków i zadowalałem cię, aż krzyczałaś.

Maddie przysłoniła uśmiech odzianą w rękawiczkę dłonią. Przynajmniej policzki będzie miała różowe bez żadnego pudru.

Nadeszła kolej ich zapowiedzi. Majordomus spojrzał na nich, czekając, aż Logan poda nazwiska. Logan rzucił niepewne spojrzenie w kierunku Maddie i poprawił krawat.

W tej chwili ona coś sobie uświadomiła.

Była nieprawdopodobną egoistką.

Skoro ona czuła się nieswojo w tym otoczeniu, Logan musiał czuć się sto razy bardziej niezręcznie. To prawda, nigdy nie wzięła udziału w żadnym prawdziwym balu, ale uczono ją, jak należy się na nich zachowywać. Wychowała się w tych kręgach społecznych.

Logan był oficerem, ale nie urodził się dżentelmenem. Dla wiejskiego sieroty, który dorastał, sypiając wśród bydła w stajni, ta scenka musiała być zupełnie obca. Równie dobrze można byłoby wystrzelić go na księżyc.

Delikatna nić wzruszenia zaczęła rozwijać się w jej sercu.

Przestań, powiedziała sobie. On tu nie jest z miłości do ciebie. Jest tu dla zamku. Ziemi. Swoich ludzi.

Mieli umowę. Po dzisiejszym wieczorze on będzie miał swoje ziemie, a Maddie odzyska swoje życie. Koniec ukrywania. Koniec kłamstw.

Pochyliła się do lokaja i podała ich nazwiska.

– Pani Madeline Gracechurch i kapitan Logan MacKenzie z Invernesshire.

Gdy ich zapowiedziano, weszli do sali balowej.

– To mój debiut – powiedziała Maddie, uśmiechając się. – To pierwszy raz, kiedy usłyszałam moje nazwisko odczytane w ten sposób.

– Mam nadzieję, że ci się podobało. To również ostatni raz, kiedy usłyszałaś swoje nazwisko odczytane w ten sposób.

Dziwne, że coś takiego powiedział, ale Maddie przypuszczała, że pewnie ma rację. Nie zanosiło się na to, żeby jeszcze kiedyś miała się wybrać na bal.

– A teraz musimy przejść powoli wokół sali – wyszeptała.

– Dobrze – powiedział. – Widzisz, mówiłem, że wszyscy będą się gapić.

– Oczywiście, że się gapią. Na ciebie. – A Madeline tak się z tego cieszyła. Martwiła się, że zwróci na siebie uwagę, ale równie dobrze mogłaby być niewidzialna obok Logana.

– Ty naprawdę jesteś tego nieświadomy?

– Czego?

– Jak niesamowicie dostojnie wyglądasz tego wieczoru.

Sapnął lekceważąco.

– To przez kilt.

– Po części przez kilt. Ale głównie z powodu aparycji.

Było to, przecież, spotkanie naturalistów, a Logan był rzadkim okazem. Zastanawiała się, czy coś mogło dorównywać widokowi Szkota w pełnym stroju wojskowym. Wszyscy na sali byli absolutnie zachwyceni.

– Nie widzę Varleigha – wymruczał.

– Pewnie przygotowuje się do prelekcji.

Logan skinął głową.

– Chciałaś tańczyć?

– Nie – odpowiedziała szybko.

– Dzięki Bogu. Więc będę się trzymał blisko ciebie, żeby nikt inny cię nie poprosił.

Nie wiedziała, co jest bardziej rozczulające – jego przekonanie, że ktokolwiek inny mógłby chcieć poprosić ją do tańca, czy rozkosznie zaborcza postawa, jaką przyjął u jej boku.

Przyjęli po szklaneczce ponczu od przechodzącego lokaja. Zrobili przedstawienie, oglądając dokładnie wyrzeźbione w marmurze popiersie. Przyglądali się tańczącym przemieszczającym się w kontredansie. Przez cały ten czas on nie oddalił się od jej łokcia bardziej niż na dwie stopy.

Wiedziała, że po części po to, żeby ją chronić, ale po części dlatego, żeby chronić siebie, jednak przypadkowemu widzowi musiało się zdawać, że był nią bezgranicznie zafascynowany.

Maddie nie mogła narzekać. Zawsze sobie wyobrażała, jak by to było mieć u boku silnego, przystojnego szkockiego oficera, niewolniczo czekającego na każde jej słowo i czyn. Teraz już wiedziała.

Było to w każdym calu tak wspaniałe, jak marzyła.

Po chwili muzyka przestała grać, a goście zaczęli przemieszczać się w stronę galerii.

– Proszę. – Maddie wyłowiła z torebki mały przedmiot i wcisnęła go Loganowi w dłoń.

– Co to jest? – spytał.

– Cygaro.

– Nie palę cygar.

– Dziś mógłbyś zapalić. Gdybyś miał ochotę.

Zmarszczył czoło i patrzył na nią, zupełnie zdezorientowany.

– To twoja przepustka na zewnątrz, gdybyś chciał się wymknąć. Zaraz zacznie się wykład przyrodniczy. Wiem, że nie interesuje cię słuchanie na temat dziewiętnastu nowych gatunków amazońskich owadów i wydaje mi się, że jestem w stanie wytrzymać na prelekcji sama, siedząc gdzieś z tyłu. Zrozumiem, jeżeli wolisz się przewietrzyć.

Patrzył na nią przez chwilę. A potem wetknął cygaro do najbliższej doniczki.

– Zostaję z tobą.

W tej chwili Maddie także nie była pewna, czy ma ochotę słuchać o dziewiętnastu nowych gatunkach owadów amazońskich. Chyba raczej wolałaby znaleźć jakieś ustronne miejsce i stworzyć to wspomnienie, którym wcześniej kusił ją Logan. Ale biorąc pod uwagę, ile trudu sobie zadał, musiała dotrzymać swojego zobowiązania. Taki był cel tego wieczoru, przypomniała sobie. Jej marzenie za jego marzenie. Logan z pewnością o tym nie zapomniał i ona też nie powinna zapominać.

Znaleźli miejsca z tyłu sali.

Logan znosił prelekcję w sposób godny podziwu, choć na pewno wydawała mu się koszmarnie nudna. Nawet Maddie nie mogła się skupić. Niepokoiła się, że w każdej chwili lord Varleigh może ją wywołać, żeby wstała, żeby złożyć jej wyrazy uznania.

Pewny dotyk uda Logana na jej udzie był krzepiący. I rozkosznie rozpraszający. Jej zmartwienia, jednak, okazały się bezpodstawne. Zdawkowe oklaski dały jej znać, że wykład się skończył.

Maddie nadal siedziała.

– Nie wspomniał o tobie – wymruczał Logan. – Dlaczego?

– Nie wiem – wyszeptała. – Może podziękuje mi później.

– Ale to już koniec. Wszyscy się rozchodzą.

Nim zdołała go powstrzymać, Logan poderwał się na równe nogi.

– Lordzie Varleigh! – krzyknął.

Ludzie się zatrzymali.

– Słucham, kapitanie MacKenzie? Miał pan jakieś pytanie?

– Tylko komplement do przekazania, milordzie. – Logan odkaszlnął. – Chciałem panu pogratulować tych wyjątkowej jakości ilustracji.

Lord Varleigh spojrzał mu prosto w oczy.

– Dziękuję.

Maddie poczuła natychmiastowy przypływ wściekłości Logana. Owszem, miał dziś na sobie ładny strój i prezentował uprzejme maniery, ale pod tym wszystkim nadal był wojownikiem, a jego instynkt walki doszedł teraz do głosu.

Ktoś zostanie ranny.

– Bydlak.

Pociągnęła go za rękaw, ponaglając, żeby usiadł.

– To nie ma znaczenia.

– Ależ oczywiście, że ma. To twoje prace na ścianach, a on skradł całą chwałę.

– Zasługuje na to, żeby cała uwaga skupiała się dziś na nim. To on wybrał się w podróż do Amazonii.

– Wsiadł na cholerny statek, wielkie mi co. A jak już tam dotarł, na pewno zapłacił rdzennym mieszkańcom, żeby odwalili całą robotę. Ich pewnie też okradł. Ale ty, Maddie… Ty wzięłaś jego paskudne, zeschnięte śmieci i wlałaś w nie życie. – Dotknął jej policzka. Tylko przelotnie, jakby nie ufał sobie, że był w stanie obejść się z nią teraz delikatnie. – To twoja największa zaleta, *mo chridhe*. Że umiesz wzbudzać rzeczy do życia.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

Desperacko odciągnęła go od grupy z prelekcji do małej przyległej sali. Czegoś w rodzaju biblioteki.

Dołączył do nich lord Varleigh.

– Czy jest jakiś problem, kapitanie MacKenzie?

– Doskonale pan wie, że tak.

– Logan, proszę – wymruczała Maddie.

Ustępując, Logan ściszył ton z cichego krzyku do nieugiętego warczenia.

– Zaprosił ją pan tutaj, żeby jej podziękować. Zaoferował pan, że przedstawi ją panu Dorningowi. Jak może pan wyjaśnić swoje zachowanie pannie Gracechurch?

Lord Varleigh poprawił swój pas.

– Nadal z przyjemnością jestem skłonny przedstawić pannę Gracechurch moim kolegom. Pod warunkiem, że mnie zapewni, że pozostanie panną Gracechurch.

– Słucham?

– Muszę wiedzieć – ciągnął Varleigh – że nie ma ryzyka, że wkrótce zostanie panią MacKenzie.

Logan zaklął po cichu.

– Ale jakie to może mieć znaczenie, milordzie? – spytała Maddie.

– Panno Gracechurch, nie mogę z czystym sumieniem polecać pani do długofalowych projektów, jeżeli planuje pani ślub. Żona ma obowiązki wobec męża i rodziny i one staną się ważniejsze niż pani artystyczne zobowiązania.

– Ależ to absurd – powiedziała. – Z pewnością wielu pańskich kolegów to dżentelmeni żonaci, z obowiązkami wobec rodzin i żon. Nikt nie kwestionuje ich oddania dla nauki.

– Być może – powiedział lord Varleigh, rzucając wymowne spojrzenie w kierunku Logana – gdyby była pani żoną jakiegoś dżentelmena z pewną pozycją towarzyską czy naukową, sprawa wyglądałaby inaczej.

Teraz Maddie doznała przypływu wściekłości. Nigdy w życiu nie uderzyła innego człowieka, ale miała ochotę walnąć lorda Varleigha w jego arystokratyczny nos.

– Czyżby właśnie obraził pan kapitana MacKenziego? – spytała. – Więc panu powiem, że to wielce inteligentny człowiek. Czyta. Co wieczór. Był nawet na uniwersytecie.

– *Mo chridhe*. – Logan delikatnie ją odciągnął. – Panna Gracechurch wróci do pana za chwileczkę, milordzie – zwrócił się do lorda Varleigha.

Gdy arystokrata wyszedł z pokoju, zapadła cisza.

Logan zaczął przechadzać się po małej sali.

– Mówiłem ci, że on chciał ciebie. Pewnie zaplanował cały ten bal po to, żeby zrobić na tobie wrażenie – może nawet miał zamiar ci się oświadczyć.

Teraz bierze ten swój żałosny rewanż, bo jest zły, że jesteś tu ze mną.

– To absurd.

– Doprawdy?

– Nie wierzę, że jakiemuś mężczyźnie zależałoby na tyle, żeby robić sobie taki kłopot. Nie dla mnie.

Logan przestał spacerować i podszedł do niej. Położył dłonie na jej ramionach i zmusił ją, żeby spojrzała w jego intensywnie błękitne oczy.

– Ja noszę krawat i spinki w mankietach na jakimś cholernym Balu Robaka. To się nie liczy za robienie sobie kłopotu dla ciebie?

– Ale… to nie dla mnie. Niezupełnie.

– Maddie, *mo chridhe*. – Jego uścisk na jej ramionach zelżał do pieszczoty, a jego wzrok powędrował do jej warg.

– A niby dla kogo.

Serce napęczniało jej w piersi. Jeżeli on w tej chwili ją pocałuje…

Gdyby mógł ją kochać…

Pewnie nic innego by się nie liczyło.

Utrata szansy na pracę była rozczarowaniem. Maddie chciała tego zlecenia na encyklopedię. Jeszcze bardziej chciała zostać doceniona za swoje ilustracje.

Zniewaga od lorda Varleigha zagnieździła się w jej brzuchu jak gorzka, bolesna grudka.

Ale perspektywa utraty Logana rozdarła jej serce.

W dziwny, irracjonalny sposób wrósł w jej życie, odkąd skończyła szesnaście lat. I mimo jej wszelkich wysiłków, by tak się nie stało, zaczęło jej zależeć na nim – na prawdziwym, niedoskonałym Loganie. Mężczyźnie, który rozpalił jej ciało ognistymi pocałunkami i rozwścieczał ją swoimi aroganckimi założeniami, i wypchnął ją z jej lodowatego, nieruchomego kokonu.

Zakochała się w nim.

– To pewnie nie ma znaczenia – powiedział. – Musisz tylko pójść do niego i powiedzieć, że się nie pobieramy.

Maddie przełknęła głośno ślinę.

– Nie jestem pewna, czy mogę to powiedzieć.

Nie była pewna, czy chciała to powiedzieć.

Zerknął przez ramię na salę balową.

– Wydaje mi się, że idą na kolację. Już nie ma tłumu.

– Nie chodzi o tłumy, Logan. Proszę, wracajmy już do domu.

– W takim razie wyjdziemy i sami znajdziemy pana Dorninga – powiedział. – Do diabła z Varleighiem. Nie musisz się go bać. Powiem wszystkim prawdę.

– Zabierz mnie do domu – powiedziała. – To już nie ma znaczenia.

– Nie. Nie pozwolę, żebyś znów się za mną chowała.

– A jeżeli nie chowam się za tobą? – Włożyła dłonie w jego dłonie. – A jeżeli zamiast tego wszystkiego wybieram ciebie?

Wpatrywał się w nią z góry.

– Maddie, ja…

Puk-puk. Puk-puk-puk.

Odwrócili się, szukając źródła tego szalonego stukania. Do bibliotecznej szyby przyciskała się znajoma twarz.

– Rabbie? – powiedziała z niedowierzaniem.

Skinął głową i wargami wypowiedział słowo: Otwórzcie.

I drugie: Szybko.

Logan zaklął i doskoczył do okna, otworzył je i wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wejść.

Już w środku Rabbie się wyprostował i otrzepał rękawy z odrobiny gałązek.

– Tu jesteście.

– Co ty wyrabiasz, do diabła.

– Nie chcieli mnie wpuścić od przodu. Zaglądałem w każde okno i pana szukałem. Ledwie uniknąłem lania od dwóch lokajów.

– Co się stało? – spytał kategorycznie Logan. – Chodzi o Granta?

– Nie, nie, z Grantem wszystko w porządku. Chodzi o homara.

Maddie sapnęła.

– Zrzuca skorupę?

Rabbie się skrzywił.

– Och, nie. No, nie mam pewności. Niezupełnie.

Logan znał ten wyraz twarzy swojego żołnierza. Nie wróżył nic dobrego.

– Powiedz nam w końcu. Powiedz całą prawdę.

– Homara nie ma. Uciekł.

20

Natychmiast wyszli z balu.

Logan zaproponował, że pojedzie do domu wcześniej sam.

– Nie musisz wychodzić ze mną – powiedział jej. – Powinnaś zostać i poznać pana Dorninga. Rabbie odwiezie cię później do Lannair.

Maddie nie chciała o tym słyszeć.

– Bez ciebie nie dam rady. I Fluffy zginęła, muszę pomóc jej szukać. Jest czymś więcej niż zlecenie. Wiesz o tym. To mój zwierzak.

Logan wyprowadził ich na zewnątrz i ostrym rozkazem przywołał powóz. Ponieważ konia Rabbiego poniosło, będzie musiał wracać z nimi. W powozie podróż potrwa… Logan wykonał w myślach parę obliczeń… cztery godziny do Lannair. O ile dopisze im szczęście.

Co oznaczało, że Logana czekają cztery godziny, zanim będzie mógł w jakikolwiek praktyczny sposób spróbować przegonić zmartwienie z twarzy Madeline.

I każdą minutę zamierzał spędzić na besztaniu Rabbiego.

Gdy przyprowadzono powóz, Logan złapał go za poły płaszcza.

– Miałeś jedno zadanie.

Rabbie przełknął głośno ślinę.

– Wiem.

– Pilnować homara. – Logan lekko potrząsnął żołnierzem. – To było jedyne zadanie, jakie ci przydzieliłem. Jak mogłeś to spieprzyć?

– Widzi pan… Pilnowałem jej w pracowni. Ale tam jest trochę strasznie, wie pan?

Owszem, Logan wiedział. Jego też to miejsce przyprawiało o gęsią skórkę, ale to nie było żadne wytłumaczenie.

– Więc włożyłem ją do wiadra i zniosłem na dół, a potem graliśmy z chłopakami w karty. Ktoś musiał przypadkiem kopnąć wiadro. Jak się obejrzałem, jej już nie było.

Idiotyzm całej tej sytuacji pozbawił Logana słów. Powóz podjechał, a on pomógł Maddie wejść pierwszej, a potem do niej dołączył.

– Niech pan się nie martwi – powiedział Rabbie, wsiadając. – Zanim zdążymy wrócić, chłopaki na pewno ją znajdą. A tak właściwie, jak daleko może się przemieścić homar o własnych siłach?

– Nie wiem – wycedził Logan. – To jest pytanie, którego sumienny żołnierz nigdy nie musiałby zadać.

Kiedy wyruszyli w drogę do domu, Maddie milczała. Była blada i przygnębiona.

Logan miał ochotę wybić dziurę w dachu. Ale dach był twardy, a to oznaczało, że poraniłby sobie palce – ale miał pewność, że ulżyłby swojej wściekłości.

Odwrócił się do Maddie.

– Jak długo homar może wytrzymać bez wody?

– Parę dni, jeżeli jest na zamku, tam jest chłodno i wilgotno. Ale jeżeli wydostała się na zewnątrz i ruszyła w stronę jeziora? – Pokręciła głową. – Słodka woda ją zabije.

– Znajdziemy ją. Nie martw się. Będziemy szukać całą noc, jak będzie trzeba.

Oparła głowę o bok powozu.

– To już nie ma znaczenia – powiedziała cicho.

– Oczywiście, że ma, do jasnej cholery.

– To wszystko moja wina. Źle zrobiłam, że uwięziłam ją w akwarium. Nic dziwnego, że uciekła, gdy tylko nadarzyła się sposobność. Gdyby chciała skojarzyć się z Rexem, dawno by to zrobiła. Może on nie jest dla niej odpowiedni. Może to niehigieniczny brutal i ona nie chce mieć z nim nic wspólnego.

– A co z twoimi szkicami ich życiowego cyklu?

Wzruszyła tylko ramionami.

– Najwyraźniej jestem kobietą bez perspektyw w dziedzinie ilustracji.

Akurat.

Logan zachował spokój przez resztę podróży. Ledwie.

Kiedy dotarli do zamku Lannair, ludziom Logana nie udało się jeszcze odnaleźć homara. Cholera.

Logan zebrał ich w kuchni. Narysował plan na tablicy, której kucharka używała do wypisywania menu dnia.

– To jest rozkład parteru – powiedział. – Wejścia i wyjścia są tu i tu. Po pierwsze musimy wyznaczyć granicę. Zabezpieczyć ją tak, żeby żaden homar nie wyszedł i żaden homar nie wszedł. Munro, ty obstawiasz główne wejście. Grant zostaje z tobą. Cała reszta szuka.

– Spróbujcie tego. – Rabbie zagwizdał melodię przypominającą ptasi trel i ułożył dłonie wokół ust. – Chodź, Fluffy, Fluffy, Fluffy! Chodź, mała!

Logan zamrugał, patrząc na niego.

– Mam spore wątpliwości, czy ta metoda zadziała.

Rabbie wzruszył ramionami.

– To się przekonamy, prawda?

Logan nakreślił krzyż na planie zamku, dzieląc go na czworo. Trzy ćwiartki przydzielił Rabbiemu, Callumowi i Fyfe’owi.

– Ja wezmę tę – powiedział, zaznaczając miejsce kredą. – Weźcie pochodnie. Zajrzyjcie w każdą szparę i szczelinę w murach. Homar przed ugotowaniem jest niebieski, nie czerwony, więc trudno ją będzie wypatrzyć nocą. Uważajcie przy chodzeniu. Spotkamy się za dwie godziny, bez

względu na rezultat. Cokolwiek będziecie robić, trzymajcie ją z dala od słodkiej wody. Jakieś pytania?

Fyfe podniósł rękę.

– Czy ten, kto ją znajdzie, będzie mógł ją zjeść?

– Nie. – Logan oparł dłonie o kuchenny stół i zwrócił się do zgromadzonych mężczyzn. – Ten homar jest bardzo ważny dla Madeline. A to znaczy, że jest też bardzo ważny dla mnie.

Te słowa były prawdą. Nie bardzo wiedział, kiedy to się stało, ale zaczęło mu zależeć. Na Madeline i na jej ilustracjach. Chodziło o coś więcej niż homara. To było jej marzenie. Nikt jej go nie zabierze – ani Varleigh, ani Rabbie, ani Logan.

– Musicie się ruszać szybko i zwinnie, chłopaki. Przez wszystkie nasze wspólne lata na polu walki nigdy nie zostawiliśmy żadnego żołnierza na śmierć. Tego homara też nie zostawimy.

Przed samym wyjściem z kuchni odciągnął Maddie na bok.

– Nie martw się. Masz moje słowo. Znajdziemy ją raz dwa.

Mijały godziny.

I nic.

Mężczyźni prowadzili poszukiwania, a Maddie poszła na górę zdjąć suknię. Będzie bardziej pomocna w praktycznym ubraniu.

Po drodze zaglądała w każdą niszę i zagłębienie w murze. Wydawało jej się zupełnie nieprawdopodobne, żeby homar był w stanie wejść po schodach, ale mimo wszystko oczy miała szeroko otwarte.

Weszła do swojej sypialni i już miała zacząć rozpinać swoją zieloną jedwabną suknię, gdy jej wzrok padł na coś, co przykuło i zatrzymało jej uwagę.

Nie była to Fluffy.

Ale czarna torba Logana.

Dziś wieczorem zabrał ze sobą na bal mały wyjściowy sporran.

Tymczasem tu, na haku, wisiała jego torba wojskowa z pieniędzmi, okularami, rękawiczkami… i, prawdopodobnie, kilkuletnim zbiorem upokarzających listów Maddie.

Porzuciła zamiar rozebrania się i szybko podeszła, żeby dostać torbę w swoje ręce. Te listy muszą tam być. Po prostu muszą. Wszystko inne przeszukała.

Palce jej drżały, kiedy rozpinała sprzączkę przytrzymującą zapięcie.

Aż nagle się zatrzymała.

Co z nimi zrobi, jeżeli rzeczywiście są w środku?

Zamierzała je zniszczyć przy pierwszej okazji, ale teraz się wahała. Naprawdę byłaby w stanie wrzucić je w ogień?

Nie wiedziała. Tyle się zmieniło.

Wzięła głęboki oddech, otworzyła torbę i zajrzała do środka.

Nic.

To znaczy, niezupełnie nic. Było w środku to i owo, ale żadnego pliku listów. Niech to.

– Czego szukasz?

Głos Logana.

Odwróciła się do niego na pięcie.

– Och. Niczego. No, szukam Fluffy, oczywiście. Torba leżała otwarta, więc pomyślałam, że mogła dostać się do środka. To mało znany fakt, ale homary uwielbiają zapach płótna.

Ze wszystkich głupich kłamstw opowiadanych przez całe życie, to z pewnością było najgłupsze.

Ale Logan był zbyt zmęczony, żeby podważać jej słowa, a może po prostu zbyt wyczerpany, żeby się nimi przejmować. Oczy miał zaczerwienione ze zmęczenia, a jego twarz znów pokryła się zarostem.

Jej serce zmiękło. Tak się dla niej wysilał.

– Ty też nic nie znalazłeś? – spytała.

Pokręcił głową.

– Ale się nie poddajemy. Nawet jeżeli będzie trzeba szukać całą noc, aż do rana.

– Powinieneś odpocząć. To tylko homar.

– To nie jest zwykły homar. To twoje marzenie i była częścią naszego układu. Twoje marzenie za moje.

– To już nieważne, Logan, przepadło. Widziałeś, jak lord Varleigh dziś mnie potraktował. Nawet gdyby przedstawił mnie panu Dorningowi, na nic by się to nie zdało. Jestem kobietą. Samo to już przemawia przeciwko mnie w oczach wielu ludzi. A jako młodą żonę? Nikt nigdy nie zatrudni mnie do poważnego projektu. Wszyscy pomyślą, że w każdej chwili mogę zajść w ciążę i porzucić pracę.

– Dlaczego mówisz tak, jakbyśmy byli małżeństwem?

– Bo może powinniśmy nim być. – Zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Nie chcesz tego.

– Nie chcę?

– Nie. Nie chcesz.

– Skąd ta pewność?

– Poza tym, że powtarzasz mi to, bez ogródek, odkąd się tu zjawiłem? – Ciężkie kroki przywiodły go bliżej. – Listy, *mo chridhe*. Ułożyłaś bajkę o szkockim oficerze i domu na wzgórzach. Ale to była tylko bajka. Twoje prawdziwe marzenie zapisane było pomiędzy wierszami. Wszystkie te ćmy, kwiaty i ślimaki. Nie pozwolę, żebyś z tego zrezygnowała tylko dlatego, że lord Varleigh jest bydlakiem i że uciekł jeden homar. To dla ciebie ważne.

Może i było ważne. Jednak najważniejsze było dla niej to, żeby zrozumiał.

– Może moglibyśmy znaczyć coś dla siebie.

– Maddie…

Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, złapała w garść poły jego płaszcza, żeby go do siebie przyciągnąć. Serce łomotało jej w piersi, ale powiedziała

sobie, że musi być odważna.

Był zmęczony, ale ona też była zmęczona. Wykończona powstrzymywaniem tej fali uczucia i czułości wewnątrz niej. Nie była w stanie panować nad swoimi emocjami ani chwili dłużej.

Chciała go przytulić. Chciała, żeby on przytulił ją.

– Nie rozumiesz? – Wsunęła ręce pod jego płaszcz i przesunęła je po pagórkowatej powierzchni jego brzucha, żeby go objąć.

– Gdybyśmy mogli być prawdziwym małżeństwem… takim, które coś znaczy… Lord Varleigh i Fluffy, i encyklopedia nie miałyby znaczenia. Nic innego nie miałoby znaczenia.

– Nie. – Jego głos był ochrypły. – Nie mów tak. Został nam kawał zamku do przeszukania.

– Niech szukają twoi ludzie. Zostań tu ze mną.

Poczuła, że jego chęć oporu słabnie. Jego oddech stawał się coraz bardziej niespokojny. Odnalazła miejsce, gdzie jego rozpięty kołnierzyk się rozchylał. Pocałowała go w ciemny przesmyk u podstawy szyi.

– Zostań ze mną, Logan. – Wspięła się na palce i pocałowała go w brodę, a potem w policzek. – Kochaj się ze mną.

Pocałowała go.

Jakikolwiek słaby, nieszczery protest, którego mógłby próbować Logan, rozpłynął się w tej słodyczy.

– Zostań ze mną. – Pociągnęła go w stronę łóżka, a on poszedł za nią. – Pora zrobić to naprawdę.

Razem opadli na materac. W końcu była pod nim. Miękka, ciepła i czekająca.

Rozłożyła uda, żeby zrobić miejsce dla jego bioder i pociągnęła go za koszulę.

Logan nadal słyszał, jak na dole jego ludzie chodzą z pokoju do pokoju, wykrzykując do siebie wskazówki w poszukiwaniu homara.

– Jesteś… – Kiedy jej dłoń wsunęła się pod jego koszulę, jęknął w jej usta. – Jesteś pewna, że chcesz tego teraz?

– Tak. Teraz. Zawsze. – Wyszeptane przez nią słowa ogrzały jego skórę i rozpaliły pożądanie. – Spraw, żebym poczuła się tak jak wcześniej, na toaletce. Pozwól mi zrobić to samo dla ciebie. – Podciągnęła materiał koszuli i przesunęła dłońmi po jego nagim torsie. – Logan, pragnę cię.

Wielkie nieba. Te słowa podziałały jak iskry wrzucone do whisky. W jednej chwili cały dla niej płonął.

Gotowy do wybuchu.

Była dorosłą kobietą, przypomniał sobie.

Rozumiała, co to znaczy i sama podejmowała decyzję.

On musiał tylko odebrać swoją nagrodę.

Przyciągnęła go bliżej i przeczesała palcami włosy u nasady jego karku. Krawędź rozkoszy była blisko. Przycisnął ją do siebie i zanurzył się w pocałunku.

– Zrób to – ponagliła, sięgając pomiędzy nich, żeby podciągnąć swoją spódnicę. – Szybko. Posiądź mnie, zanim…

Głos ją zawiódł.

Ale nie musiała kończyć tego zdania.

Wiedział, co chciała powiedzieć.

Posiądź mnie, zanim się rozmyślę.

Przemknął przez niego szept poczucia winy. Zignorował go. Rzucił się odważnie w stronę tego, czego się obawiał, tak jak zawsze nakazywał w walce swoim ludziom.

Przez jedną chwalebną chwilę wydawało mu się, że jest w stanie pokonać strach.

Aż nagle…

W jednej chwili poczuł, że to zbyt wiele. Nie zastanawiał się nad swoją decyzją. Nie było w niej pożądania ani świadomego zamiaru. Jedynie zwykły instynkt: wycofaj się.

Błysk bólu w jej oczach był natychmiastowy. I przeszywający.

Logan poczuł, jakby zobaczył kawałek raju, wyglądając przez kraty, gdy na zawsze zamykały się przed nim wrota.

– Zanim zmienisz zdanie – dokończył za nią. – To chciałaś powiedzieć prawda? Chcesz, żebym wziął cię tu i teraz, zanim się zreflektujesz. – Przewrócił się i oparł na łokciu, dysząc ciężko. – Nie podoba mi się to.

Uniosła ręce ponad głowę i westchnęła. Ten gest zrobił niesamowitą rzecz z jej piersiami.

– Teraz nagle masz skrupuły?

– Nie wiem, może i mam.

– Logan. Chciałeś tego. Tego się domagałeś i groziłeś, że mnie zrujnujesz, żeby to dostać.

– Jesteś w tej chwili zwyczajnie zdenerwowana przez to, co się tam stało. Wiem, że jesteś rozczarowana, *mo chridhe*.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Więc popraw mi nastrój. Porzucenie pracy nie będzie dla mnie wielką ofiarą, jeżeli to będzie prawdziwe małżeństwo, w każdym względzie. Z miłością. Rodziną. Możemy mieć to razem, Logan.

Jezu. Więc teraz musi jej obiecać, że warto, żeby dla niego zrezygnowała ze wszystkiego? Nie mógł tego zrobić. Nie wiedział, jak miałby zastąpić jej karierę, rodzinę, krąg kolegów i przyjaciół. To było niemożliwe.

On sam by nie wystarczył. Zaczęłaby nim gardzić. A potem by odeszła.

– Nie musimy nikogo okłamywać. Możemy sprawić, że to będzie prawda. Dziś w nocy. Ani trochę ci na mnie nie zależy?

Oczywiście, że mu zależało, nie tylko trochę.

Prawda była taka, że zależało mu na niej za bardzo. Ale nie mógł pozbawić jej marzeń. Nie w ten sposób.

– Znajdziemy inny sposób – powiedział.

Źle zrobił.

– Już to przerabialiśmy, Logan. A może zapomniałeś? Odrzuciłeś każdy z moich pomysłów. Włącznie z tym, dość upokarzająco. – Usiadła i ukryła twarz w dłoniach. – Czuję się jak idiotka.

– Ja po prostu nie mogę dać ci tego, o co prosisz – powiedział. – Uprzedziłem cię już na samym początku. Miłość i uczucia… nie ma tego we mnie.

– Nie wierzę w to. Wiem, że to nieprawda. – W jej ciemnych oczach błysnęła złość. – Jesteś najbardziej troskliwym, lojalnym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam. Widzę, jak traktujesz swoich ludzi, farmerów. Nawet moją ciotkę. Najwyraźniej tylko ja nie jestem godna twojego oddania.

– To nie w porządku. Wiesz, że to nieprawda. Oddałbym życie, żeby cię chronić.

– Ale nigdy nie oddałbyś mi serca. Prawda?

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

Wstała z łóżka i podeszła do toaletki.

– Skończyłam z tym. Skończyłam z marzeniami o tobie. – Szarpnęła kraciastą szarfę upiętą na swoim tułowiu, rozpinając broszę i trzymała ją na rozpostartej dłoni. – Chcę znać prawdę. Kim ona była, ta A.D.?

– Powiedziałem ci. To nieważne.

– Dla mnie ważne! Nosiłam to dzień w dzień. Kłamstwo w kształcie serca na mojej piersi, żeby wszyscy widzieli. Zaakceptowałam to jako mój obowiązek. Symbol wstydu, który na siebie sprowadziłam, okłamując wszystkich. Ale teraz chcę znać prawdę. Kochałeś ją?

– Maddie…

– To proste pytanie, Logan. Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień. Wystarczy jedno słowo. Tak czy nie. Kochałeś ją?

– Tak – odpowiedział.

– Bardzo?

– Najbardziej jak umiałem. Ale to nie wystarczyło.

– Więc od ciebie odeszła.

Kiwnął głową.

– Mądra kobieta.

Logan się skrzywił.

– Ograniczałem ją.

I ograniczałby także Maddie. Miała do zaoferowania światu o wiele więcej niż szkice. Miała dobre serce i mnóstwo miłości. Pragnienie założenia rodziny. Wszystkie te rzeczy, do których on nie mógł się przemóc.

Zmarnowałaby się przy nim.

– Więc choć od ciebie odeszła i choć upłynęło tyle czasu, nie byłeś w stanie o niej zapomnieć – powiedziała.

Pokręcił głową.

– Nie – odparł szczerze.

Rzuciła broszę w jego stronę, wylądowała na zmiętej narzucie.

– Weź ją sobie z powrotem. Nie chcę jej już nosić. Wyjeżdżam.

– Zaczekaj. – Zerwał się na równe nogi. – Został tylko tydzień do Beltane. Bez względu na to, co między sobą uzgodnimy, będę cię tu potrzebował tej nocy.

– Właśnie mnie odrzuciłeś. Na jakiej podstawie uważasz, że jestem zainteresowana jakimikolwiek uzgodnieniami z tobą?

– Mam ci przypomnieć o listach?

– Te głupie listy. – Stłumiła dziki śmiech. – Nie mają już dla mnie żadnego znaczenia. Proszę bardzo, wyślij je brukowcom. Co mam do stracenia? Nie mam perspektyw zawodowych, które musiałabym chronić. Żadnych sercowych perspektyw. Jestem przyzwyczajona do publicznego upokorzenia. Do samotności też. Nie mogę być bardziej osamotniona niż byłam, żyjąc tutaj.

Otworzyła z rozmachem szafę i sięgnęła po pustą walizkę z górnej półki. Spadła na nią, odbiła się od jej głowy i upadła na podłogę.

Auć. Logan skrzywił się ze współczuciem.

– Tylko tego jeszcze brakowało – powiedziała w oszołomieniu. – Jeszcze jedno upokorzenie.

Otworzyła walizkę i położyła ją na łóżku, a potem garściami zaczęła wyciągać z szafy ubrania i bieliznę i pakować je do środka.

Logan chwycił walizkę za rączkę.

– Nie możesz wyjechać. Jeszcze nie.

Złapała drugą rączkę i pociągnęła w swoją stronę.

– Mogę. I to zrobię. Nie możesz mnie powstrzymać.

– Z czego będziesz żyła?

– Jak na razie, ze złości. Czuję, że będzie w stanie napędzać mnie przez jakiś czas.

W jej oczach była taka determinacja i odwaga, jakich nigdy wcześniej nie widział. To był właśnie ten ogień, jaki pragnął w niej ujrzeć. Ta siła, którą wiedział, że w sobie posiada.

I, rzecz jasna, ujawniły się w chwili, gdy postanowiła, że go opuści.

Przeczesał dłonią włosy.

– Zapomnij o mnie.

– Oj, wierz mi, mam zamiar.

– Nie zrobiłem tego wszystkiego dla siebie. Moi ludzie potrzebują domu, wiesz o tym. Wiem, że tobie też na nich zależy. Pomyśl o Callumie, Rabbiem, Munro, Fyfe. Pomyśl o Grancie.

– Będę za nimi tęsknić. Szczególnie za Grantem. – Zatrzymała się z wełnianymi rajstopami w paski w garści. – Granta lubię najbardziej. Wiesz, dlaczego? Bo sprawił, że poczułam się piękna w dniu mojego ślubu. Choćbyśmy nie wiem ile razy byli sobie przedstawiani, zawsze jest pod wrażeniem. Rozśmiesza mnie. – Wsadziła rajstopy do walizki. – Myśli, że jesteś farciarzem, że mnie masz. Biedy otumaniony głupiec.

– Może i jest otumaniony, ale nie jest żadnym głupcem. Nie jest też jedynym, któremu wydałaś się piękna w dniu naszego ślubu. – Wziął ją w

ramiona. – Nie mogę pozwolić ci odejść.

– Dlaczego miałabym zostać?

– Bo ja…

Logan wiedział, co ona chce usłyszeć. Ale jakoś nie mógł wydobyć z siebie tych słów. Nie wierzył w te słowa. Ani w ustach kogoś innego, ani w swoich własnych. Wcześniej czy później zawsze okazywały się kłamstwem.

Posłała mu smutny uśmiech.

– Tak myślałam.

– Maddie.

Przenikliwy piskliwy krzyk rozległ się o dwa kroki od nich.

W Loganie w jednej chwili odezwał się instynkt obronny. Ale zanim zdążył zebrać myśli, w progu stanął Rabbie.

– Znalazłem ją! – zameldował zdyszany, czerwony na twarzy żołnierz. – A raczej ona znalazła palec Fyfe’a. Homar, cały i zdrowy.

– Świetnie. Bardzo ci dziękuję, Rabbie. – Maddie posłała mu uśmiech, który zniknął z jej twarzy, jak tylko Rabbie opuścił pokój. – W samą porę – dodała do Logana. – Teraz może pojechać ze mną.

– Dokończysz rysunki gdzie indziej?

– Nie. Wyświadczę Fluffy tę samą przysługę, jaką powinnam była wyświadczyć sobie. Uwolnię ją.

21

*M*adling? – Ciotka Thea wetknęła okrytą turbanem głowę za drzwi. – Becky mi powiedziała, że pakujesz walizki. Wszystko w porządku?

– Ciociu, niech ciocia usiądzie. Musimy porozmawiać.

Uspokoiła nerwy. To była pora. Najwyższa.

To bagno kłamstw przez lata wciągało ją coraz bardziej i bardziej. Ugrzęzła w nim po szyję, ale tym razem nie mogła liczyć na pomoc Logana.

Musiała uwolnić się sama.

Pierwsza zasada w bagnie: nie panikuj.

– O co chodzi, Madling? – spytała ciotka Thea.

Oddychaj, powiedziała sobie.

– Ja… Mam coś ważnego do powiedzenia, ciociu. Mogę ciocię prosić, żeby mnie ciocia wysłuchała, aż powiem wszystko do końca?

– Oczywiście.

– Kiedy miałam szesnaście lat i wróciłam do domu z Brighton, powiedziałam cioci, że poznałam na plaży szkockiego oficera. – Maddie z trudem przełknęła ślinę. – Skłamałam.

I już po wszystkim. Wielkie wyznanie w trzech sylabach.

Dlaczego nie była w stanie wypowiedzieć ich głośno przez tak długi czas, nie wiedziała.

Ale teraz, gdy je w końcu wypowiedziała, powtórzenie ich nie stanowiło dla niej problemu.

– Skłamałam – powtórzyła. – Nigdy nie poznałam żadnego dżentelmena. Całe wakacje spędziłam sama. Po przyjeździe do domu wszyscy oczekiwali, że pojadę do miasta na mój pierwszy sezon. Na myśl o towarzystwie ogarniała mnie panika, więc wymyśliłam to szalone kłamstwo o kapitanie MacKenziem. A potem je powtarzałam. Przez lata.

– Ale… o ile nie dostaję demencji w moim podeszłym wieku, w tym zamku jest mężczyzna. Który nazywa się kapitan MacKenzie. Wygląda mi na prawdziwego.

– Jest prawdziwy. Ale nigdy wcześniej go nie spotkałam. – Maddie spuściła głowę na skrzyżowane ręce. – Tak mi przykro. Wstydziłam się i bałam powiedzieć cioci prawdę. Chciałam to zrobić wiele lat temu, ale ciocia tak kochała jego wizję… a ja tak kocham ciocię.

– Och, moja Madling. – Ciotka Thea głaskała ją po plecach, kreśląc kojące kręgi. Tak, jak robiła, gdy Maddie była nastolatką. – Wiem.

– Wie ciocia, że mi przykro? Będzie ciocia w stanie mi wybaczyć?

– Nie tylko to. Wiem wszystko. O kłamstwach, o listach. Że twój kapitan MacKenzie był jedynie wymysłem i wytworem wyobraźni. Wiedziałam od początku.

Zdumiona Maddie podniosła głowę.

– Słucham?

– Proszę, nie gniewaj się, że to powiem, ale to nie była zbyt wiarygodna bajka. Prawdę mówiąc, była dość absurdalna, a ty nie masz zbytniego talentu do kłamstwa. Gdybym się za tobą nie wstawiała, nie sądzę, żeby ta historia utrzymała się choć miesiąc przy twoim ojcu.

– Nie rozumiem, co ciocia chce powiedzieć. To znaczy, że nigdy mi ciocia nie wierzyła? Przez cały ten czas wiedziała, że mój kapitan MacKenzie jest całkowicie zmyślony i nigdy nie odezwała się ciocia słowem?

– Cóż, doszliśmy do wniosku, że potrzebujesz czasu.

– My? Kto jest tym „my” w tym zdaniu?

– Lynforth i ja, rzecz jasna.

– Mój ojciec chrzestny też wiedział, że wymyśliłam sobie konkurenta? – Maddie ukryła twarz w dłoniach. – O, Boże. Jaki wstyd.

Wstyd, ale także dziwne uwolnienie. Jeżeli tak wyglądała prawda, przynajmniej nie musiała mieć wyrzutów, że odziedziczyła zamek pod fałszywym pretekstem.

– Oczywiście, że wiedział. I rozumiał. Bo, moja droga Madling, byliśmy ze sobą blisko.

– Blisko.

– Byliśmy kochankami przez dwadzieścia lat, z przerwami. I wiedział, że ja też kiedyś skłamałam, żeby uniknąć małżeństwa.

Maddie miała wrażenie, że głowa jej pęknie od tych wszystkich rewelacji.

– Nie została ciocia zdeprawowana przez hrabiego de Montclair i zrujnowana dla wszystkich innych mężczyzn?

– Och, poszłam z nim do łóżka. Nie było strasznie, ale nie było też magicznie. I nie, nie zrujnował mnie dla innych mężczyzn. Przeciwnie, uświadomił mi, że jestem o wiele za młoda, żeby przykuwać się do jednego mężczyzny na całe życie tylko dlatego, że moi rodzice uważali go za odpowiedniego, tylko po to, żeby w noc poślubną przekonać się, że przypadkiem ma erotyczną obsesję na punkcie piórek.

– Piórek?

– Nie musimy się nad tym rozwodzić. Chcę powiedzieć, że dopasowanie w sypialni jest nie do przecenienia. W każdym razie, głośno ogłaszałam, że jestem zrujnowana, żeby mieć pretekst do uniknięcia małżeństwa. Mogłam brać sobie kochanków, jakich chciałam i kiedy tylko miałam ochotę, ale przez dwadzieścia ostatnich lat byłam raczej oddana Lynforthowi. Jego śmierć była dla mnie mocnym ciosem. Dlatego tak chętnie wyjechałam z tobą na północ. Ja też byłam w żałobie.

– Tak, ale cioci żałoba była prawdziwa. – Maddie przysunęła się bliżej. – Och, ciociu. Tak mi przykro.

Ciotka potarła oczy.

– Wiedzieliśmy, że to się zbliża. Ale nigdy nie jest się przygotowanym. Tak czy owak, życie się zmienia. Odkrywamy nowe pasje. Kiedy ty spędzałaś czas na rysowaniu owadów, ja napisałam płomienną powieść w mojej wieży na górze.

– Ciocia, pisarką? Ależ to… No, to świetnie.

Gdy się nad tym zastanowiła, dotarło do niej, że ciotka Thea pisała melodramat przez lata, a jego główną bohaterką była Maddie.

– To raczej swego rodzaju pamiętnik. Czy, jak by powiedzieli Francuzi, *roman à clef*. Prawie wszystkie wydarzenia są prawdziwe, ale nazwiska zmienione, żeby chronić tych złych.

Maddie pokręciła głową.

– Dlaczego mi ciocia nie powiedziała? Dlaczego okłamywałyśmy się nawzajem przez cały ten czas?

Ciotka ujęła dłonie Maddie w swoje.

– Nie zdawałam sobie z tego sprawy, moja droga. Przez lata wydawało mi się, że obie strony wszystko rozumieją. Kobieta czasami po prostu nie pasuje do roli, której się od niej oczekuje. Robimy, co możemy, żeby pójść własną ścieżką, wyodrębnić przestrzeń dla siebie. Myślałam, że jesteś szczęśliwa tu, w Szkocji, i tłumaczyłam twojemu ojcu, żeby zostawił cię w spokoju. Aż nagle zjawił się ten wielki, wspaniały mężczyzna…

Maddie roześmiała się drwiąco.

– Coś podobnego.

– I nagle nie wiedziałam, co myśleć. Może jednak przez cały ten czas mówiłaś prawdę. Poddałam go jednej czy dwóm próbom. Wiersz, lekcja tańca. Starałam się być w pobliżu, na wypadek gdybyś chciała mi się zwierzyć. Ale właściwie, doszłam do wniosku, że jesteś już dorosła. Że

jesteś silną, inteligentną kobietą, którą podziwiam. Nie miałam prawa się wtrącać.

Maddie skubała wykonany na szydełku rąbek chusteczki.

– To całkiem obcy człowiek. Uwierzy ciocia? Moje listy trafiły do niego jakimś sposobem i wiedział o mnie wszystko. O naszej rodzinie. Ale nie widziałam go nigdy, zanim pojawił się w naszej bawialni. A teraz…

– A teraz go kochasz, prawda?

– Obawiam się, że to możliwe. – Oczy zapiekły ją w kącikach, więc zamrugała szybko. – Ale on nie kocha mnie. Może i by mógł, ale nie jest w stanie sobie na to pozwolić. Nie wiem, co robić. Strasznie się pokłóciliśmy wczoraj w nocy po balu. Oddałam mu zaręczynową broszkę.

– Może to zwykła kłótnia kochanków.

– Czyżby? Nie wiem, czy nas w ogóle można nazwać kochankami. Tak bardzo chcę być kochana, że obawiam się, że tylko sobie wyobrażam, że on mógłby odwzajemnić moją miłość. Skończyłabym uwięziona w kolejnym własnym kłamstwie.

Ciotka Thea się uśmiechnęła.

– Sądząc po tym, co dla ciebie przeszedł w trakcie przygotowań do balu, musi mu na tobie naprawdę zależeć. Przynajmniej odrobinę.

– Jest lojalnym mężczyzną. Ale ja… ja chyba go jakoś zraniłam. Głęboko. Może moje kłamstwa nie zraniły cioci ani naszej rodziny, ale zraniły Logana. Nie rozumiem, jak ani dlaczego głupie listy szesnastolatki mogły wywołać taki skutek. Ale chciałabym wiedzieć, jak to naprawić.

Nie wystarczyło nawet, że ofiarowała mu miłość. Cóż większego niż to mogła mu dać?

Wpatrywała się w stół.

– Czuję się taka pogmatwana w środku, i taka beznadziejna.

– Mam środek na taki stan.

Maddie się skrzywiła. Nic nie rujnowało chwili szczerości bardziej niż któryś z medykamentów ciotki.

– Och, ciociu. Skoro już tak szczerze rozmawiamy, muszę powiedzieć… Nie wiem, czy jestem w stanie przełknąć kolejny…

– Nie bądź głupia. Chodziło mi o to.

Ciotka pochyliła się i wzięła ją w ciepły, mocny uścisk. Był to uścisk, który pachniał jak lada z kosmetykami, ale niemniej upragniony. Tuliły się, kołysząc w przód i w tył. Kiedy się rozdzieliły, Maddie miała łzy w oczach.

Ciotka Thea ujęła jej policzki.

– Jesteś kochana, moja cudowna Madling. Zawsze byłaś. Kiedy już w to uwierzysz, wszystko inne stanie się jasne.

Logan trzymał się z daleka od Maddie przez kilka następnych dni. Nie było mu łatwo, ale nie widział nadziei, że zyskałby coś, zbliżając się do niej. Siedziała już właściwie na walizkach, a on nie miał nic nowego do powiedzenia. Mógł mieć jedynie nadzieję, że czas – a może wisząca nad nią groźba tych listów – sprawią, że zmieni zdanie.

Stało się to jeszcze mniej prawdopodobne, gdy po południu w dniu święta Beltane zastał ją w jadalni pośród dziesiątków skrzyń i pudeł.

Stół był zastawiony porcelaną, srebrami, szkłem, obrusami i cynowymi świecznikami. Były też skromniejsze przedmioty: garnki, czajniki, pogrzebacze, świece i małe słoiczki z przyprawami.

– Wyprawiasz popołudniowe przyjęcie? – spytał.

– Nie – odpowiedziała. – To nie przyjęcie. Szykuję posag dla twoich ludzi.

– Posag?

Zmarszczyła brwi.

– Czy mężczyzna może mieć posag? Nie wiem. Nieważne. Kiedy wprowadzą się do nowych domów, będą musieli się urządzić. Przydadzą im się te rzeczy.

– A w zamku się nie przydadzą?

– Już nie. – Owinęła cynowy świecznik słomą. – Wyjeżdżam do domu, do mojej rodziny. Ktoś powinien zrobić użytek z tych przedmiotów.

Logan zacisnął zęby. Zabolał go spokojny, rzeczowy sposób, w jaki mówiła o swoim wyjeździe. Opuszczała nie tylko zamek, ale także jego.

Poszedł za nią, gdy przemieściła się na drugi koniec stołu i zaczęła dzielić łyżeczki na równe części.

– Ja też dostanę prezent pożegnalny? – Był pewien, że zabrzmiało to bardziej żałośnie i wymownie, niżby chciał. – Może stolik pomocniczy i ze dwa świeczniki?

– Prawdę mówiąc, przewidziałam dla ciebie coś innego.

– Och, naprawdę? Co takiego?

Jej ciemne oczy odszukały jego spojrzenie.

– Chcę ci dać to.

– Co, łyżeczkę?

– Nie, to. – Odchyliła głowę i spojrzała na sklepienie sufitu. – Ziemię. Ten zamek. To wszystko.

Logan gapił się na nią. Co ona mówi?

– Maddie, chyba nie chcesz powiedzieć…

– To już załatwione. – Sięgnęła na środek stołu i chwyciła kopertę leżącą na stosie złożonych obrusów. – Przygotowałam dokumenty na wzór tych, w których posiadłość przekazano mnie. Becky i Callum podpisali się jako świadkowie. Ta wiadomość na pewno zdążyła już się roznieść po zamku. Do wieczora będą wiedzieć wszyscy. – Wręczyła mu kopertę. – Lannair należy do ciebie.

Wziął kopertę do ręki. Nie był w stanie zrobić nic poza gapieniem się w nią.

– Ale ten układ, który proponowałaś… Nie dotrzymałem mojego zobowiązania.

– Tak naprawdę, Logan, on nie należy do mnie. Nigdy nie należał. Nie zapracowałam na niego. Nie jestem związana z tą ziemią. To miejsce należy

do wzgórz. Do ludzi, którzy mieszkali tu od pokoleń. Do tych, których przodkowie gołymi rękami układali kamienie tego zamku. I nie przychodzi mi do głowy bardziej odpowiednia osoba, która miałaby mieć nad nim pieczę.

– Nie chcę niczyjej łaski. Zapracowałem na wszystko, co mam.

– Och, wiem o tym. Doskonale wiem, że przyjmując to, poczujesz się niezręcznie i to część mojej zabawy. Czerpię ogromną przyjemność z przyglądania się, jak się wijesz. Dla mnie to pewnego rodzaju zwycięstwo.

Bardzo jej było do twarzy z tym zwycięstwem.

– Więc kiedy wyjeżdżasz? – spytał.

– Jutro. Zamierzam zostać na uroczystości, oczywiście. I na wieczornym ognisku. Wszyscy ciężko pracowaliśmy nad przygotowaniami. Mimo że nie jestem już panią zamku, ani nawet nie będę twoją żoną… chcę tu być.

– Ja też chcę, żebyś była.

Chcę, żebyś była tu na zawsze.

Te słowa zatrzymały się na końcu jego języka, ale ich nie wypowiedział. Było za późno. Byłyby bezużyteczne.

Dając mu zamek, odebrała mu jego ostatnią kartę przetargową. Nie miał żadnych ziemskich dóbr ani wpływów, z których już wcześniej nie zrezygnowała.

Inny mężczyzna mógłby zaoferować jej coś z siebie. Może serce. Ciepło uczuć. Może nawet marzenie. Ale Logan zapomniał, jak się marzy, nawet jeżeli kiedyś to umiał.

A kiedy zaglądał do swojego wnętrza, nie widział nic prócz pustki i chłodu.

Podniósł kopertę.

– Dziękuję.

Skinęła głową.

– Zaszczytem było cię poznać, Logan. Mam nadzieję, że zrozumiesz, jeżeli nie będę pisać.

22

Maddie odnalazła niespodziewaną przyjemność w byciu gospodynią. Wydało jej się to łatwiejsze niż bycie gościem. Była zajęta pilnowaniem, żeby nie brakło piwa, czuwaniem nad wynoszeniem dań z kuchni i mogła trzymać się na uboczu i zniknąć na moment, kiedy tłum stawał się dla niej zbyt uciążliwy.

Jednak najbardziej podobało jej się to, że właściwie nie miała czasu myśleć o Loganie. Widziała go przelotnie raz czy dwa. Przywitał ją szorstkim skinieniem, ale nie zatrzymał się, żeby porozmawiać.

Wydawało się całkiem prawdopodobne, że nie będzie już miała okazji z nim porozmawiać przed wyjazdem jutro rano.

Trudno. Zdawało się, że i tak nie zostało już nic do powiedzenia.

Gdy popołudnie dobiegało końca, wszyscy wstali od stołów rozstawionych w holu i z pełnymi brzuchami udali się na najwyższy szczyt nad jeziorem.

Kiedy dzień przechodził w zmierzch, niewielka grupka mieszkańców wioski zebrała się, żeby zapalić ognisko. Zamiast przynieść węgle z czyjegoś pieca, skonstruowali prymitywne urządzenie z patykami – coś na kształt świdra. Po niemal godzinie, kiedy najpotężniejsi i najsilniejsi obsługiwali ją na zmianę, kłąb dymu wydobył się od pocieranego drewna. Jakaś kobieta wybiegła z naręczem suchego mchu i trocin. Odrobina cierpliwego dmuchania – i może trochę przekleństw i modlitwy – i mały

blask zamienił się w płomień. Dzięki wielu dłoniom dokładającym drwa, płomień zamienił się w ogień.

Podawano sobie whisky wraz z kawałkami ciastek owsianych z owocami. Maddie grzecznie odmówiła pierwszego, ale z przyjemnością przyjęła to drugie.

– Niech pani sprawdzi, czy nie jest znaczone – powiedział Rabbie.

– Co masz na myśli?

– Taka tradycja. W jednym z ciastek jest węgiel. Tego, kto na nie trafi, wrzucamy do ogniska. – Puścił do niej oko.

– Co za urocza tradycja. – Obejrzała swoje ciastko. – Nie ma węgla.

– W takim razie dożyje pani następnego Beltane.

Rozległy się głośne, radosne skrzypce, a kiedy podniosła wzrok, zdziwiła się.

– Nie wiedziałam, że Grant umie grać na skrzypach.

– A, tak – powiedział Rabbie. – Miał jedne, zabrał ze sobą na wojnę. Wlókł je przez Pireneje i z powrotem, ale zniszczyły się przy przechodzeniu przez rzekę. Kapitan przywiózł mu te z Inverness któregoś dnia.

Maddie skubała swoje ciastko, bawiąc się w „a kuku” z jasnowłosą dziewczynką, chowającą się za spódnicą matki. Po kilku rundach zabawy dała dziewczynce resztę swojego ciastka, a w zamian dostała nieśmiały, szczerbaty uśmiech. Maddie pomyślała, że to świetny interes.

Raz po raz kątem oka widziała Logana – zwykle rozmawiającego z jakimś farmerem albo którymś ze swoich ludzi, albo nalewającego kolejną whisky.

Nigdy nie napotkali swojego wzroku.

Raz miała wrażenie, że czuje żar jego spojrzenia.

Jednak kiedy się odwróciła, nie było go w zasięgu wzroku. Pomyślała, że tylko jej się zdawało. Nie po raz pierwszy zresztą.

Podeszła do ogniska, owinęła mocno szalem ramiona i przyglądała się parom tańczącym do melodii wygrywanej przez Granta. Sądząc po sposobie, w jaki ustawali się mężczyźni i kobiety, *reel* nie różnił się zbytnio od tradycyjnych angielskich tańców ludowych.

Gdy tancerze ustawili się do nowego tańca, zjawił się przy niej Callum.

– Przyłączy się pani?

– Och, nie – odpowiedziała bez namysłu.

– A. Rozumiem. No trudno.

Rozczarowanie w jego głosie sprawiło, że doznała olśnienia. Tak była pochłonięta martwieniem się o siebie samą, że go nie zrozumiała. Nie pytał jej, czy lubi tańczyć. Prosił ją, żeby zatańczyła.

Z nim.

A ona mu odmówiła jednym słowem i wzruszeniem ramion.

Pięknie, Maddy.

– Callum, zaczekaj! – Wyciągnęła rękę, żeby go złapać, zanim zdąży zniknąć. – Przepraszam. Nie zorientowałam się, że prosisz mnie do tańca.

– To nic. Nie musi się pani tłumaczyć.

– Ale chcę wytłumaczyć. Tak naprawdę czuję się zaszczycona, że zaprosiłeś mnie do tańca. To wiele dla mnie znaczy. Więcej niż myślisz. – Ścisnęła go za rękę. – Dziękuję.

Jego spojrzenie ocieplił uśmiech, a jej rozluźnił się ściśnięty żołądek. Ciężko jej będzie odejść od Logana, ale opuszczenie zamku Lannair do reszty złamie jej serce. Będzie tęsknić za nowymi znajomymi stąd. I to bardzo.

– Problem w tym – powiedziała – że nie umiem tańczyć.

– To żadna sztuka. Kroki nie są trudne.

– Może nie dla większości, ale ja nigdy w życiu nie tańczyłam. Obawiam się, że zupełnie mi to nie wyjdzie.

Podniósł spięty, skrócony rękaw.

– Mnie też nie jest łatwo. Więc jeżeli pani nie będzie wychodzić, przynajmniej będziemy do siebie pasować. Spróbujemy mimo wszystko? Tak dla śmiechu.

Może przez ciepło ogniska. A może po prostu nie była w stanie rozczarować entuzjastycznych oczu Calluma. Możliwe, że jakaś jej mała cząstka miała nadzieję, że może zobaczy ich Logan i będzie zazdrosny.

Ale najprawdopodobniej… miała już dość stania na zimnie.

Rabbie powiedział, że dożyje następnego Beltane.

Ale nie będzie jej już tutaj, na szkockich wzgórzach. Może to jej jedyna okazja, żeby zatańczyć szkockiego *reela*, szkoda by było zmarnować tę noc na nerwy i opory.

Może to była chwila, którą należało się cieszyć.

Moment, żeby po prostu być.

Jakikolwiek był powód, Maddie złapała się na tym, że powiedziała: tak. Na taniec. Po raz pierwszy w życiu.

I nie mogła się nadziwić, dlaczego nie zrobiła tego już wiele lat temu.

Co wcale nie znaczy, że wychodziło jej szczególnie dobrze.

Sam taniec był raczej katastrofą – ale zabawną. Ten *reel*, do którego się przyłączyli, składał się ze sporej ilości obrotów, a kiedy Maddie zaczęła się okręcać, trudno jej było przestać. Gdy dodać do tego fakt, że Callumowi nie najłatwiej było wyciągać rękę i ją łapać, wyglądali razem ni mniej, ni więcej jak raz po raz zderzające się i uciekające od siebie kule bilardowe.

Po chwili Maddie śmiała się tak mocno, że ledwie mogła złapać oddech. Na koniec tańca mieli złapać się za ręce – ale zupełnie się rozminęli.

Ona straciła równowagę i przechyliła się, nie przestając się kręcić i śmiać.

Aż na kogoś wpadła. Na szczęście był to ktoś postawny i silny, kogo nie można było przewrócić.

– O, Boże. Przepraszam, naprawdę. Ja…

Podniosła wzrok. Ścisnęło ją w żołądku.

– O, to ty.

Logan.

– Dobrze się bawisz?

– Tak, dość. Dziękuję, że pytasz.

Nagle była przy nim tak zdenerwowana, jak byłaby, mając szesnaście lat. Co mogła na to poradzić?

Dziś emanowało od niego coś innego. Nie arogancja. Arogancja nie była niczym innym niż fanfaronadą, która miała maskować niepewność. Dziś wyglądał na pewnego siebie. Opiekuńczego. Gotowego przewodzić.

Jak dziedzic, w dobrym tego słowa znaczeniu.

Ubrany w pełny odświętny strój i śnieżnobiałą koszulę, wyglądał, jakby był gotów pozować do ilustracji następnej powieści sir Waltera Scotta.

Taniec dobiegł końca i Callum podszedł do niej.

Posłał Maddie uśmiech.

– Przepraszam, że ją panu ukradłem, kapitanie.

– Nie musisz przepraszać – odpowiedział Logan. – Madeline należy do siebie samej.

– My tylko tańczyliśmy – powiedziała.

– Widziałem.

– Nie za dobrze.

– To też widziałem. – Na jego wargach zagościł uśmieszek.

– Tak. Cóż. Przepraszam, że na ciebie wpadłam. Jest tak ciemno.

Rozejrzała się, desperacko starając się uniknąć jego zdezorientowanego spojrzenia. Nie było innego światła, nigdzie. Ani na zamku, ani na tańcach nad rzeką. Cały świat skurczył się do pomarańczowo-czerwonego blasku ogniska i bezkresnego rozgwieżdżonego nieba nad głowami.

– To tradycja – przyszedł jej z pomocą Callum. – W Beltane gasimy wszystkie światła w każdym domu. Na zakończenie nocy każda rodzina zabierze węgle albo pochodnię i rozpali ogień od ogniska. To nowy początek.

– Nowy początek. Cóż za cudowna idea.

Dzięki temu zrozumiała, dlaczego Loganowi tak bardzo zależało na tym, żeby przejąć ziemię w posiadanie przed świętem Beltane – chciał, żeby jego ludzie i farmerzy wiedzieli, że to nowy początek.

Skłoniło ją to również do zastanowienia się, jacy mogliby być dla siebie z Loganem, gdyby tylko mogli zacząć wszystko od nowa.

Logan był dobrym człowiekiem. Troskliwym, opiekuńczym, inteligentnym, lojalnym. A z zewnątrz tak atrakcyjnym.

Maddie zawsze będzie żałowała, że się z nim nie kochała. Ciocia Thea została przynajmniej należycie zrujnowana przez hrabiego de Montclaire'a. Pióra i tak dalej.

Ale nie było sensu rozmyślać nad tym, co niemożliwe.

Logan jej nie kochał. Nie mógł jej kochać. Jakaś inna kobieta zajęła jego serce wcześniej i zrujnowała go dla innych.

Maddie miała nadzieję, że ta A.D., kimkolwiek i gdziekolwiek była, doceniła w końcu to, co straciła. Miała nadzieję, że codziennie żałuje swojego błędu. Nie potrafiła też sobie odpuścić tego, żeby nie życzyć jej częstych czyraków.

– Co to było? – spytał Logan.

Czyżby odezwała się na głos?

– Och, nic.

Podeszła do nich kobieta w tradycyjnym szkockim stroju. Zaczęła gorączkowo przemawiać do Logana po szkocku, i zanim Maddie zorientowała się, co się dzieje, kobieta położyła jej na rękach niemowlę.

Świetnie. To było właśnie to, czego jej serce w tej chwili nie potrzebowało.

Liczyła na to, że maluch zacznie krzyczeć, posiusia się albo zwymiotuje skwaśniałe mleko. Coś, cokolwiek, co wyzwoli jej domagające się uwagi łono od tych szaleńczych fikołków.

Ale dziecko nie chciało być inne niż całkiem urocze. Było anielskim małym zawiniątkiem na rękach Maddie, w przytulnej flaneli.

W tym czasie matka niemowlęcia podziękowała Loganowi – nawet bez znajomości języka Maddie mogła rozpoznać wyrazy wdzięczności, a Callum przetłumaczył resztę. Młoda kobieta niedawno owdowiała i myślała, że będzie zmuszona do wyjazdu ze Szkocji. Najwyraźniej Logan zatrudnił ją do prania i gotowania dla jego ludzi w czasie, kiedy będą budować swoje nowe domy.

Ona i jej syn będą mogli tu zostać.

Maddie ścisnęło się serce. Wpatrywała się z góry w małe zawiniątko, które kwiliło i machało małymi piąstkami. Coś lśniącego mignęło jej na ubranku dziecka i Maddie przyjrzała się temu.

– Ma przypięty *luckenbooth*. – Pokazała Callumowi. – Ale przecież jest trochę za mały na zaręczyny. I myślałam, że broszki są dla panien.

– Nie jest zaręczony. – Callum połaskotał małego w policzek. – To zwyczaj. Mężczyzna daje broszę swojej żonie w dniu zarękowin, a potem przypina się ją do becika pierworodnego dziecka. Ludzie wierzą, że odpędza zło.

– Ciekawe. Więc to oznacza, że te litery tutaj… – Maddie odszukała palcami maleńkie znaki wygrawerowane na broszy w kształcie serca. – Nie są inicjałami dziecka.

– Nie, nie. To inicjały matki i ojca.

– Rozumiem.

Wpatrywała się w niemowlę na rękach i w to złote serce, które lśniło w blasku ognia.

L.M. i A.D.

Świat zwolnił. Serce zaczęło jej dudnić w uszach.

Kochałeś ją?

Tak.

Bardzo?

Najbardziej jak umiałem. Ale to nie wystarczyło.

Więc od ciebie odeszła.

Mądra kobieta.

Maddie skrzywiła się na to wspomnienie. Och, dobry Boże. Jeżeli jej podejrzenia są prawdziwe…

Owdowiała kobieta przyłączyła się do tańca, a Logan się odsunął. Gdy Maddie podniosła wzrok, ich spojrzenia trafiły na siebie ponad ogniskiem. Jego oczy się zmrużyły, skupione i dociekliwe. Czerwony blask ognia igrał na jego zmarszczonym czole.

Zdawało się, że wie, że coś się odmieniło.

– Callum – odezwała się mimo ściśniętego gardła. – Czy słowo *nah-tray-me* coś dla ciebie znaczy?

Przekrzywił głowę.

– Ma pani na myśli *na tréig mi*? To nie słowo, to wyrażenie.

– Co znaczy?

– Znaczy: nie zostawiaj mnie. Czemu pani pyta?

Próbowała ukryć nagłe wzruszenie w głosie.

– Bez powodu.

Bez powodu. Poza tym, że wszystko w tej chwili stało się jasne, a do mnie dotarło, że byłam skończoną, zupełną idiotką.

– Muszę coś załatwić. Możesz go potrzymać? – Odwróciła się, żeby położyć dziecko Callumowi na rękach.

– Nie, nie. Chwileczkę, ja? – Cofnął się, wymachując kikutem. – Nie utrzymam go na jednej ręce.

– Ależ oczywiście, że utrzymasz. Matki robią to cały czas. – Wsunęła chłopca w zgięcie zdrowej ręki Calluma, upewniając się, że dłoń podtrzymywała dziecko pod pupą. – I już. Kiedyś będziesz tak trzymał swoje własne dziecko.

Wiedziona impulsem pocałowała Calluma i niemowlę w czoło.

Potem odwróciła się, żeby odszukać Logana, wypatrując go w tłumie.

Nie było go.

23

*L*ogan odszedł od ogniska długim, zdecydowanym krokiem.

Jednak najwyraźniej nie szedł dość prędko.

– Logan, zaczekaj!

Nie zwolnił kroku. Nie był w stanie z nią rozmawiać. Nie teraz, kiedy ją zobaczył kołyszącą niemowlę w ramionach i tańczącą z Callumem. Po tym, kiedy czuł jej ciało przy swoim, nawet tylko przez krótką chwilę…

Dokonała wyboru – on także. Mógłby znieść jutrzejsze rozstanie z nią. Ale gdyby dziś wieczorem się znalazła gdzieś blisko niego, z pewnością ją przyciągnie do siebie i zrobi coś, czego oboje będą żałować.

– Wracaj do ogniska – powiedział jej. – Jest za ciemno. W zamku nie palą się żadne światła, które mogłyby ci wskazać drogę. Możesz się o coś potknąć. Poza tym tam mogą być moczary.

– *Na tréig mi.*

Te słowa sprawiły, że się zatrzymał. Serce też na chwilę przestało mu bić.

Starał się mówić spokojnie.

– Uczysz się celtyckiego?

– Uczę się teraz ciebie. W końcu!

Co to, u diabła, znaczyło?

Dogoniła go. W słabym świetle księżyca dostrzegł jednak, że jest rozgniewana.

Doskonale. Tak było bezpieczniej.

– Nie mówiłeś mi prawdy, Logan.

– Nie kłamałem!

– Ale mi pozwoliłeś trwać w fałszywych przypuszczeniach. Ta *luckenbooth* – broszka miłości. Była dla tamtej kobiety, prawda?

– Znów to samo! Przecież ci mówiłem, że ona dla mnie nic nie znaczy. Już nie!

– Teraz kłamiesz. – Podeszła bliżej. – To dziecko, które trzymałam na rękach przy ognisku, miało *luckenbooth* przypiętą do chorągiewki. Callum mi wszystko wyjaśnił. Litery L.M. na broszce nie były twoimi inicjałami, prawda? To były inicjały twojego ojca. Nosisz imię po nim. A litery A.D.… Och, Logan! To litery twojej matki. Jak miała na imię?

Odetchnął powoli.

– Właściwie nie wiem. Byłem za mały, żeby to pamiętać.

– Bardzo mi przykro… Czemu mi nie powiedziałeś prawdy? Nosiłabym tę broszkę z dumą, gdybym wiedziała… A może po prostu sprawia ci przyjemność moja zazdrość?

Zazdrość… To słowo nic dla niego nie znaczyło.

– Dlaczego u diabła miałabyś być zazdrosna?

– Jak to dlaczego? – Wyrzuciła obie ręce w górę. – Bo myślałam, że jakaś piękna szkocka dziewczyna skradła i złamała twoje serce! Jasne, że szalałam z zazdrości! Chciałam mieć cię tylko dla siebie!

– Przecież mówiłem, że ci tego nie mogę dać.

– Tak. Mówiłeś. Ale wtedy też kłamałeś.

Podeszła jeszcze bliżej, żeby dotknąć jego ramienia. Wystarczyło lekkie muśnięcie rękawa jej paluszkami, żeby poczuł przenikający go prąd.

– Wiem, jak bardzo ci zależy na tych ludziach – mówiła. – Wiem, jaki potrafisz być czuły, jaki delikatny i opiekuńczy. Wiem, jak cię do mnie ciągnęło w Inverness. Jak się za mną ująłeś wtedy na balu…

Chwycił ją za ramiona i odepchnął.

– A ja wiem, jaka ty jesteś. Masz zbyt wybujałą wyobraźnię. Za dużo sobie wymyślasz. Kłamiesz sama sobie. Powinienem był pomyśleć, że już

się nauczyłaś nowej lekcji…

Odszedł, ale pobiegła za nim.

– Czy nigdy nie przestaniesz mnie karać? Kiedy kłamałam i pisałam te listy, byłam młoda, głupia i samolubna… myliłam się. Wszystkich oszukałam. Bezwiednie zrobiłam cię współwinnym. To był błąd. Wiem o tym i bardzo mi przy… – Głos się jej załamał. – Nie, nie mogę powiedzieć, że mi przykro! Nie jest mi przykro!

– Jasne, że ci nie jest przykro. Dlaczego by miało być inaczej? Dostałaś zamek i niezależne życie.

Wybiegła przed niego i zagrodziła mu drogę.

– Znalazłam ciebie.

– Zostawiłaś mnie na pewną śmierć.

Tak było. Nasienie jego gniewu, które pulsowało jak otwarta rana.

– Ale nie pierwszy raz byłeś zostawiony na pewną śmierć. Prawda?

Nie odpowiedział. Nie potrafił.

– *Na tréig mi* – szepnęła. – Nie zostawiaj mnie. Wiesz, że to mówiłeś we śnie?

– Ja nie…

– Ależ tak. *Na tréig mi*, *na tréig mi.* I tak w kółko. – Nagle się uderzyła w czoło. – Nie wiem, jak mogłam tego dotąd nie widzieć! To wszystko wyjaśnia. Matka owinęła cię w pled i przypięła do niego *luckenbooth*, żeby odegnać od ciebie zło… a potem cię porzuciła.

– Tak. Tak, no i co z tego? Dokładnie tak zrobiła; to było na wzgórzu, podobnym do tego, na którym teraz stoimy.

– To znaczy, że nie byłeś wtedy niemowlęciem. Byłeś już na tyle duży, że to pamiętasz. – Objęła się ramionami. – Och, Logan! To, co mówiłam… że musiała być sprytna, skoro cię zostawiła… musisz wiedzieć, że wcale tak nie myślałam. Przepraszam cię bardzo. Przepraszam za to, co się zdarzyło.

– Przepraszasz za to, co się zdarzyło? Nie przepraszaj za to! Przepraszaj za to, co zrobiłaś.

– Co ja takiego zrobiłam?

Cofnął się, nabrał tchu i powoli spacerował w kółko. Był teraz zły. Nie tylko na nią. Ale jednak trochę i na nią. Był zły na Madeline Gracechurch od bardzo, bardzo dawna. A od momentu, kiedy go poprosiła, miał zamiar jej to dać.

Tutaj, w ciemności.

– Chcesz usłyszeć coś bardzo zabawnego?

– Nie przypuszczam, że to żart w rodzaju „Piszcz głośniej, dziewczyno, piszcz głośniej”.

– O nie, o wiele lepszy. Kiedy otrzymałem twój pierwszy list, nie byłem kapitanem. Byłem szeregowcem. Najniższa ranga w wojsku. Nieciekawym, niezdyscyplinowanym. Za biednym, żeby go było stać na buty. I oto przychodzi list do kapitana Logana MacKenzie. To chyba żart. Wszyscy kpią, że musiałem sobie przed pójściem do wojska przygruchać jakąś dziewczynę, robiąc z siebie kogoś ważnego. – Przegarnął palcami włosy. – Wkrótce wszyscy już mnie przezywali „kapitanem”, gdziekolwiek się obróciłem. Sierżant nawet mnie za to wybił.

– A ty o to oskarżyłeś mnie.

– Oczywiście, że ciebie. A kogo? Czytałem twoje listy. Wiedziałem, że to tylko wymysły rozpuszczonej angielskiej debiutantki, bez powodzenia w jej pierwszym sezonie. Ale listy przychodziły w dalszym ciągu. I drwiny także. Po jakimś czasie zacząłem się zastanawiać… czemu nie miałbym być tym kapitanem? Wtedy im wszystkim pokażę!

– To do ciebie podobne. Ambitny. Zdeterminowany.

Parsknął.

– Bzdura. Masz w ogóle pojęcie, co to za głupie wyobrażenie dla rekruta, szeregowca bez grosza, a tym bardziej bez żadnych kontaktów, żeby w ogóle marzyć o byciu kapitanem?

– Ale ty to zrobiłeś.

– No! Zrobiłem. Zajęło mi to cztery lata, ale to zrobiłem: jednocześnie awans i promocja po bitwie. W końcu adres na kopercie stał się prawdziwy. Kpiny kolegów zastąpił szacunek. A treść listów… ona się też zmieniła. Były… lepsze. Pełne troski. Cholernie dziwne, ale pełne troski. Przysyłałaś mi wiadomości o małym Henrym i Emmie. Te dzieci codziennie się za mnie modliły, jakbym należał do rodziny. Nie możesz tego zrozumieć, Maddie. Spędziłem młodość w oborach albo na gołej ziemi, skulony pod starym postrzępionym pledem. Nigdy tego nie miałem. Nigdy, przez całe życie. Czułem się jak głupek. Ale i ja się zacząłem modlić… za te dzieci.

– Logan…

– No, i jeszcze byłaś ty. Ta dziwna, słodka kobieta, która nie rozpoznałaby mnie na ulicy, ale która mi mówiła wszystkie swoje sekrety – i zrobiła ze mnie kogoś więcej, niż ja mógłbym z siebie zrobić. Kogoś, kto marzy o mnie, kto chce mnie wziąć w ramiona. To było jak… – głos mu się załamał. – To było, jakbym ciągnął za luźną nitkę tartanu Boga, a gdzieś daleko ktoś ją do siebie przyciągał. To, co pisałaś, dla ciebie było bardziej kłamliwe i głupie niż dla mnie. Twoje listy dawały mi marzenia, jakich sobie nawet nie mogłem wyobrazić. Dawały mi życie. A wtedy mnie zostawiłaś na pewną śmierć.

Maddie przycisnęła dłoń do ust.

– Logan, przepraszam! Zależało mi na tobie. To, co ty czułeś… czułam także i ja. Inaczej nigdy nie pisałabym tych listów tak długo. Wiedziałam, że to w jakimś sensie prawda.

– Nie gadaj tego! – Złapał ją za ramiona i lekko potrząsnął. – Nie gadaj mi, że byłem dla ciebie kimś prawdziwym, a potem sobie poszłaś i nawet o mnie nie pomyślałaś. To jeszcze gorzej.

– Więc mi powiedz, co mam powiedzieć, żeby było lepiej.

– To nie ma sensu. – Potrząsnął głową. – Nic nie możesz powiedzieć.

Dotknęła ręką jego policzka.

– Nawet tego, że cię kocham?

Aż się zatoczył. Nie chciał na nią spojrzeć.

– Nie. Nie chcę tego słuchać.

– W porządku, ale ja chcę ci to powiedzieć. Teraz, kiedy już nie masz żadnych zobowiązań. Kiedy nie wisi nade mną żadne niebezpieczeństwo. Kiedy nie trzeba strzec żadnych kłamstw. Kocham cię, Logan. Jakoś… to się zaczęło, zanim cię poznałam.

– To zupełnie nie ma sensu.

– Wiem, że nie ma – uśmiechnęła się. – Ale to prawda.

– Nie. – Objął rękami jej twarz i mocno trzymał. – To nieprawda, i wiesz o tym. Mam już dosyć fałszerstw!

– Kocham cię, Logan. To nie jest kłamstwo.

Zacisnął szczęki.

– Takie słowa to zawsze kłamstwo.

Możliwe, że takie słowa nie były kłamstwem dla wszystkich. Ale kiedy ktoś je mówił jemu – zawsze. Każdy, kto kiedykolwiek przysięgał mu miłość, potem go porzucał. Wypierał się go. Skazywał na śmierć.

Ona też nie była inna. Fałszywie przypisała mu śmierć na polu bitwy, a kiedy na siłę pojawił się w jej życiu, znalazła inną drogę, żeby mu się wyrwać z uścisku.

Teraz była gotowa do odjazdu. Planowała go opuścić nazajutrz rano.

A teraz się odważa gonić za nim i mówić mu takie rzeczy?

Schylił głowę i oparł brew na jej czole.

– Przestań.

– Myślisz, że nie próbowałam? Przede wszystkim bardzo się starałam nawet nie zaczynać! Niestety, wszystkie strategie zawiodły. – Przesunęła czubkami palców po jego szczęce. – Nic na to nie mogę poradzić. I nie mogę się już temu sprzeciwiać. Kocham cię. Czy coś z tego będzie, czy nie – chcę, żebyś wiedział.

Nie powinien brać tych słów do serca. Nie powinien im wierzyć!

Mógł ich jednak użyć na swoją korzyść.

Delikatnie ucałowała go w usta. Potem w policzek. A potem w skroń.

– Pamiętasz tę pierwszą noc, kiedy się kochaliśmy? – wyszeptała, obejmując ramieniem jego talię. – W Beltane. Wszyscy się zebrali przy ognisku, a my się cicho wymknęliśmy…

– Noo… – To było jak jęk. Czuł, że się poddaje jej słodkiemu żarowi. – Pamiętam.

– Przypomnij mi, co było potem? Czy rozłożyliśmy na wrzosowisku twój pled i kochaliśmy się pod gwiazdami?

Potrząsnął głową, dotykając jej szyi.

– No, prawie. To była prawdziwa pokusa. Ale ja chciałem, żeby ten nasz pierwszy raz był porządny, w łóżku.

– Och, prawda. Teraz sobie przypominam.

Patrzyła wyczekująco.

Dosyć tego droczenia się. Chciał wiedzieć.

Zaczął mówić poważnie. Trzymając w dłoniach jej twarz, potrząsnął nią lekko, żeby posłuchała.

– Słuchaj no. Jeżeli tego nie chcesz, powiedz teraz. Wiem, że jesteś ciekawa. Wiem, że masz rozmaite… no, chęci. No, i trochę poszukiwań za sobą… nie ma się czego wstydzić. Ale nic takiego się nie zdarzy, jeżeli to zrobimy dziś wieczorem.

Rozchyliła wargi, ale nic nie powiedziała.

– Chcę, żebyś była moja, *mo chridhe.* Dotykać ciebie. Smakować ciebie. Uczyć się ciebie całej. Kiedy już cię tak będę miał, nie pozwolę ci odejść. Nigdy.

W odpowiedzi usłyszał tylko:

– Dobrze.

Bardzo dobrze. Próbował ją ostrzec. Dał jej szansę wycofania się. Prosiła o to.

Zrobił to, czym groził od ich pierwszej nocy. Podniósł ją i przerzucił przez ramię jak worek owsa.

I zaniósł swoją kobietę do domu.

Do łóżka.

Kobiecie, zwisającej aktualnie z ramienia Szkota, z włosami i stopami bujającymi się na nocnym wietrze, mogło się wydawać dziwne uznanie takiej chwili za tryumf jakiegokolwiek rodzaju.

Tak w tym momencie przypuszczała Maddie. A jednak równocześnie czuła się zwycięzcą.

W końcu zdobywała teraz mężczyznę swoich marzeń, w dodatku na jej własnych warunkach. A także mimo tego, że ten jej szkocki kochanek naumyślnie się jej przedstawiał jako bezwstydny kłamca.

Ale dzisiejsza noc miała być *verra*, bardzo, bardzo dobra.

W zamku panowała absolutna ciemność. Wszystkie ognie już dawno wygaszono. Dopóki byli na zewnątrz, pomagało im światło księżyca, potem jednak Logan musiał swój słodki ciężar postawić na ziemi. Zgarnęli ze stołu w wejściowym holu krzesiwo i świecę, którą się im w końcu, po krótkiej chwili przekleństw i szperania po ciemku – udało zapalić.

Słaby żółty płomyk zajaśniał jak obietnica… Nowy płomień. Nowy początek. Przeszłość przestała się liczyć. Teraz była już tylko przyszłość.

I ta przyszłość była przed nimi na wyciągnięcie ręki.

Maddie wstawiła świecę w lichtarz i razem weszli po schodach do jej sypialni.

Do ich sypialni.

Serce Maddie biło silniej z każdym krokiem. Zamknęła za nimi drzwi i przekręciła klucz.

I w tym momencie poczuła się przyciśnięta do drzwi.

Zamknął ją, jak w klatce, w swoich ramionach, po czym okręcił jej rozpuszczone włosy dookoła pięści i przyciągnął. Jego usta, gorące i zgłodniałe, przywarły do jej szyi.

Aż krzyknęła ze słodkiego zdumienia. Jego język przesunął się po jej szyi do ucha…

Kolana się pod nią ugięły.

Przyciskał jej ręce do drzwi.

Pochyliła się naprzód, jak złamana gałąź, a on pokrywał każdy centymetr jej szyi pocałunkami. Na całym ciele miała gęsią skórkę… jej dreszcze kontrastowały z gorącem jego warg.

Wkrótce jej całe ciało aż płonęło. Piersi pod gorsetem stwardniały, a pomiędzy udami poczuła jakiś dziwny ból.

Aż przygryzła wargę, starając się nie krzyknąć. Ale kiedy objął ręką jej pierś, nie wytrzymała. Jęczała z rozkoszy, tracąc resztki przytomności.

Ten dźwięk zdawał się mu dodawać odwagi. Odpowiedział cichym pomrukiem.

Jego wolna ręka objęła jej talię; przycisnął ją bliżej. Poczuła na pośladkach jego twardą męskość, wyczuwalną nawet przez warstwy koszulki, gorsetu, sukni i grubego kiltu.

Całował teraz jej ucho, lekko przygryzając płatek. Palcami znalazł jej sutek… tortura, ale jak znakomita!

– Logan… proszę!

Próbowała się odwrócić do niego twarzą, ale jej przeszkodził.

– Jeszcze nie teraz.

– A… kiedy?

– Zaraz, *mo chridhe.* Zaraz.

Zaczął rozpinać jej suknię. Klął przy tym, ale w końcu mu się udało. Te przekleństwa dały jej do zrozumienia, że bynajmniej nie był tak zrównoważony i kontrolujący się, jak chciał się jej przedstawić.

Był równie spragniony jak ona. A może nawet niepewny…

Zdesperowany.

Kiedy już porozpinał wszystkie haftki i guziczki na tyle, żeby zsunąć jej suknię tak, że opadła na talię, odwrócił Maddie twarzą do siebie, znów

oparł o drzwi i władczo ucałował w usta. Ściągał z niej przy tym suknię i gorset. Pomagała mu, podnosząc w górę ręce, które mu następnie zarzuciła na szyję.

Zaczął pieścić jej piersi, podnosić je, gnieść… Przy pocałunkach wczepiła mu się rękami we włosy. Czuła w jego ustach zapach whisky i jego własną, nieuchwytną słodycz, którą pewnie ukrywał przed światem, ale teraz Maddie już wiedziała, jak ją wydobyć.

Smakowała ją teraz chciwie.

Zaczęła niecierpliwie wyciągać mu zza paska koszulę; kiedy już miała w palcach jej dolny brzeg, zdołała mu ją przerzucić przez głowę i odrzucić na bok.

Wtedy pierwszy raz ich nagie torsy się zetknęły. Wrażenie było niesamowite. Skóra przy skórze. Gorąco przy innym gorącu. Jego twarde mięśnie przy jej miękkości. Owłosiona pierś drażniła jej sutki.

A jego serce biło… przy jej sercu.

– Podnieś spódnice – mruknął, całując jej szyję.

Wielkie nieba!

Gdyby miała wybierać dwa słowa, jakie by chciała usłyszeć z jego ust, wybrałaby pewnie: „Kocham cię”. Musiała jednak przyznać, że: „Podnieś spódnice”, zabrzmiało całkiem kusząco.

Usłuchała: uniosła zwoje jedwabiu aż nad kolana.

Wtedy ją podniósł wysoko i przegiął tak, że jego uda znalazły się pomiędzy jej nogami w pończochach.

Roześmiała się krótko, a kiedy objął ustami jej sutek, jej śmiech przeszedł w westchnienie.

Szorstkie drzwi drapały jej nagie plecy, ale było jej wszystko jedno. Jego wargi i język wyczyniały teraz cuda z jej piersiami, a twarda męskość była dokładnie tam, gdzie ją chciała mieć. Ocierał się o nią. Głowa Maddie opadła w bok na jego ramię.

W końcu ją wziął na ręce i skierował się w stronę łóżka.

– Bądź ostrożny – szeptała, nadal jęcząc z rozkoszy. – Jest tak ciemno. Byłoby szkoda, gdybyś…

Bum.

Uderzył głową o wystającą ramę łóżka.

Zaklął. Oboje równocześnie upadli na materac. Maddie się podniosła, by zobaczyć, czy nie jest ranny. Palcami sprawdzała jego czaszkę.

– Nic ci nie jest? Nie krwawisz? Może powinniśmy przerwać…?

Nie od razu odpowiedział.

Znów pogłaskała jego głowę.

– Logan?

– Nic mi nie jest, *mo chridhe.* Walnąłbym się chętnie tak samo w głowę wtedy… gdybym wiedział, że mnie będziesz potem tak dotykała. – Ujął jej rękę i przycisnął do ust, całując końce palców.

Potem dłoń.

A w końcu to czułe miejsce wokół nadgarstka.

Od tego momentu wszystko pomiędzy nimi było trochę mniej drapieżne, ale za to o wiele bardziej czułe. Kiedy jej zsuwał pończochy i pomagał zdjąć halkę, czuła się, jakby była czymś drogocennym.

Czuła się kochana.

Kiedy już była naga, ułożył ją płasko na łóżku i zaczął wszędzie pieścić: jego ręce przesuwały się po jej piersiach, nogach, udach, brzuchu…

A jej własne palce aż ją świerzbiły, czekając na swoją kolej. Tak bardzo chciała go dotykać…

Podczas ich poprzednich spotkań Logan się bardzo kontrolował. To on decydował, kiedy i gdzie ją dotykać. A nawet – kiedy i gdzie ona miała dotykać siebie. Tym razem Maddie zdecydowała, że będzie równą partnerką. Nie pozwoli się odsunąć na drugi plan. Wiedziała, czego chce.

Sięgnęła wprost po jego kilt.

Pomógł jej go rozpiąć z przodu i ciężkie fałdy kiltu opadły. Odsunęła materiał na bok i z pasją sięgnęła po jego męskość.

Nie musiała długo szukać.

Członek właściwie jej wskoczył do ręki; ścisnęła mocno twarde, gorące ciało. Zaczęła je pieścić, przesuwając dłoń w górę i w dół, tak samo, jak on to robił tamtej nocy… jęknął z rozkoszy. Ta skóra była gładsza, niż sobie wyobrażała, była jak aksamit. Kciukiem przesunęła po szerokiej, gładkiej koronie, po czym zaczęła badać gruby korzeń i wrażliwy worek pod nim.

Zaczynała się już dobrze bawić, kiedy Logan odsunął jej rękę.

– Dosyć tego, *mo chridhe*. Inaczej, zanim zaczniemy, będzie po wszystkim.

– Ale…

– Potem. – Położył jej ręce po obu stronach ciała na łóżku. – Nie mogę ryzykować, że mnie tego pozbawisz. Za długo czekałem. – Zaczął znów całować jej szyję. – Tyle dni… tygodni… lat!

Trzymając jej ramiona na materacu, lizał i całował jej ciało, coraz niżej i niżej. Kiedy dotarł do pępka, zatrzymał się.

– Chcę czuć twój smak, *mo chridhe*. Staraj się mnie nie kopnąć w głowę…

Mimo ostrzeżenia jej biodra się uniosły, kiedy zaczął lizać to najbardziej intymne miejsce.

Był cudowny.

Verra, *verra*, *verra* dobry. Czuł, jak się wiła pod nim. Językiem badał każdą fałdkę, każde zagłębienie, okrążając pączek, po czym wsunął język głęboko.

– Logan, proszę… Jestem za blisko…

Nie miał zamiaru przerywać. Ani zauważać jej błagań. Przeciwnie – podwoił starania, liżąc ją aż do momentu nagłego, dzikiego szczytowania.

– To nie w porządku – wydęła usta, ciężko dysząc. – Nie pozwoliłeś mi nawet cię dotknąć.

Puścił jej ręce i siadł na piętach.

– Tak lepiej. Łatwiej ci będzie się ze mną złączyć, kiedy już będziesz zaspokojona. – Pogładził jej policzek. – Nie chcę, żeby cię bolało.

Kiedy się ułożył między jej udami, objęła rękoma jego nagie barki, radując się ich siłą.

– Gotowa? – spytał.

– Tak.

Tak.

Ale kiedy wszedł w nią, bolało. Maddie musiała zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć. Wsuwał się coraz głębiej, cierpliwie, a ona poczuła, jak jej ciało stopniowo się do tego dostosowuje…

Kiedy w końcu był w niej w pełni, nie poruszał się przez długą chwilę; ich ciała zaczęły się odprężać.

– Dobrze? – spytał.

Kiwnęła głową.

Ostrożnie się cofnął, po czym pchnął znowu; oboje jęknęli.

– Ciasna jesteś – mruknął.

– A może to raczej ty jesteś za duży… – rzekła. – Ale się nie przejmuj. Jest dobrze.

Zaczął powoli.

Ale już po chwili przyspieszył. Jego pchnięcia stawały się coraz szybsze i intensywniejsze.

Siła jego namiętności odbierała jej oddech, ale za nic nie chciała, żeby przerwał. Kochała to, jak bardzo jej pragnął, jak rozpaczliwie jego ciało pragnęło jej ciała!

Zaczął mamrotać słowa, których nie mogła zrozumieć. Słodkie obietnice po celtycku… przynajmniej tak myślała. Chociaż nie rozumiała słów, ton był niewątpliwy. Pełen pasji. Usłyszała też coś, co już jej było znane:

Maddie.

Mo chridhe.

Na tréig mi.

Objęła nogami jego biodra i przywarła do jego ramion, tuląc jak najmocniej. Wtedy doszedł do punktu, w którym już słów nie było. Objął ją i przycisnął do siebie. Czuła go w sobie tak, jakby był wszędzie.

Po kilku ostatnich ruchach zadygotał i jęknął. Ukrył twarz na jej szyi. Leżeli tak oboje, z trudem oddychając.

Nigdy tak mocno nie czuła własnego serca!

O wiele za wcześnie usłyszała jednak odgłosy z parteru. Służba i inni wracali z ogniska.

– Chyba powinnam do nich zejść… – Zaczęła się podnosić z łóżka.

– Nie, nie! Dokąd się wybierasz, Panno Pospieszalska? – Złapał ją za ramię.

Roześmiała się, padając z powrotem na łóżko.

– Jak mnie nazwałeś?

– Chyba… – Odwrócił się do niej twarzą. – Nazwałem cię moją żoną.

– Więc teraz już jesteśmy małżeństwem?

– Oczywiście.

Uniósł brew.

Jesteś *verra*, *verra*, *verra* pewna?

– Właśnie skonsumowaliśmy nasz związek, Maddie. Ostrzegałem cię… Nie możesz mnie prosić, żebym ci pozwolił odejść.

– Och, Logan! Nie proszę cię. Chcę zostać twoją żoną. Chcę tego bardziej niż czegokolwiek. Żartowałam, kiedy cię pytałam, czy jesteś pewien. – Odsunęła mu włosy z czoła. – Przepraszam.

Nadal był zachmurzony.

Przytuliła się do jego nagiej piersi.

– Wierz mi, chcę być tu i tylko tu! Z tobą.

Ludzie na dole chyba sobie zaczęli dawać radę.

Ucałowała go w podbródek, potem przesunęła językiem po jego szyi, chcąc, żeby się odprężył.

Było z jej strony nierozsądne kuszenie go w ten sposób, wiedząc, że ona zna jego dzieciństwo. Miną miesiące, a może i lata, zanim miną koszmary i Logan przestanie się martwić, że ona go porzuci w chwili, kiedy jej da taką szansę.

Jutro zacznie szukać innych sposobów, żeby go przekonać.

Miała nadzieję, że pocałunki były dobrym początkiem.

24

Kiedy Logan obudził się rano, był sam. Przeżył chwilę zmętniającej wzrok, niedorzecznej paniki – dopóki nie znalazł kartki na poduszce obok.

Najdroższy Kapitanie Śpiochu,

Wybacz mi. Nie chciałam ci zakłócać dobrze zasłużonego odpoczynku. Kiedy się obudzisz, śniadanie będzie czekało na ciebie na dole.

Twoja kochająca żona

Włożył koszulę, luźne spodnie i z bezwstydnym uśmiechem zszedł powoli do holu. Jego ludzie siedzieli przy długim stole.

Odchrząknął.

– Dzień dobry.

Wszyscy zwrócili się w jego stronę i przez chwilę patrzyli w milczeniu. Następnie wszyscy jak jeden mąż wstali i krzyknęli spontanicznie:

– Hurra!

– Nareszcie!

– Kłaniamy się!

Logan machał ręką na te żarty, ale sam nie potrafił powstrzymać radości. Wiedział, że dla nich to też był rodzaj punktu zwrotnego.

Lannair było teraz prawdziwym domem. Dla nich wszystkich. Było co świętować.

Teraz jakby z nowymi perspektywami rozglądał się po wysokim holu: zauważał każde pęknięcie na tynku, które wymagało zaklejenia, każdy

fragment boazerii, dotknięty zębem czasu. Jego ludzie już się zajmowali urządzaniem własnych domków. Jeżeli zacznie dzisiaj, mógłby wkrótce zmienić ten zamek w prawdziwy dom.

I na pewno będzie coś musiał zrobić ze schodami, zanim się tu pojawią małe pociechy…

Na samą myśl o ojcostwie aż poczuł mdłości… w najlepszym i najgorszym znaczeniu tego słowa.

– Dużo ci to czasu zajęło, ale mam nadzieję, że było warto czekać! – Rabbie podszedł i klepnął Logana po ramieniu. – Dobra robota, kapitanie! I ani o minutę za wcześnie. Po zeszłej nocy Callum już ma na oku jedną z tutejszych wieśniaczek. Teraz już się będzie mógł zacząć zalecać.

Callum poczerwieniał.

– Ja się tam nie zalecam do nikogo!

– Akurat! Widziałem, jak robiłeś do niej maślane oczy! Daję ci tydzień…

Logan znosił te żarty, ale nie potrafił opanować dręczącego go niepokoju.

– Widzieliście już moją żonę? – spytał w końcu.

– Pani MacKenzie jest w kuchni – powiadomił go Munro i mrugnął, po czym znów się zajął planami.

W kuchni?

Logan rozbawiony zszedł do sutereny, gdzie się mieściła stara kuchnia zamkowa o wysokim suficie i z wielkim paleniskiem.

Jeszcze zanim tam wszedł, poczuł znany zapach: ostry, z metalicznym posmakiem. Kiedy wszedł do środka, ujrzał widok mrożący krew w żyłach.

Po środku kuchni stała Maddie z zafrasowaną miną, w fartuchu umazanym krwią.

– Dobry Boże! Maddie, czy ty…

– Nic mi nie jest! – zapewniła szybko. – To nie moja krew. Mnie nic nie jest.

– Co tu się, u diabła, dzieje? Czy kogoś zamordowali?

– Nie. – Nadgarstkiem otarła brwi, potem dmuchnięciem odsunęła z czoła niesforny loczek. – Przygotowuję *haggis.* Grant mi pomaga.

Wskazała głową kąt, w którym siedział potężny mężczyzna, siekając cebulę i coś mamrocząc do siebie.

Po chwili oszołomienia Logan wybuchnął śmiechem. Co ona robi? Przygotowuje *haggis*? To chyba najbardziej urocze wyznanie na świecie!

– Och, wiem, to chyba najbardziej absurdalna rzecz, jaką zrobiłam. Ale dałam dziś wolne kucharce i Becky, dosyć się wczoraj napracowały. Znalazłam książkę z przepisami i pomyślałam, że to potrafię zrobić; bo ciotka dziś rano wyjechała.

– Ciotka Thea wyjechała?

Skinęła głową.

– Powóz był już przygotowany i zapakowany, więc jej poleciłam jechać. Ma przekazać wiadomość o naszym ślubie mojemu ojcu i zaprosić wszystkich na uroczystość pod koniec lata. Naprawdę od bardzo dawna byliśmy rozdzieleni, a teraz nie ma już takiej potrzeby. Nie mogę się doczekać, kiedy Emma i Harry cię poznają.

Logan też był tego zdania.

Umazanym na czerwono palcem przesunęła po karcie w książce kucharskiej.

– Masz w ogóle pojęcie, co w tym jest?

Kiwnął głową.

– Serce owcy, płuca, wątroba, a to wszystko zaszyte w owczym żołądku… i jeszcze owies, no, i trochę sosu.

Spojrzała niewyraźnie.

– A ty mimo to to jesz…

– Kiedy tylko mi się uda to zdobyć. – Zajrzał do garnka z pełnym grud, zbrylonym *haggis.* – To wygląda nawet nieźle.

– Naprawdę?

– No, to teraz zajrzyjmy do twoich *tatties.*

Zaczerwieniła się i zasłoniła rękami piersi.

– Jak to? Teraz? Tutaj?

– Oj, nie o tym mówię. Twoje *tatties.* Ziemniaki, *mo chridhe.*

– Och… – przygryzła wargę. – Myślałam tylko, że trochę za wcześnie rano na to wszystko.

Kiedy szukała ziemniaków, jeden jej się wyślizgnął z palców i omal nie uderzył Logana w głowę. Uratował go jedynie szybki refleks.

– Och! Przepraszam!

– Może lepiej wyjdziesz z tej kuchni, zanim kogoś skaleczysz. – Rozwiązał jej fartuch i ściągnął z niej przez głowę. Następnie umoczył czysty ręcznik w wodzie i wytarł do czysta jej ręce, palec po palcu. – Nie mogę sobie wyobrazić, co cię opętało, żeby się do tego zabierać dzisiaj rano!

– Nie możesz? – Spojrzała na niego ze złowieszczym uśmiechem. – Byłam taka przejęta tym, że jestem panią MacKenzie. Tak się chciałam wcielić w tę rolę! Ale teraz już nie wiem, czy kiedykolwiek będę taką prawdziwą, szkocką żoną.

Logan objął dłonią jej policzek. Już jej miał powiedzieć, że jest jedyną żoną, jakiej kiedykolwiek chciał, porządną szkocką, albo nie. Słowa jednak mu uwięzły w gardle na tak długo, że jakiś gwałtowny huk je udaremnił.

Bang!

Maddie lekko krzyknęła ze strachu i przylgnęła do niego.

– Uspokój się, *mo chridhe.* To tylko *haggis* wybuchł.

– Zrobiłam wybuchowy *haggis*? O Boże!

Zajrzał do garnka i aż syknął, widząc pęknięty żołądek… i całą potrawę zniszczoną.

– Przed włożeniem do garnka powinnaś go była nakłuć tym…

W obszernej kuchni rozległ się nagle dziki ryk. Logan upuścił pokrywę i odwrócił się.

Jezu…

Grant zerwał się z miejsca, w którym dotychczas siekał cebulę. Wybuch musiał go wystraszyć. Spoglądał teraz bardziej dziko i strasznie. Takim Logan go nie widział od miesięcy.

Ale jedna rzecz była teraz inna.

Tym razem Grant trzymał przy sobie Maddie. Objął ją w pasie jedną ręką, a drugą przykładał jej do gardła nóż kuchenny.

– Gdzie my jesteśmy? – pytał. – Co się stało? Co to za miejsce? Gdzie moje dzieciaki?

Logan uchwycił spojrzenie Maddie.

– Nic mi nie jest – powiedziała spokojnie. – Nie boję się. On mi nie chce zrobić nic złego. Tylko się przestraszył.

Chciałby być tego tak pewien jak ona! Przy tej eksplozji i woni krwi wiszącej w powietrzu mógł sobie tylko wyobrazić, w jakich piekielnych miejscach znajdował się w tej chwili umysł Granta; za jakiego nieprzyjaciela uznał w tej chwili Maddie!

– Spokojnie, Grant – powiedział. – Jesteś w domu, w Szkocji. Wojna już się skończyła.

– Nie! – Grant trząsł głową. – Nie, nie, nie! Nie gadaj mi tak, kapitanie. Już nie. Codziennie to samo. Mówisz: jutro jedziemy do Ross-shire. Zawsze jutro! Nigdy dzisiaj!

Logan zdusił przekleństwo. Ile czasu już próbował poskładać Grantowi jego rozsypane klepki!

– Spokojnie, *mo charaid.* Uspokójmy się i siądźmy przy stole z kielichem…

– Chcę wiedzieć! Teraz! – wrzeszczał Grant, dotykając ostrzem noża gardła Maddie. – Masz mi powiedzieć prawdę, MacKenzie!

– Po pierwsze zostaw tę dziewczynę. Nic nie wie. – Logan podszedł bliżej i podniósł ręce. – Powiem ci prawdę, ale masz ją puścić.

Grant nadal trząsł głową, mocno trzymając Maddie w uścisku.

– Gdzie one są? Chcę moje dzieci! Moją rodzinę. Chcę prawdy!

– Powiedz mu – szepnęła. – Proszę.

Logan wbił stalowe spojrzenie w przyjaciela.

– Nie żyją. Wszyscy nie żyją.

– To kłamstwo.

– Nie. Byliśmy tam razem wiele miesięcy temu. Maluchy umarły na tyfus już dobry rok temu. To, co zostało ze wsi, wywieziono. Domy były spalone, a tych, co przeżyli, wysłano do Kanady. Ich statek zatonął podczas sztormu. Nic nie zostało.

– Nie. – Grant przyciskał nóż do gardła Maddie. – Nie, opowiadasz mi bzdury. Pamiętałbym to.

– Widziałeś ich groby, *mo charaid.* Obok starego kościoła, pod jarzębiną. Modliłeś się i płakałeś, a ja stałem obok ciebie.

Ból wykrzywił Grantowi twarz. Ten olbrzym teraz szlochał; puścił Maddie.

Logan tylko spojrzał.

– Idź. Już!

Przesunęła się pod ramieniem Granta i ukryła w kącie.

Zanim zdołał ją schwytać, Logan zagrodził mu drogę.

– To na mnie się gniewasz. Uderz mnie tym nożem!

Olbrzym wydał nieludzki ryk i ruszył na niego; nóż przeciął powietrze. Logan się schylił szybko, żeby uniknąć ciosu, jednak tuż przy uchu usłyszał świst stali.

– Logan! – krzyknęła.

W tym momencie Grant ruszył w innym kierunku. Logan wskoczył na stół i stanął pomiędzy nimi. Krążyli tak, Grant nacierał, Logan się cofał.

– Madeline, wyjdź z kuchni. – Logan się starał mówić spokojnie.

– Nie.

– Powiedziałem, odejdź, Madeline!

– Nie zostawię cię z nim samego. Mowy nie ma. – Kątem oka dostrzegł, jak sięga po wielki drewniany kij i podnosi go w górę. Potem znów skupił

uwagę na Grancie.

Nieszczęsny żołnierz drżącą ręką celował w niego nożem.

– Co się ze mną porobiło, kapitanie? Nie mogę się połapać w dniach, prześlizgują mi się przez palce. Ostatnie, co pamiętam, to bitwę.

– Moździerz w Quatre Bras.

– W głowie mi dzwoniło. Dalej dzwoni. Cały czas to dzwonienie! Krew. – Ścisnął dłońmi skronie. – Mówiłem ci, żebyś mnie zostawił. Powinieneś był mnie zostawić.

– Ja…

– Powinieneś mnie był zostawić, żebym tam umarł! Byłbym teraz z nimi, a nie w tym piekle! Tu, gdzie ciągle czuję, jak umierają! To twoja wina.

– Nie mogłem cię zostawić, *mo charaid.* Jesteśmy braćmi. *Kin*. *Muinntir.* Jeden drugiego nie zostawia.

Głos Granta przeszedł w ryk.

– Mówiłem! Mówiłem, żebyś mnie zostawił! Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Wolną ręką podniósł krótszy koniec stołu i przewrócił go, po czym rzucił się do przodu. Logan, zmieciony impetem, został przyciśnięty do kamiennej ściany. Poczuł gwałtowne gorąco ostrza tnącego jego ciało, ale nie mógł sobie pozwolić na upadek. Zebrał wszystkie siły, chwycił Granta za ramiona i pchnął w tył.

Olbrzym się potknął o sterczącą nogę przewróconego stołu i obaj upadli na podłogę. Teraz Logan miał przewagę. Usiadł okrakiem na piersi Granta i przycisnął mu ramiona do ziemi. Trzymał go, aż ten ucichł.

– Oddychaj, *mo charaid.* Po prostu oddychaj.

Trzymał tak przyjaciela nieruchomo, aż oczy olbrzyma przesłoniła chmura.

Wtedy – jak to już było tysiąc razy od wybuchu moździerza – Grant powoli zaczął wracać do życia.

– Co się stało, kapitanie? Gdzie jesteśmy?

Logana zalała prawdziwa fala ulgi.

– Wojna się skończyła, Grant. Jesteśmy w domu, w Szkocji. Bezpieczni.

– Och, dobrze… pięknie… *bonny.*

– No. Tak jest.

Logan, ciężko dysząc, odsunął się. Kiedy się podnosił, skrzywił się z bólu w piersi. Pewnie złamał sobie kilka żeber, kiedy Grant go przyciskał do ściany…

Odwrócił się, szukając Maddie. Była tam; jeszcze ciągle trzymała kij. Stała z nim jak z bronią, gotowa w każdej chwili zatłuc swojego ulubieńca w obronie Logana.

Słodka „laska”.

– Spokojnie – powiedział jej – już wszystko w porządku.

Opuściła kij, ale nadal była blada i ostrożna.

– Logan, powinieneś usiąść.

– Nic mi nie jest. Trochę mną potrząsnęło – skrzywił się. – Może złamałem żebro… albo dwa. Nic, czego się nie da naprawić.

– Logan, proszę. Siadaj w tej chwili!

Jej głos był chłodny i poważny.

Nawet Grant teraz patrzył na niego.

– O co wam chodzi? – spytał Logan niecierpliwie. – Wyrosła mi druga głowa czy co?

To jednak nie jego głowa zwróciła ich uwagę, ale coś… znacznie niżej. Idąc za wzrokiem Maddie, spojrzał w dół.

Ach… Więc to ją tak zajmowało. W jego udzie tkwił nóż Granta. Po rękojeść.

Dziwne. Był tak skupiony na bólu żeber, że nawet tego nie zauważył.

Patrzył na nóż, jakby to nie w jego ciele utkwiło ostrze. Kiedy się odezwał, miał wrażenie, że jego głos dobiega z bardzo daleka.

– Spodziewam się, że Munro zechce na to spojrzeć.

Mrugnął dwa razy.

I zapadł w ciemność.

25

*L*ogan!

Maddie nie była gotowa do udźwignięcia liczącego sobie ponad sześć stóp i ważącego około dwustu funtów Szkota, ale robiła, co mogła: skoczyła do niego, zanim upadł.

Pomogła mu się osunąć na podłogę, cały czas pamiętając o nożu w udzie. Nie chciała mu sprawić jeszcze większego bólu.

Kiedy już leżał na podłodze z głową na jej kolanach, spróbowała dokładniej ocenić rozmiar rany. Odsunęła na bok fałdę jego kiltu.

O Boże!

Rana mniej by ją martwiła, gdyby bardziej krwawiła. Jednak cięcia prawie nie było. Całe, liczące ponad pięć cali ostrze było zagłębione w jego udzie.

Po rękojeść.

To samo ostrze, gdyby nie Logan, mogło teraz tkwić w jej gardle.

– Logan, Logan! Słyszysz mnie?

Powieki mu drgnęły.

– *Mo chridhe?*

– Tak, tak, Logan, to ja! – Odsunęła mu włosy z czoła. – Spokojnie, kochany. Zaraz cię będziemy zszywać.

W tym momencie wywrócił oczyma, a uścisk jego ręki osłabł.

Boże, Boże…

Poszukała palcami pulsu. Dopóki go wyczuwała, mogła sobie powiedzieć, że wszystko skończy się dobrze.

– Co się stało? – Grant usiadł obok niej, niepomny zamętu, jaki spowodował. – Kapitan jest ranny?

– Będzie dobrze – starała się przekonać o tym zarówno siebie, jak i jego. – Nie martw się, Grant. Będzie dobrze.

– Bywało już z nim gorzej… to twardziel. – Uśmiechnął się i spojrzał na nią. – A pani to kto?

– Jestem Madeline. Ta ukochana, która do niego pisała listy… pamiętasz? Teraz jestem jego żoną. Jestem – po jej policzku spłynęła gorąca łza – jestem panią MacKenzie.

Jakże by chciała, żeby Logan ją teraz słyszał!

Grant patrzył teraz to na nią, to na Logana. W końcu pociągnął Logana za ramię.

– MacKenzie! Cholerny z ciebie szczęściarz!

Do kuchni wpadli inni mężczyźni, prawdopodobnie ściągnięci tu hałasem przewracanego stołu.

– Proszę, pomóżcie mu! – zwróciła się Maddie do lekarza pułkowego. – Jest ranny.

Munro ukląkł obok niej.

– Nie jestem w stanie powiedzieć, jak jest źle, zanim nie wyciągnę noża. A mogę to zrobić dopiero, kiedy będę pewien, że się nie poruszy. Ma też parę złamanych żeber. Wystarczy za dużo nim poruszać, a któryś z tych złamanych końców mógłby przebić płuco. – Spojrzał na Maddie. – Ma pani w domu jakieś środki usypiające?

Skinęła głową.

– Na pewno się znajdą. Moja ciotka ma co najmniej dwadzieścia różnych eliksirów, toników i cudownych leków, zamówionych z kobiecych pism. Jestem pewna, że we wszystkich musi być laudanum.

– Proszę mi to przynieść.

Przytaknęła i zaczęła wstawać. W tym momencie Logan złapał silnie jej spódnicę.

– Nie – wymamrotał. – *Na tréig mi.*

Serce się jej ścisnęło.

– Nie mogę go opuścić.

– Ja pójdę po te lekarstwa – zaproponował Rabbie.

– Są w garderobie mojej ciotki – wyjaśniła. – Dwa schodki w górę, czwarte drzwi w zachodnim korytarzu.

– *Na tréig mi* – zacharczał znów Logan. – Nie zostawiaj mnie, Maddie.

– Nie zostawię. – Wzięła jego rękę w swoje. – Jestem przy tobie.

Ścisnął jej dłoń.

– Musisz mi przysiąc, *mo chridhe.* Moje serce… Jeżeli odejdziesz, umrę.

Spojrzała mu w oczy, przytulając dłonią jego policzek.

– Nie odejdę. A ty nie umrzesz. Munro cię zaraz załata, jak trzeba. Będę tu przez cały czas. Żadne z nas nigdzie nie odejdzie.

Rabbie wrócił, niosąc naręcze ciemnych buteleczek. Munro otwierał każdą i wąchał zawartość. W końcu podał Maddie ciemnozielony flakonik.

– To będzie dobre.

Przyłożyła flaszeczkę do ust Logana.

– Wypij to teraz.

Zrobił, o co prosiła, z trudem łykając gorzki płyn niemal bez grymasu. Powieki już po chwili mu zaczęły opadać.

– Munro. – Kręcił głową na wszystkie strony, szukając lekarza. – Munro, widzisz tę kobietę obok mnie?

– *Aye!* – przytaknął Munro. – Widzę.

– Widzisz, jaka jest *bonny*?

Maddie się zarumieniła.

– *Aye* – potwierdził znów lekarz z uśmiechem. – Jasne!

– Więc… my jesteśmy od paru tygodni po ślubie. – Logan uniósł głowę. – Ale w łóżku byliśmy… jedną noc. I niech mnie szlag, gdyby ta noc miała

być też ostatnia! Lepiej mnie połataj, Munro. Mam do zrobienia jeszcze tyle fajnych rzeczy…

– Wedle rozkazu, kapitanie.

Twarz Maddie płonęła, nie mogła jednak powstrzymać śmiechu. Wycisnęła pocałunek na czole Logana.

– Maddie… – mówił coraz bardziej niewyraźnie, jego głos dochodził jakby z głębokiej studni. *Mo chridhe.*… ja… ja…

Ćśś… – powiedziała, hamując łzy. – Zostanę z tobą, Logan. Na zawsze. I proszę cię, obiecaj mi to samo.

Logan zniósł operację całkiem nieźle – w każdym razie tak to potem ocenił, bo przecież nic nie pamiętał. To kolejne dni groziły mu wykopaniem grobu.

Gorączka się zaczęła wieczorem po tym, jak Munro usunął mu nóż z uda.

Kolejne kilka dni były mglistym wspomnieniem krótkotrwałego snu, dreszczy, zimnych prześcieradeł na skórze, bulionu podawanego łyżką do ust…

I marzeń.

Jego sen był pełen dzikich, barwnych marzeń sennych. Było ich tyle, że podejrzewał, że jego umysł wynagradza sobie teraz stracone lata ciemności. Śnił o ludziach i miejscach, o których dawno zapomniał. Śniły mu się pola bitew i wspaniałe sceny seksu.

Ale najczęściej śniła mu się Madeline. Jej ciemne oczy i smukłe palce… jej słodki, intensywny smak.

Kiedy się wreszcie obudził bez gorączki i spokojny, siedziała tuż obok.

Nie pozwoliła mu jednak wstawać z łóżka.

Za żadne skarby.

Mycie ciała gąbką nie było wcale takie zabawne. Nawet kiedy to robiła piękna kobieta.

Trzeciego dnia takiego traktowania go jak inwalidy Logan się zbuntował.

– Mam nadzieję, że wiesz, że gardzę każdą taką chwilą.

– Wiem. – Podniosła mu rękę i myła pachę namydloną gąbką. – Dlatego to robię z prawdziwą przyjemnością.

– Mogę doskonale zrobić to sam. Dobrze się czuję.

– O, nie! Skazuję cię na cały tydzień pielęgnowania w łóżku. Jeżeli będziesz posłuszny, w następny wtorek zacznę ci pozwalać samodzielnie jeść owsiankę.

Logan burknął coś w odpowiedzi.

– Pozwolę za to, że się tak bohatersko zachowałeś i uratowałeś mi życie.

Pochyliła się nad nim, poprawiając poduszkę. Dzięki temu miał doskonały widok na dolinkę między jej piersiami.

– Uważaj, dziewczyno! Ocierasz się o niebezpieczeństwo.

– Nie jesteś niebezpieczny w tym stanie – uśmiechnęła się.

– To zabrzmiało jak wyzwanie!

– Poważnie, Logan. Zawsze ciężko pracujesz, zajmując się każdym, tylko nie sobą. Więc teraz przez kilka dni to ja się zajmę tobą. Masz leżeć i znosić to bez szemrania!

Logan się starał nie być zbyt grubiański. Co nie znaczy, żeby miał coś przeciwko jej obecności, nie. Nigdy dotąd nie doznał takiej czułości i uwagi. Uczuciem bezsilności po prostu gardził. Nienawidził świadomości, że gdyby teraz ktoś wpadł do jego pokoju, nie miałby siły, żeby go wyrzucić.

Musiał jednak także przyznać, że w takim poddawaniu się komuś jest pewna odurzająca przyjemność.

– Nie musisz tutaj siedzieć cały dzień – powiedział. – Masz na pewno coś do roboty. Jak się mają Rex i Fluffy?

Odłożyła miednicę i gąbkę na bok.

– Naprawdę wszystko idzie bardzo dobrze. Ona miała wylinkę. Sparzyli się z sobą i weszli w fazę oczekiwania.

– I…? – zachęcał ją. – Nie zostawiaj mnie w niepewności. Jaką pozycję szczególnie lubią kochające się kraby?

W odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami z uśmiechem.

Logan się uniósł na łóżku; zrozumiał.

– Ominęło cię to. Ominęło cię to wszystko, prawda? Bo byłaś cały czas przy mnie.

– Nieważne. Po prostu je przyłapię następnym razem. Fluffy będzie znów gotowa na rozmnażanie za… och, za osiemnaście miesięcy, czy coś w tym rodzaju.

Powiedziała to lekkim tonem, on jednak wiedział, że to musiał być dla niej cios. Wyciągnął rękę.

– Maddie…

Rozmowa się jednak urwała, bo do pokoju wszedł Munro, żeby sprawdzić stan rany Logana.

– No, najgorsze już za tobą – oświadczył. – Teraz przez miesiąc żadnego forsownego wysiłku.

– Przez miesiąc?

– Przez miesiąc. A jeżeli masz zamiar mnie dręczyć skargami, sugeruję, że powinieneś mi być wdzięczny za to, że żyjesz i możesz się uskarżać!

– *Mo charaid.* – Logan ujął rękę lekarza polowego. – Jestem twoim dłużnikiem. Nie zapomnę o tym. Dziękuję ci.

Munro tylko kiwnął głową.

– To znaczy, a mam nadzieję, że to przyjmiesz jak najlepiej: wyjdź. Chcę zostać sam z żoną.

Marudny lekarz wykrzywił usta w rzadkim u niego uśmiechu.

– To mogę zrobić.

Kiedy już byli sami, Maddie się usadowiła na łóżku obok niego.

– Chodź do mnie. – Przyciągnął ją do siebie i ukrył twarz w załomie jej szyi.

Oparła mu się.

– Słyszałeś, co on przed chwilą powiedział. Ta rana musi się goić co najmniej miesiąc. Przez ostatnie kilka dni oboje pracowaliśmy dzień i noc, żeby cię utrzymać przy życiu. Nie mam zamiaru teraz tego wszystkiego zepsuć.

– Jeżeli muszę czekać miesiąc, żeby cię mocno objąć, przysięgam, że przedtem umrę z pragnienia.

Przesunęła mu ręką po włosach.

– No… przypuszczam, że spokojny uścisk mogłabym zaakceptować.

Był tego samego zdania.

Wsunęła się głębiej na łóżko i przytuliła do niego; położyła mu głowę na piersi. Palcami lekko pieściła jego obojczyk.

Przytulił nos do czubka jej głowy i wdychał zapach.

Roześmiała się cicho, nadal przytulona do jego piersi.

– Czemu się śmiejesz?

– Och, Logan… Nie powinnam tego mówić. Myślę jednak, że się teraz przytulamy – Dotknęła brzegu jego koszuli. – A ty to robisz naprawdę cudownie.

Zabawna osóbka. Doskonale, w końcu robi tak, jak ona chce.

Tulą się do siebie.

Loganowi to się chyba spodobało.

Nawet to pokochał.

I wygląda na to, że Maddie go naprawdę pokochała. Albo po prostu wmówiła sobie, że tak jest.

Przesunął ręką po jej ciasno splecionym warkoczu.

– Nie opuściłaś mnie.

– Nawet na godzinę.

Wiedział o tym. Przeszła przez to wszystko, cały czas będąc przy nim. Krew, zszywanie rany, przypalanie, gorączkę i dreszcze… Czuł obok siebie jej obecność, jej ramiona, którymi go trzymała, kiedy nie był w stanie

opanować drżenia. Delikatny zapach lawendy i jej słodycz czuł nawet przez sen.

A także w snach. Śnił o niej dniem i nocą, i po raz pierwszy w życiu w jego snach nie było zimna, ciemności ani samotności. Były w nich barwy i światło.

Jej ramiona znów lekko zadrżały. Czyżby się znowu z niego śmiała?

Westchnął, ale już po chwili tego pożałował. Nawet wzdychanie bolało.

– Co takiego śmiesznego zrobiłem tym razem?

Nie odpowiedziała, a to dlatego, że zaraz po tym pierwszym śmiechu zaczęła płakać.

– Tak bardzo się bałam…

– W porządku, *mo chridhe.* W porządku. Jestem tu teraz. Nie mam zamiaru cię opuścić.

Przyciągnął jej twarz do swojej.

I wtedy ją pocałował. Czy mógłby zrobić inaczej?

Gdyby próbował mówić, nie byłby w stanie. Emocji, buzujących w jego piersi, nie potrafił wyrazić słowami. Serce mu waliło tak gwałtownie, że się bał, że mu znowu połamie żebra – tyle że tym razem od środka. Albo że te wielkie uczucia go po prostu rozsadzą. Za wiele uczuć.

I za wiele radości.

To wszystko musiał z siebie wydobyć, inaczej go zabiją. Odpowiedzią mógł być tylko pocałunek.

Oddała mu całus, jakby dla niej znaczył naprawdę dużo, wsuwając palce w jego wilgotne włosy, żeby go przytrzymać przy sobie. Poczuł, jak pod pościelą zaczynają się budzić jego dotąd uśpione członki… Jeszcze żyjemy, zdawały się mówić.

– Pragnę cię – wyszeptał, zsuwając w dół wycięcie jej sukni, żeby ucałować szyję. – Tu. Teraz. Maddie… potrzebuję cię.

Kocham cię. Kocham cię… o Boże!

Przemknęła mu przez głowę pewna myśl, którą się starał odsunąć od siebie. Nie powiedział tego głośno – ale ani jej nie oddalił, ani nie zdeptał jak robaka. Już to samo było zwycięstwem.

Przysunął rękę do jej piersi i zaczął pieścić palcami przez cienki materiał szaroniebieskiej sukni, potem przy koronkach dekoltu, aż wyczuł delikatną skórę. Z jego gardła wydobył się pełen pożądania jęk.

– Logan…

Mimo strofującego tonu pozwoliła, żeby głowa opadała jej na bok, dając mu więcej miejsca na całowanie płatka jej ucha.

– Pozwól mi cię wziąć, *mo chridhe*. – Wsunął jej rękę pod gorset. – Nikt nam nie przeszkodzi.

– Logan. – Odsunęła się, najwyraźniej z żalem. – Munro powiedział wyraźnie: żadnego wysiłku! Wiesz, że muszę słuchać jego rozkazów. Za bardzo mi na tobie zależy.

Głowa mu opadła z powrotem na poduszkę.

– Tak, że… – przesunęła palcami po jego zabandażowanej piersi, aż po obojczyk, po czym podniosła na niego oczy – musimy być bardzo, bardzo ostrożni.

Tak. Boże Święty, tak!

– Potrafię być ostrożny. Potrafię być bardzo ostrożny… – Logan wyciągnął do niej ręce.

– Szszsz… – Przycisnęła palec do jego splotu słonecznego i popchnęła, delikatnie, ale mocno, z powrotem na łóżko. – To ja muszę być ostrożna. Po prostu mi pozwól, a zrobię wszystko.

– Nie musisz robić wszystkiego.

Znowu wcisnęła go palcami w materac.

– Ale ja chcę zrobić wszystko. A ty masz tylko leżeć i przyjmować to, co ci daję.

Nie było chyba na świecie niczego, co dla Logana byłoby mniej naturalne niż leżenie w miękkich puchach i pozwalanie, żeby ktoś z nim

robił… wszystko. A już na pewno nie kobieta, którą powinien był chronić i cenić.

A jednak ten pomysł w jakiś sposób mu się spodobał.

Nawet bardzo… bardzo.

– Zaraz się tobą zajmę – wyszeptała mu w lewe ucho. Zsunęła rozwiązaną już suknię, szepcząc tym razem do jego prawego ucha: – Dam ci wszystko, czego potrzebujesz.

Był w stanie wykrztusić tylko jedno słowo:

– Szybko…

Rzuciła mu powolny, kuszący uśmiech.

Rękoma uniosła piersi i pochyliła się do przodu, ocierając się pachnącym lawendą, gładkim jak jedwab ciałem o jego szorstki policzek. Spróbował chwycić ustami jej sutek i zaczął ssać, a wówczas wydała jęk, który sprawił, że jego członek zesztywniał. Pieścił ją dalej, a ona wydawała lekkie okrzyki i jęki rozkoszy.

– Ale to ja… to ja chcę ci dać rozkosz.

Puścił jej sutek na chwilę, żeby odpowiedzieć:

– Ależ dajesz… dajesz.

Wsunął głowę pod jej piersi, czując delikatną skórę pod nimi.

Wreszcie ją puścił. Usiadła. Była zaróżowiona, a oczy miała nieprzytomne z rozkoszy.

Była urocza. Tak urocza, i tak bardzo… jego!

– A teraz staraj się być bardzo cicho – powiedziała.

Jedną ręką zgarnęła spódnice i usadowiła się pomiędzy jego nogami. Zgiął zdrową nogę w kolanie, odsuwając ją i robiąc kochance więcej miejsca. Ściągnęła na ziemię prześcieradła, odsłaniając ciało na zimne powietrze pokoju.

Przymknął oczy w oczekiwaniu na jej dotknięcie.

Jednak czekał na próżno.

Po przerwie, która zdawała się trwać godzinami, otworzył oczy i spojrzał na nią. O co chodzi?

Najwyraźniej o nic. Wpatrywała się w jego wzniesiony członek jak zaczarowana. Tak samo mogłaby patrzeć na szczypce kraba, albo na skrzydła motyla…

Przesunęła ręką po jego udzie.

– Mogę cię kiedyś naszkicować?

– Możesz robić ze mną wszystko, co ci się spodoba. Byleby to było kiedy indziej. – Głos mu drżał. Zacisnął pięści na prześcieradle. – Dziewczyno, ja umieram…

– Och… – Zagryzła wargę, zawstydzona. – Nie… nie możemy tego robić.

W końcu jednak go dotknęła. Czubkami palców przesuwała po jego członku.

Zaklął i wygiął się w łuk na łóżku.

– Nie ruszaj się w ten sposób! – powiedziała.

– To mnie tak nie kuś… – mruknął.

Zrobiło się jej go żal. Objęła jego członek i zaczęła masować. Pierwszy ruch przeniknął mu aż do mózgu. Opadł z powrotem na łóżko, wpatrzony w sufit.

Tak. Właśnie tak… Jeszcze. Szybciej. Proszę…

Zacisnął mocno powieki, napawając się tym uczuciem. Każdy ruch jej ręki zbliżał go do osiągnięcia ulgi…

Wtedy… poczuł jeszcze coś więcej. Jakiś delikatny, miły dotyk na samym czubku członka. Jak lekki wietrzyk…

Teraz go lizała. Czuł na sobie jej różowy, zwinny, delikatny język, całujący go i smakujący.

To uczucie było dojmujące. Subtelne. Ale niewystarczające.

Wytrzymał może z minutę, po czym uda mu zesztywniały. Nie mógł dłużej. Drżącą ręką sięgnął do jej głowy i pogłaskał.

– Weź do ust…

Ryzykowne. Mógł ją w ten sposób spłoszyć. Mogła podnieść głowę i wygłosić mowę, że nie ma zamiaru spełniać jego rozkazów. Wobec tego dodał:

– Proszę.

Ona jednak, zanim sobie przypomniał o dobrym wychowaniu, już objęła ustami jego członek. Zajęczał, poddając się jej.

– Kocham cię.

Te słowa po prostu mu się wymknęły. Nie mógł ich już dłużej hamować.

Natychmiast przeklął sam siebie. Najgłupsza chwila na takie wyznania! Teraz już na pewno przerwie… Ze łzami radości w oczach siądzie obok niego i wda się w dyskusję na temat uczuć… Może nawet przytuli.

Ona jednak nie przestała. Spojrzała tylko na niego, lekko się uśmiechnęła, nadal trzymając w ustach jego członek, po czym wsunęła go jeszcze głębiej.

Znowu jęknął.

– Boże… Tak bardzo cię kocham…

Nie była zupełnie pewna, czy robi to dobrze. To zrozumiałe – to był jej pierwszy raz. Nie było to jednak trudne: był tak bardzo spragniony, a ona – mimo braku doświadczenia – pełna entuzjazmu. Mogła tylko sprawić, że poczuje się dobrze.

Bardziej niż dobrze! Była cudowna!

Poczuł, że się kręci, by jak najgłębiej się w niej pogrążyć, i nawet się wystraszył, żeby nie przesadzić.

– Weź mnie w siebie – nalegał. – Muszę się poczuć w tobie…

I znowu nie musiał jej powtarzać dwa razy. Podniosła się szybko, podniosła spódnice aż po pas i ostrożnie się usadowiła na nim. Logan wsunął się pomiędzy jej wilgotne wargi. Ależ była wilgotna! Czy to znaczy, że kiedy go pieściła ustami, podnieciło ją to równie jak jego…?

Wydał stłumiony jęk.

Wsunęła go w siebie i ostrożnie poruszając biodrami, wzięła go w siebie jeszcze głębiej.

Początkowo starała się uważać, pamiętając o jego zranionym udzie. Ale po kilku minutach zarzuciła mu ramiona na szyję; teraz poruszała się w rytm własnego, rosnącego pożądania.

Wpatrywał się w nią, nie mogąc oderwać wzroku od jej kołyszących się piersi i wyrazu zachwytu na twarzy. Nigdy nie była bardziej pożądana…

Nagle otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego z błaganiem.

– Logan, ja… Logan!

Wiedział, czego ona pragnie. Poprzez zwoje spódnic i halek sięgnął tam, gdzie ich ciała się łączyły. Przycisnął palcem jej łechtaczkę.

– To właśnie to, *mo chridhe.* Odpręż się. Poczuj rozkosz razem ze mną.

Zagryzała wargi i marszczyła brwi. Jeszcze kilka pchnięć… i jej oczy się zamknęły.

Aż drżała z rozkoszy. Jej szczytowanie wywołało jego. Z gardłowym okrzykiem poddał mu się, zatracając się w tym uczuciu.

Po wszystkim chciał ją przyciągnąć do siebie. Nadal w niej być i pozwolić jej zasnąć przy swoim sercu. Pamiętała jednak o jego ranach i o swoich obowiązkach pielęgniarki, więc tego nie zrobiła. Położyła się obok, układając się w załomie jego ramion.

Dobrze. Tak też było dobrze.

– Jest jeszcze coś, czego dotąd nie rozumiem – wyszeptała. – Gdzie u diabła są teraz te listy?

26

W tym momencie Maddie poczuła, że ciało Logana sztywnieje. Serce biło mu teraz jakby szybciej.

– To nie tak, jak myślisz – powiedział.

– Nie mówiłam, co myślę.

– Miałem te listy. Miałem je. Otrzymałem wszystkie i czytałem je, każdy wiele razy.

– Wiem, że to robiłeś.

– A potem, po ostatnim liście, w którym mnie uznałaś za zmarłego… – Zaklął pod nosem. – Tak się wściekłem, że pewnej nocy spaliłem wszystkie. Z wyjątkiem jednego.

– Więc, kiedy wyjąłeś z kieszeni jeden z nich i mi go przeczytałeś…

– Mówiłem z pamięci. Znałem je wszystkie na pamięć. Mimo że tak bardzo się starałem o tobie zapomnieć, nigdy cię nie mogłem wyrwać z serca.

Uścisnęła go delikatnie.

– Logan! To najgłupsza i najsłodsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam.

– Co mam powiedzieć? Ja…

– Mięczak. Po prostu mięczak!

– Miałem ci powiedzieć, że jestem w tobie zakochany, ale myślę, że to chyba żadna różnica.

Wziął jej rękę w swoją, ich palce splotły się w ciasny węzeł na jego piersi.

– Pierwsza zasada miłości: nie panikować.

– A jaka jest druga zasada? Może od razu przejdziemy do tej drugiej?

Podniosła głowę z figlarnym uśmiechem.

– Nie debatować za dużo.

Maddie właśnie pochylała głowę, żeby go namiętnie ucałować, kiedy się rozległo pukanie do drzwi.

– Pani MacKenzie? Jest pani tam?

Logan ucałował ją w czubek głowy.

– Lubię, kiedy cię tak nazywają.

– Ja też. – Oparła podbródek o jego pierś i uśmiechnęła się. – Chyba powinnam się odezwać…

– Nie fatyguj się. – Logan podniósł głos. – Proszę wejść!

Z lekkim okrzykiem Maddie zerwała się z łóżka.

On jednak przytrzymał ją ramieniem.

– Zostań tu, gdzie jesteś. Najwyższy czas, żeby służba widziała nas razem. Powinna się do tego przyzwyczaić.

– To raczej ja się powinnam przyzwyczaić… – odpowiedziała, czując, że się czerwieni po szyję. Nie poruszyła się jednak.

Skoro Logan chce ją mieć przy sobie, powinna być właśnie tutaj.

Zawsze.

Kiedy pokojówka weszła do pokoju, Maddie nadal leżała zwinięta w kłębek przy boku Logana.

– O co idzie, Becky?

Trzeba powiedzieć, że pokojówka stanęła na wysokości zadania.

– Przepraszam, że przeszkadzam, madame. Ale ma pani gościa.

– Gościa?

– Tak, pani MacKenzie. To… mężczyzna.

– Mężczyzna? – Maddie oparła się na łokciu i spojrzała z zaskoczeniem na Logana. – Czekasz na kogoś?

– Nie… chyba, że ty.

– A czy ten dżentelmen się przedstawił? – zwróciła się do Becky.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Zapomniałam spytać. Och, pani MacKenzie! On jest taki… taki…

– Duży?

– Nie. Dziwny.

Teraz Maddie całkiem się pogubiła.

– Zaproś go do saloniku, Becky. I powiedz kucharce, żeby przygotowała herbatę. Zaraz tam zejdę.

Kiedy pokojówka wyszła, Maddie spojrzała na Logana, rozbawiona i wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, kto to może być.

– Czy mam być zazdrosny?

– Cóż… muszę cię ostrzec, że kiedy ostatni raz przyjęłam niespodziewanego gościa… – Spojrzała z uśmiechem na ich połączone dłonie na jego piersi. – …stało się właśnie to.

– Dokładnie. – Logan puścił jej rękę i usiadł na łóżku. – Schodzę na dół razem z tobą.

– Logan, przecież tylko żartowałam! Powinieneś leżeć w łóżku. Nie ma sensu wstawać!

– Schodzę z tobą na dół – powtórzył najbardziej rozkazującym tonem. Sięgnął po koszulę i wciągnął ją przez głowę, krzywiąc się, kiedy wsuwał ramię w rękaw. – Na wypadek, gdyby ten nieznany dziwny dżentelmen próbował czegoś niestosownego.

– A gdyby nawet, co mógłbyś zrobić? Zalejesz go krwią? – zaśmiała się.

On się nie śmiał.

Spojrzał na nią poważnie. Nie było to spojrzenie chorego, tylko wojownika.

– Musiałbym leżeć w grobie, żeby przestać o ciebie walczyć, Madeline. A nawet wtedy poruszyłbym te sześć stóp ziemi, żeby się wydostać!

Och… Jej serce.

– Wobec tego dobrze.

Co innego mogłaby zrobić wobec tego, co powiedział? Maddie wiedziała, że nie ma sensu próbować go przekonać. Skoro postanowił wstać z łóżka, nie miało sensu się spierać. A, prawdę mówiąc, ucieszyła się, widząc, że jest zdrowy i na nogach.

Zeszli powoli. Zapięła mu w pasie kilt – *feileadh beag* i pomogła obciągnąć koszulę na obandażowanym torsie. Mimo jego chłopięcych protestów i zapewnień, że sam sobie da radę, nalegała, żeby usiadł i rozczesała grzebieniem rozwichrzoną czuprynę.

Kiedy już wyglądał jako tako, wzięła go pod ramię i ruszyli na dół.

Gość, czekający na nich w saloniku, okazał się prawdziwą niespodzianką.

– Jestem Reginald Orkney – przedstawił się.

Becky miała absolutną rację; wygląd tego mężczyzny zupełnie nie pasował do saloniku o jedenastej rano, podobnie jak Maddie w sali balowej lorda Varleigha. Miał na sobie tweedowy płaszcz. Granatowe spodnie i wysokie buty na grubych podeszwach. Kiedy weszli do pokoju, zerwał się z krzesła, ściągnął kapelusz i nisko się ukłonił.

– Dzień dobry, panno Gracechurch. – Ponownie się ukłonił, tym razem Loganowi. – Kapitanie MacKenzie…

– Właściwie – zauważyła – jesteśmy teraz kapitanem i panią MacKenzie.

– Ach, tak! Dobrze! – Pan Orkney klasnął w dłonie z zaskoczenia. Niestety ten gest spłaszczył mu trzymany w ręku kapelusz. Niezdarnie upuścił go na podłogę i kopnął pod krzesło. – Życzę państwu szczęścia.

Po czym zamilkł i nie widać było, żeby miał zamiar jeszcze coś powiedzieć.

Po krótkiej chwili Madeline się odezwała zachęcająco:

– Panie Orkney, czemu zawdzięczamy przyjemność pańskich odwiedzin?

– Och… Tak, właśnie… Nie jestem pewien, czy moja wizyta ma teraz jakiś cel… Bo widzi pani, panno Gracechurch… może powinienem powiedzieć pani MacKenzie, muszę wyznać, że tu przyszedłem, mając nadzieję zaangażowania pani…

Napięcie w pokoju podskoczyło na jeszcze wyższy poziom.

– Przyszedł pan tu, żeby się oświadczyć? – Głos Logana brzmiał cudownie zazdrośnie.

Pan Orkney robił wrażenie lekko wystraszonego.

– Nie angażowania pani jako żony – wyjaśnił szybko. – Mam przecież żonę, swoją własną. O Boże… chyba strasznie namieszałem. – Odchrząknął i zaczął od nowa. – Pani MacKenzie, przyszedłem tu w nadziei zaangażowania pani… jako ilustratorki.

Logan odetchnął z ulgą.

– Nie ma powodu, żeby pan nie skorzystał z pracy mojej żony. Chociaż jesteśmy świeżo po ślubie, żona planuje nadal robić ilustracje. – Spojrzał na nią. – Prawda?

– Oczywiście – potwierdziła Maddie.

– Tak… miło mi to słyszeć – odpowiedział pan Orkney. – Pozbawienie świata takiego talentu byłoby prawdziwą tragedią.

– Ale… panie Orkney, czy pan jest pewny, że mnie chce zaangażować? Chyba jeszcze nie dostał pan mojego listu. Jest opóźnienie… w pewnym sensie… z krabami.

– Tak, tak. Ale to niewielki kłopot. Widzi pani, mamy nowy projekt. Chyba pani zauważyła, że jestem innego rodzaju naturalistą niż lord Varleigh i jego przyjaciele. Nie staram się łapać tych istot i zabierać ich do domu w Anglii w charakterze kukieł. Wolę je studiować i zapisywać swoje odkrycia na dzikich terenach. Celem mojej podróży jest zapisywanie i dokumentowanie mięczaków i skorupiaków na Bermudach.

– Na Bermudach! Boże mój! Co za wyprawa!

– Tak. I przyszedłem tutaj spytać, czy pani, panno Grace… pani MacKenzie, mogłaby się przyłączyć do naszej wyprawy jako ilustratorka.

Maddie przez chwilę nic nie mówiła.

Chciał, żeby się wybrała na wyprawę na Bermudy?

Pan Orkney pociągnął się za ucho.

– Obawiam się, że to trochę nagła propozycja. Nie planowaliśmy tego wyjazdu wcześniej niż pod koniec tego lata. Ale w zeszłym tygodniu zaproponowano nam miejsce na statku, który wypływa z portu w Glasgow w przyszły czwartek. Nie mógłbym zrezygnować z takiej okazji.

– W przyszły czwartek? Więc pan by chciał, żebym wyjechała…

– Natychmiast. – Przybrał przepraszający wyraz twarzy. – Obawiam się, że tak. Kiedy tylko się pani przygotuje, pojechalibyśmy stąd do Glasgow i zużytkowali czas pozostały do odjazdu na zgromadzenie wszystkiego, co potrzebne do tej podróży. Gdyby pani sobie życzyła, proszę zabrać z sobą towarzysza podróży. Co prawda moja żona też się wybiera, a wiem, że bardzo by się cieszyła, mając przy sobie damskie towarzystwo.

Kiedy w głowie Maddie przestało wirować, zdołała odpowiedzieć.

– To naprawdę niezmiernie nęcąca okazja i czuję się zaszczycona, że pan pomyślał właśnie o mnie. Ale, jak pan widzi, właśnie wyszłam za mąż. Mój mąż w tej chwili leczy poważne rany. Po prostu nie mogę.

Logan mocniej ścisnął jej ramię.

– Jak długo by jej nie było?

– Około sześciu miesięcy.

Logan skinął głową.

– Pozwoli pan, że się przez chwilę naradzimy?

– Ależ naturalnie. – Pan Orkney znów się ukłonił, jeszcze niżej niż poprzednio.

Maddie wyszła za Loganem na korytarz. O czym tu radzić? Nie musi jej odmawiać od tego, jeśli o to mu chodzi. Już przecież wyraziła swój zamiar odmówienia z żalem.

Tymczasem powiedział:

– Myślę, że powinnaś pojechać.

– Co takiego?

– Uważam, że powinnaś towarzyszyć panu Orkneyowi w jego wyprawie na Bermudy.

Nie mogła uwierzyć.

– A co z tym wszystkim, co sobie powiedzieliśmy w Beltane? Ze wszystkim, co nas łączyło tej nocy w łóżku? Jeżeli o tym wszystkim zapomniałeś, to w każdym razie chyba pamiętasz to, co było dwadzieścia minut temu!

Uśmiechnął się lekko.

– Uwierz mi, że nie zapomnę tego, co było dwadzieścia minut temu, aż do końca życia. Nadal uważam, że powinnaś pojechać.

– Myślałam, że chcesz, żebyśmy byli razem… już na zawsze.

– To, czego ja chcę, to trzymać cię mocno przy sobie i nigdy cię nie tracić z oczu. To, czego chcę, to spędzać każdą chwilę każdego dnia z tobą i czuć cię przy sobie każdej nocy. Kocham cię do szaleństwa. Ale mam na tyle rozsądku, by wiedzieć, że chcę tych wszystkich rzeczy, ponieważ mam trudności z zaufaniem.

– I ja to rozumiem.

– Wiem o tym, moja słodka. Ale to nie zmienia faktu, że to ja się z tym muszę uporać. – Ujął ją za ramiona. – To wspaniała okazja. Wyprawa na Bermudy. Ilustrowanie z natury żywych stworzeń, a nie tych zakurzonych trupków, które ci przysyłają! Szansa, żeby podróżować i ustalić swoją karierę. Przecież o tym marzyłaś.

– Ale… Logan, ja nie chcę.

– Chcesz tam pojechać. – Dotknął palcami jej policzka. – Widziałem twoją pracownię, *mo chridhe*. Tę spłowiałą mapę, usianą szpilkami. Nie powiesz, że nie masz ochoty tam pojechać.

– Może… w pewnym sensie – przyznała. – Ale przede wszystkim chcę być z tobą. – A co, jeżeli jestem w ciąży?

– Mało prawdopodobne po tych niewielu razach. Kiedy się spodziewasz… no wiesz?

– Lada dzień.

– Więc najprawdopodobniej będziesz znała sytuację przed odpłynięciem statku. Tymczasem możesz się przygotować. Taka okazja jak ta nie zdarza się codziennie. Pan Orkney mógłby być twoją szansą na spełnienie marzenia.

– Mojego marzenia? – Uniosła brew. – Od kiedy to wierzysz w marzenia?

– Nazwij to moim ostatnim odkryciem.

– Jeżeli mnie pytasz, widzę, że to ty się boisz. Boisz się tak bardzo, że mogłabym pomyśleć o wyjeździe, że sam mnie tam wypychasz.

Wzruszył ramionami.

– Może masz rację. Mówisz, że mnie kochasz, ale nie mogę przestać myśleć… Jak możesz być pewna? Znam cię od lat. Ty mnie znasz dopiero od kilku tygodni – i teraz chcesz zrezygnować z życiowej szansy? Skąd mam wiedzieć, że to mnie chcesz? Może się po prostu ukrywasz za słowami…

– A więc teraz znowu mam być tylko zepsutą panienką? Dlatego, że kiedyś sobie stworzyłam jakiegoś szkockiego oficera, nigdy nie uwierzysz, że naprawdę cię kocham?

– Chcę ci powiedzieć, Madeline… gdybyś nadal ciągnęła swoje marzenie i wróciła do mnie…? Wtedy bym uwierzył.

Patrzyła na niego długą chwilę.

Nie mogliby żyć w ten sposób, stale wątpiąc w to drugie, zawsze się zastanawiając, czy to, co ich łączy, to prawdziwy związek miłości, czy tylko wygodny układ…

Czy ich serca pasują do siebie jak dwa elementy układanki? Czy tylko ich lęki?

Kochała go. Była tego pewna, nawet jeżeli on nie był. Ale nie chciała żyć do śmierci we mgle jego wątpliwości. Musi go o tym przekonać.

Maddie poszłaby na koniec świata, do piekła, gdyby było trzeba.

Natomiast Bermudy wcale nie były tak daleko.

– Pozwól, że cię zapytam. – Logan przysunął się do niej blisko. – Czy gdyby przyszedł tu dwa miesiące temu, zanim się pojawiłem w twoim życiu… co byś mu powiedziała? Myślę, że oboje to wiemy.

Maddie sama sobie przytaknęła. Doskonale wiedziała, jaka by była wówczas jej odpowiedź.

Kiedy tak na to spojrzała, wszystko się stało jasne.

Zanim zdążyła to jeszcze raz przemyśleć, wróciła do saloniku.

– Panie Orkney, mogę z panem wyjechać nawet dzisiaj.

27

Logan źle znosił bezczynność.

Jeszcze nie minął tydzień od wyjazdu Madeline z panem Orkneyem, a on już odchodził od zmysłów z nudów. No i, oczywiście, szalenie tęsknił za żoną.

Nie wyobrażał sobie, jak przeżyje te sześć miesięcy.

Przynajmniej jego ludzie zdawali się rozumieć, że potrzebuje towarzystwa. Było tak jak w dawnych czasach kampanii. Wieczorem wszyscy siadali wokół kominka, pili whisky i rozmawiali o dawno utraconych miłościach i życiu w przyszłości.

Logan sięgnął do kieszeni i dotknął rożka złożonej kartki. Znalazł ją, wsuniętą do jego sporranu, tej nocy, kiedy wyjechała z panem Orkneyem. Już sam widok papieru z jej pismem rozbudził w nim wspomnienia. Serce poruszyło się znajomo. Czyżby to był jej kolejny list?

Jednak, kiedy otworzył kartkę, znalazł coś o wiele lepszego.

To był szkic.

Postać małej osóbki.

Nie pokazał tego nikomu z kolegów, ale zawsze nosił ten szkic przy sobie. Rysunek węglem żarzył się po prostu w kieszonce jego kamizelki, grożąc spaleniem płótna koszuli.

Otworzył flaszkę, żeby się znowu napić whisky, jednak po chwili się rozmyślił i odłożył ją. Podrapał się w brodę i postanowił się wykąpać i

ogolić. Jeżeli nie będzie uważał, Maddie po powrocie zastanie go permanentnie pijanego i z roczną brodą.

A ona przecież do niego wróci!

Musi w to wierzyć, inaczej zwariuje.

Grant się ocknął:

– Więc co to jest? Co się wydarzyło?

Logan rozważał wymamrotanie zwykłej litanii zapewnień: że jesteśmy w Szkocji, że jutro pojadą do Ross-shire, i tak dalej. Pohamował się jednak i położył rękę na ramieniu przyjaciela.

– Zostałeś ranny, *mo charaid.* Ta rana zakłóciła ci pamięć. Już wróciliśmy z wojny i jesteśmy bezpieczni. Niestety, twojej rodzinie się tak nie poszczęściło. Ale jestem tutaj i będę się starał zawsze ci mówić prawdę. Pytaj, o co tylko chcesz.

Tymczasem Grant go zaskoczył.

– Wiem, gdzie jestem, kapitanie. I zaczynam sobie przypominać całą resztę. Mam tylko jedno pytanie. Gdzie jest Madeline?

Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć.

– Gdzie Madeline? – powtórzył Grant.

– Ona… no, wyjechała.

– Wyjechała? Ale po co? Dlaczego?

– To ja jej poleciłem wyjechać. – Logan przesunął ręką po twarzy. – Wysłałem ją na Bermudy, żeby tam rysowała różne morskie stworzenia dla pewnego przyrodnika.

Grant milczał chwilę, po czym powiedział to, co wszyscy inni – włącznie z Loganem – myśleli:

– Ty głupi bękarcie!

Logan uniósł ręce w górę.

– Co innego mogłem zrobić? Ona przecież ma talent. I marzenia. Nie chciałem jej stanąć na drodze. Ale ona wróci.

Musiał się czepiać tej myśli. Ona wróci.

Musi wrócić.

Czyż nie?

Callum się podrapał po głowie.

– No, rozumiem, dlaczego chciałeś, żeby wyjechała. Ale kompletnie nie mam pojęcia, dlaczego się nie zabrałeś z nią razem!

Dlaczego?

Logan musiał przyznać, że nigdy mu to nie wpadło do głowy.

– Nie mogłem wyjechać razem z nią.

– Dlaczego nie?

– Przecież dopiero co się osiedliliśmy w Lannair. Jestem teraz właścicielem zamku. Ktoś musi pilnować tej posiadłości. No i wy, chłopaki, też mnie potrzebujecie. – Tu spojrzał na nich. – Prawda?

Jedyną odpowiedzią było chrząkanie i szuranie butami tam i z powrotem po kamiennej podłodze.

Aha. Więc go nie potrzebowali.

– Rozumiem – rzucił krótko.

– To nie znaczy, żebyśmy chcieli, żebyś wyjechał – powiedział Callum. – Ale wszyscy przecież jesteśmy dorośli. Możemy sami zadbać o siebie. Wsie leżą w pobliżu, a w ziemi są plony. Nawet Grantowi zdrowie się powoli poprawia.

Mówił to, żeby go pocieszyć, ale Logan poczuł wewnątrz pustkę.

Chociaż Maddie ukrywała swoje prawdziwe marzenia na marginesie listów, jego własne nadzieje były ukryte na granicy własnych planów. To nie ziemi pragnął. Pragnął rodziny, domu rodzinnego.

Miłości.

Dotąd jego jedyną rodziną była ta zbieranina podłamanych żołnierzy. Opiekował się nimi jak własnymi dziećmi. A jeżeli Maddie odeszła, a ci ludzie już go nie potrzebują… to kim właściwie był?

– Myślałem, że nas łączy braterstwo – powiedział. – Że jesteśmy klanem. *Muinttir.*

– No, jesteśmy – rzekł Rabbie. – I o to właśnie chodzi w braterstwie, *mo charaid.* Te więzi się rozciągają. Jeżeli trzeba, ono istnieje, nawet oddalone o tysiące mil. Możesz polegać na nas, że się zajmiemy wszyscy tym miejscem, kiedy ty zabierzesz pannę młodą w podróż poślubną. Na wasz miodowy miesiąc.

Miodowy miesiąc!

Co za pojęcie! Logan nigdy o tym nie pomyślał w taki sposób. Ludzie jego pochodzenia nie znali świąt. Teraz mógł to sobie tylko wyobrazić. Żeglować z Maddie po przezroczystych, błękitnych wodach, patrzeć, jak wiatr rozwiewa jej ciemne, rozpuszczone włosy… Kochać się z nią na piaszczystych plażach…

Ostatecznie mogliby naprawdę odbyć taki spacer po plaży.

– Jaki dziś dzień? – spytał.

– Środa – odparł Callum.

Logan wstał i kopnął na bok krzesło.

– Więc mam jeszcze czas. Mogę zdążyć na statek, zanim odpłynie.

Mężczyźni się rzucili do działania.

– To się nazywa mieć ducha! – zawołał Rabbie. – Przygotuję ci konia.

Callum przyniósł mu płaszcz i Logan ubrał się pospiesznie.

Wsunął ręce w czerwone rękawy, po czym przeczesał palcami czuprynę. Nie miał fularu ani niczego pod szyję. Nie było na to czasu.

– Jak wyglądam? – spytał Calluma, wciągając długi but na lewą nogę.

– Jak dziki kot po przeciągnięciu przez chaszcze – odpowiedział tamten.

Logan wzruszył tylko ramionami. Nic na to teraz nie mógł poradzić. Maddie albo go przyjmie takim, jaki jest, albo nie.

– Czekaj, czekaj! – Munro zagrodził mu drogę. – Żeby mieć szansę dotarcia do Glasgow powozem, musiałbyś wyjechać – lekarz polowy wydobył z kieszonki zegarek – dwanaście godzin temu. A ja, jako twój lekarz, nie mogę ci doradzać jazdy konno na przełaj. Nie z taką świeżą raną.

Logan zmierzył go twardym spojrzeniem.

– Lekarz czy nie, jeżeli cenisz własne zdrowie, nie będziesz się starał mnie zatrzymywać.

– Tak jak powiedziałem, mówiłem to jako twój lekarz – uśmiechnął się chytrze Munro. – Ale jako twój brat i przyjaciel, mówię: jedź zdrowo i z Bogiem!

Logan kiwnął mu głową z wdzięcznością.

– Wiesz, że możesz jej nie dogonić.

– Wiem. Ale muszę spróbować. A gdybym tam był za późno… – Wepchnął drugą nogę w but. – Wtedy napiszę do niej parę listów.

– Listów? – odezwał się z holu znajomy kobiecy głos. – Och… chyba ich nie dostałam, przepraszam…

Maddie.

Och, ten wyraz twarzy Logana, kiedy się odwrócił!

Zachowa go na zawsze w pamięci, jak najdroższy skarb.

Oczy miał zaczerwienione, jakby nie spał od paru dni. A już na pewno się nie golił. W powietrzu unosił się ciężki zapach whisky. Koszulę miał rozpiętą, włosy rozczochrane. Słowem – bez niej wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy.

Była uszczęśliwiona. Nigdy nie kochała go bardziej niż w tej chwili.

– Jesteś… – powiedział oszołomiony.

– Jestem.

Podszedł bliżej. Powoli. Jakby się bał, że jeżeli podejdzie za blisko czy za szybko, może ją spłoszyć…

– Pięknie wyglądasz – powiedział, ocierając dłonią twarz.

– Za to ty okropnie – uśmiechnęła się.

– Dlaczego jesteś tutaj? Odłożyli wyprawę?

Potrząsnęła głową.

– Odwołali?

– Nie.

– Nie jesteś czasem…? – Spojrzał znacząco na jej brzuch.

Potrząsnęła głową z uśmiechem.

– To też nie.

– Wobec tego… zmieniłaś zdanie co do płynięcia z nim?

– Właściwie w ogóle nie pojechałam do Glasgow.

Zachmurzył się.

– Czyżby ten bękart Varleigh…

– Logan! – Podeszła i położyła mu rękę na piersi. Gorącej i silnej jak zawsze. Cudownie było go dotykać. – O wiele szybciej się wszystkiego dowiesz, jeżeli nie będziesz się niczego domyślał, tylko pozwolisz mi mówić.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Uznała to za sygnał.

– Prosiłeś mnie, żebym pomyślała, co powinnam odpowiedzieć na zaproszenie pana Orkneya na wyprawę dwa miesiące temu. Od razu wiedziałam, co odpowiem. Z pewnością odpowiem „nie”. Byłam na to zbyt nieśmiała, zbyt strachliwa. Raczej przypięłabym się do deseczki z okazami i pozwoliła, żeby moje skrzydełka uschły na pył. Jedyny powód, dla którego mogłabym wyjechać… to byłeś ty.

– Więc dlaczego wróciłaś?

– Bo ty chciałeś, żebym starała się upolować własne marzenie. A to nie jest ani Glasgow, ani Bermudy – wyjaśniła. – Zrobiłam to, co powinnam była zrobić już dawno, podczas nocy na Balu Robaka. Przeprosiłam pana Orkneya i zamiast tego pojechałam do Edynburga, gdzie wręczyłam moje portfolio panu Dorningowi. To wydawca encyklopedii, jeżeli pamiętasz.

Przytaknął.

– Miałeś rację, Logan. Jestem ambitna. Chcę jak najlepiej wykorzystać moje zdolności. Ale encyklopedia… o tym naprawdę marzyłam. Pokazałam więc moje prace panu Dorningowi i zaoferowałam mu swoje usługi.

Uniósł brwi.

– I…?

– I… – uśmiechnęła się. – Zaproponował mi stanowisko.

Dłużej już nie wytrzymał. Chwycił ją w ramiona i podniósł w górę, po czym zakręcił nią jak na karuzeli.

Maddie miała wrażenie, że fruwa w powietrzu.

Kiedy już ją postawił na ziemi, jej serce nadal szybowało.

– Twoje żebra… – przypomniała sobie nagle. – Uważaj! Pamiętaj, co pan Munro mówił o twoim płucu!

– Płuca mam w porządku. To serce chce mi wyskoczyć z piersi. Z dumy. To cudowne, *mo chridhe*. – Odwrócił się do swoich ludzi. – Chłopaki! Obecna tu pani MacKenzie będzie robiła ilustracje do encyklopedii. Cztery wielkie tomy. Pogratulujcie jej!

Wszyscy gorąco jej gratulowali, co Maddie przyjęła z przyjemnością.

– A teraz powiedzcie jej „do widzenia” – dodał.

– Do widzenia? – Spojrzała na niego zdziwiona.

– Uhm. – Przytulił ją i szepnął do ucha: – Kiedy już będziesz na górze w naszym łóżku, nie będą cię mogli oglądać dwa tygodnie… a może nawet cztery!

Spłonęła rumieńcem.

– Och…

Przypieczętował to gorącym pocałunkiem, pachnącym whisky i słodyczą. Oddała mu pocałunek i zatonęła w jego uścisku. Żadnej siatki zabezpieczającej, żadnej liny, jakiej można się uchwycić. Od tej chwili nie była w stanie się cofnąć.

Nie pozwoliła mu wynieść się z pokoju. Ale machnął za nią ręką, tak, że bez tchu wbiegła po kręconych schodach. Kiedy dobiegła do sypialni, aż ją mdliło z pożądania… i ze śmiechu.

Wspólnie padli na łóżko.

Zaczął rozpinać jej suknię jedną ręką, a drugą podnosił spódnice.

Kochali się powoli, spokojnie i cudownie. Częściowo ze względu na jego świeże jeszcze blizny, częściowo po to, by w pełni smakować swoją bliskość. Żadne nie chciało tego skończyć za wcześnie.

Potem długo leżał, wtulony w nią, podczas gdy ona ściskała go mocno.

– Naprawdę masz zamiar trzymać tu mnie przez dwa tygodnie? – wyszeptała.

– Może cztery…

– Wiesz, że nie mogę wiecznie leżeć w łóżku. Mam robotę. I chyba cię muszę ostrzec… że niedługo po mojej pracowni będą pełzały żuki, ważki, mole i co tylko chcesz…

Poczuła, że zadrżał.

– Nie bój się. Większość będzie nieżywa.

Zerknął na nią.

– Większość?

– No, i ludzie prawie nigdy nie umierają od ukąszeń owadów.

– Prawie nigdy.

Dotknęła go kusząco.

– Oddychaj! Tylko oddychaj.

Przytulił czoło do jej czoła. Przez chwilę właśnie to robili: tylko oddychali. Dzielili się nawzajem tym oddechem, aż stał się ich wspólny.

– Kocham cię – powiedział.

– I ja cię kocham.

– Tak piekielnie tęskniłem, *mo chridhe*. Byłem idiotą, że ci pozwoliłem odjechać.

– Och, więc byłeś kapitanem Idiotą!

Uśmiechnął się, ale po chwili spoważniał.

– Po prostu nie chciałem cię odciągać od twojego marzenia.

– Właśnie. Nigdy byś nie mógł. – Spojrzała mu głęboko w oczy, niebieskie jak niebo nad Szkocją. – Logan, to ty jesteś moim marzeniem. Zawsze nim byłeś. Musisz o tym wiedzieć. Byłeś najgłębszym pragnieniem

mojego serca. I równie dziką fantazją… – Objęła go ramionami za szyję. – Ale rzeczywistość jest o wiele, wiele lepsza.

Epilog

Zajęło mu to kilka miesięcy, ale kiedy się już w pełni wykurował z ran, a letnie słońce ogrzało powietrze, Loganowi się w końcu udało namówić żonę na prawdziwy miodowy miesiąc.

Zabrał ją nad morze. Akurat minęło dziewięć lat od ich pierwszego „spotkania” na plaży w Brighton.

Lepiej późno niż wcale.

Znalazł dla nich w pełni wyposażony wiejski dom w pobliżu Durness, usytuowany blisko szerokiego, piaszczystego półkola plaży, z pięknym widokiem na różanopomarańczowe zachody słońca. Nie było to Brighton ani Bermudy, ale miejsce okazało się urocze, ustronne i… ich własne.

Ponieważ Logan dotychczas nigdy nic nie planował ani nie miał żadnych wakacji, był naprawdę dumny z takiego sukcesu.

Każdego popołudnia spacerowali razem wzdłuż brzegu morza. Maddie zbierała muszle i szkicowała je w swoim notesie. Logan dał jej złoty ślubny pierścień, na którym wygrawerował inicjały ich obojga.

Nieraz się kochali na jego zielono-niebieskim tartanie, rozłożonym na białym piasku.

Pożegnali się też z dwójką serdecznych przyjaciół.

– Żegnaj, Fluffy! – szepnęła Maddie. – Opiekuj się nią dobrze, Rex!

Wypuścili parę krabów do oceanu, życząc im miłej podróży i wielu, wielu tysięcy zdrowych dzieci.

Kiedy spojrzeli na błękitną wodę, Maddie splotła palce dłoni z palcami męża.

– Pamiętasz, jak trzymałeś w ramionach nasze pierworodne dziecko?

Przyciągnął ją blisko i ucałował słodkie, miękkie wargi.

– Chyba pamiętam. To było bodaj dziewięć miesięcy temu…

Roześmiała się.

– Raczej sześć… tak myślę.

– Co takiego? – Logan podniósł głowę i spojrzał na nią, zaskoczony. – Nie! Już?

Skinęła głową.

– Ale… – Szperał pamięci, szukając jakiegoś dowodu. – Przecież wcale nie miałaś mdłości!

– Miałam troszkę, na samym początku. Ciotka Thea dała mi na to jakiś tonik.

Puścił jej rękę, cofnął się i patrzył na nią, pocierając policzki.

Boże, pomóż! Myślał, że chyba zemdleje.

Przygryzła wargę.

– Przyznam, że myślałam, że to przyjmiesz z większym entuzjazmem.

– To nie brak entuzjazmu. Bardzo chcę cię mocno uściskać, okręcić w ramionach, położyć na ziemi i kochać się z tobą. Ale nagle się wystraszyłem takich myśli… no, że mógłbym zrobić coś takiego. – Przełknął gwałtownie ślinę. – Nosisz teraz dziecko. To bardzo delikatna sytuacja.

– Delikatna? – uśmiechnęła się. – Logan! To dziecko jest twoje! Jestem pewna, że on – czy ona – przeżyje właściwie wszystko. Włącznie z naszym kochaniem się.

Ostrożnie pogłaskał jej kark.

– *Mo chridhe*… Moje serce!

Wzięła jego rękę i położyła na swoim brzuchu.

– Tutaj, w środku, bije jeszcze inne serduszko. Jest częścią ciebie i częścią mnie, czymś, co bardzo będziemy chcieli poznać. Ale, Logan – podniosła ciemne oczy na niego – to znaczy, że jesteśmy rodziną.

Wtedy po prostu kolana się pod nim ugięły.

Przyciągnął ją do siebie i ukrył twarz, żeby nie okazać zbytnio przepełniających go emocji. Później mówił, że oczy ma czerwone od piasku, którego mu nawiał wiatr.

Teraz krył twarz w jej włosach i szeptał jakieś przysięgi.

Ty jesteś kością z moich kości… krwią z mojej krwi…

Te same słowaa, którymi przysięgał, że poświęci życie dla Madeline, teraz szeptał swojemu nienarodzonemu jeszcze dziecku. To dziecko nigdy nie zazna głodu ani zimna. Nigdy nie poczuje bólu ani strachu czy ciemności. Nigdy, dopóki on, Logan, będzie miał powietrze w płucach i krew w żyłach!

A co do miłości…

Nie będzie jej końca nawet wtedy, kiedy serce już przestanie mu bić.

Trzymał ją w objęciach aż do chwili, kiedy nadchodzący przypływ oblał im stopy.

Wówczas wziął żonę w ramiona i zaniósł na rękach do domu.

Podziękowania

Jak zawsze mam ogromny dług wdzięczności wobec mojej wielkodusznej redaktorki, Tessy Woodward; jej nieustraszonej asystentki, Elle Keck; mojego fantastycznego agenta, Steve'a Axelroda; wyjątkowego wydawcy Jessie Edwards i wszystkich z Avon Books, w tym, lecz nie wyłącznie: Eriki Tsang, Pam Spengler-Jaffee i Toma Egnera, który dał tej książce piękną okładkę.

Lindsey Faber, jesteś niesamowita i wspaniała. Dziękuję.

Brenna Aubrey, Carey Baldwin, Courtney Milan i Leigh LaValle są najlepszymi przyjaciółmi, o jakich pisarz może marzyć.

Zoe, Nico i Bree – dziękuję za wirtualny uścisk dłoni i przytulanie, kiedy ich potrzebowałam.

Moc uścisków dla pana Dare i całej rodziny Dare (włącznie z kociakami) za ich nieustającą cierpliwość i czułość.

Na koniec, ale bynajmniej nie mniejsze – ogromne podziękowania dla wszystkich moich Czytelników.